



ANN EVANS

*MIŁOŚĆ I
ZEMSTA*

9 czerwca, godz. 11.17

- Tu automatyczna sekretarka telefonu numer 555-2128. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość.

Piiip.

- Mówi Aleksandria Sutton z „Miami Sun Times”. Chcę się skontaktować z panem Hunterem Garrettem w sprawie wywiadu. Uprzejmie proszę o telefon na koszt gazety. Mój numer 305-555-4000. Dziękuję.

10 czerwca, godz. 10.22

- Tu automatyczna sekretarka telefonu numer 555-2128. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość. -

Piiip.

- Tu znów Aleksandria Sutton do pana Garretta.

Gazeta, którą reprezentuję, chciałaby poznać pana opinię na temat rzekomego samobójstwa Leona Isaacsona. Wiem, że od dawna odmawia pan wywiadów, ale zapewniam, że nie szukamy taniej sensacji. Proszę łaskawie zadzwonić na nasz koszt pod numer 305-555--4000.

11 czerwca, godz. 9.40.

- Tu automatyczna sekretarka telefonu numer 555-2128. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość.

Piiip.

- Mówi Sandria Sutton. Rozumiem pana rezerwę i niechęć do angażowania się w tę sprawę, jeśli jednak nie otrzymam odpowiedzi, prędzej czy później i tak zjawię się u pana w domu. Byłoby znacznie prościej dla pana i dla mnie... Hallo? Czy to pan?

- Skąd pani ma mój numer? - ostro zapytał męski głos...

Uradowana, że udało jej się wreszcie skontaktować z żywym człowiekiem, Sandria wyprostowała się, przekładając słuchawkę do drugiego ucha.

- Czy to pan Garrett?

- Skąd pani ma mój numer? - powtórzył; W dobiegającym ją z drugiego końca stanu głosie brzmiało nie skrywane rozdrażnienie.

- Jestem dziennikarką. Odszukiwanie ludzi to mój zawód.

- Proszę więcej nie dzwonić - rzucił opryskliwie. Sandria uśmiechnęła się do słuchawki, żeby pokonać ogarniające ją poczucie bezradności, po czym możliwie łagodnym, pojednawczym tonem zaczęła:

- Przepraszam, jeśli pana zdenerwowałam, ale...

- Wcale mnie pani nie zdenerwowała. To by oznaczało, że rozważam pani propozycję, a tak nie jest.

- Proszę pana - podjęła, zastanawiając się gorączkowo, jak przełamać opór tego człowieka. - Możemy o tej sprawie napisać bez pana pomocy, jeżeli jednak ma pan jakieś wątpliwości dotyczące śmierci Leona Isaacsona, to chyba wolałby pan...

- Nie.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że policja waszyngtońska zamierza wszcząć śledztwo w tej sprawie? Pańska opinia...

- Nie przywróci Isaesonowi życia - wpadł jej w słowo tonem kończącym dyskusję. - Możecie sobie wypisywać, co się wam żywnie podoba, ale bez mojego udziału.

Zbyt zdenerwowana, by ważyć słowa, rzuciła:

- Jeżeli ktoś zmuszą pana do milczenia albo czuje się pan zagrożony...

Burknął coś, czego nie zrozumiała, ale nie było to nic zachęcającego.

- Pani nieudolne wybiegi mijają się z celem. Traci pani niepotrzebnie czas.

- Jeszcze chwileczkę! - zawołała.

Chłodna pogarda tego człowieka zbiła ją z tropu. Przygryzła wargi, szukając rozpaczliwie właściwych słów, zdolnych podtrzymać rwącą się rozmowę. Może pora zacząć z innej-beczki.

- Proszę o wyrozumiałość - powiedziała, przybierając cieplejszy ton. - Czy mogę być zupełnie szczerą?

Chrząknął powątpiewająco, z wyraźnie obraźliwą intencją.

- O to pani nie posądzam - mruknął sarkastycznie.

- Jeśli nie zrobię z panem wywiadu, mogą mnie wyrzucić z pracy.

- Życzę owocnych poszukiwań nowej posady.

- Proszę mnie... Klik.

12 czerwca, godz. 8.16.

- Numer telefonu został zmieniony na życzenie abonenta. Nowy numer jest zastrzeżony. Proszę dzwonić do informacji telefonicznej..

- Niech to diabli!

Sandria Sutton wyglądała na ulicę z okien klimatyzowanego; wysłanego miękkim dywanem biura swego szefa, Ernie'ego Gallowaya, które mieściło się na piątym piętrze. W dole gromady urzędników przebiegały rozpaloną jezdnię niczym stada mrówek. Uciekający od bezlitosnego upału mieszkańcy Miami starali się jak najszybciej wpaść w obrotowe drzwi kolejnego, klimatyzowanego biurowca.

Dotknęła ręką szyby, wyczuwając pod palcami nacierające z zewnątrz ciepło. Plecy owiewał jej chłodny, dziwnie nieprzyjemny podmuch klimatyzatora, odpierającego inwazję upału.

Jej pierwsze lato na Florydzie. Znośniejsze niż się spodziewała, wcale nie tak okropne, jak straszyla ją rodzina. Nie omieszkała im przypomnieć, że bostońskie lato też potrafi dać się porządnie we znaki.

Oni, rzecz prosta, puścili jej uwagę mimo uszu, całą zaś energię poświęcili udowadnianiu, punkt po punkcie, że pomysł przeniesienia się do Miami nie ma najmniejszego sensu. Suttonowie, trzeba przyznać, umieją walczyć o to, na czym im zależy. A zależało im na tym, żeby Sandria pozostała w Bostonie.

Do dziś nie mogła się nadziwić, jakim cudem zdołała postawić na swoim.

Oderwała oczy od szyby i spojrzała ze smutkiem na teczkę z aktami, którą trzymała w opuszczonej ręce. Tym razem chyba nie postawi na swoim, skoro szef uparł się obarczyć ją tym beznadziejnym zadaniem.

Brat Sandrii, Mel, z oburzeniem odmówiłby jego wykonania.

Brat Rio wykonałby zadanie na pięć z plusem, zdobywając przy okazji nagrodę Pulitzera.

Sandria westchnęła. Nie ma talentu rodzeństwa. Nie wykręci się tak łatwo. Zwróciła twarz w stronę Ernie'ego:

- Przyznaj się. To zemsta Jessupa za mój reportaż z wystawy psów.

Ernie nie krył przed Sandria, że przydzielił jej tę sprawę pod naciskiem wydawcy, którego uległość wobec kaprysów żony była ogólnie znaną.

- Dziwisz się? Napisałaś, że jego żona przypomina własnego psa!

- To nieprawda. Wspomniałam tylko mimochodem, że niektóre psy upodabniają się do swoich opiekunów.

- Czyli że właściciele wyglądają jak ich psy! A Helena Jessup hoduje pekińczyki! - wykrzyknął Ernie, wznosząc oczy ku niebu. - Skoro już musiałaś o tym pisać, dlaczego nie porównałaś jej z ładniejszym zwierzakiem, na przykład z owczarkiem collie?

- Nie miałam pojęcia, że ona jest wśród wystawców. A artykuł był dobry, doskonale o tym wiesz. I nie zapominaj, że sam zatwierdziłeś go do druku.

- Nabrałaś mnie - odparł Ernie, robiąc surową minę -
wmawiając, że celowo wybrałaś satyryczną formę reportażu. No i
teraz Jessupowa chce wywalić cię z roboty. Jasne, że gdybym im
wspomniał o twoich rodzinnych koneksjach...

Ernie zawiesił głos, a ona stężała.

- Tylko nie mieszaj do tego mojej rodziny - rzuciła ostro.

Podniósł uspokajająco wielką jak łopata dłoń.

- Nie bój się. Wiem, że nie lubisz korzystać z rodzinnej
protekcji.

Wkrótce po zatrudnieniu Sandrii w redakcji Ernie domyślił się,
że dziewczyna jest spokrewniona ze słynnymi w dziennikarskim
świecie bostońskimi Suttottami, Uprosiła go, żeby nikomu o tym nie
mówił. Poczciwy Ernie dochował sekretu, ale w znającym się na
wylot redakcyjnym światku szydło i tak wkrótce wyszło z worka.

Sandria usiadła po drugiej stronie redaktorskiego biurka.
Plastikowe obicie stojącego tyłem do klimatyzatora krzesła było
nieprzyjemnie zimne. Jego chłód zmroziłby najwytrawniejszego
reportera.

- Wolę już chyba wylecieć z pracy niż pisać o Garretcie.

Najpierw nie odpowiadał na telefony, a kiedy go wreszcie dopadłam,
zachował się wyjątkowo antypatycznie. Od pierwszej chwili poczuł
do mnie niechęć. Nie zechce ze mną gadać.

- Przekonaj go. Poćwicz na nim rodzinne sztuczki.

- Boję się, że to na nic.

- Skąd ta pewność? Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Szósty zmysł - odparła - którym, jak zapewne słyszałeś, reporterzy powinni się kierować.

- Daj spokój, Sandrio. Poradzisz sobie. Suttonówna potrafi samego diabła doprowadzić za rączkę do ołtarza.

No i masz. Znowu te porównania. Nieomylny „dziennikarski nos” Suttonów stał się wśród wydawców legendą. Mieli go jej rodzice. Dwaj bracia: jeden - obdarzony „psim węchem” reporter od spraw specjalnie zawiłych, i drugi - błyskotliwy komentator polityczny - byli prawie tak samo sławni jak ci, o których pisali.

A ona?

Spuściła oczy, zajęta nagle wygładzaniem pomiętej spódnicy. Ernie nie zdawał sobie sprawy z dręczących ją kompleksów, a gdyby nawet czegoś się domyślał, niewiele by go one obeszły. Niemniej jego niewinna skądinąd uwaga sprawiła, że poczuła skurcz w okolicach żołądka.

Odepchnęła jednak te nieprzyjemne myśli i, siłąc się na pewność siebie, zbyła jego słowa lekceważącym mruknięciem, po czym wskazała palcem spoczywającą na jej kolanach teczkę.

- Wyciągnęłam z komputera wszystko, co wiadomo o Garretcie. Wystarczy złożyć to do kupy, żeby się zorientować, że facet ma nierówno pod sufitem. Ernie machnął lekceważąco ręką.

- Nie bierz pod uwagę idiotycznych akcji w obronie środowiska naturalnego, w których brał udział, nim zniknął z publicznego widoku. Był wściekły, że władze dały mu prztyczka w nos.

- Ładny mi prztyczek - obruszyła się, otwierając teczkę i wyjmując na chybił trafił kolejne wydruki z komputera. - Stracił posadę, żona najprawdopodobniej go rzuciła, przestano mu przydzielać fundusze na badania naukowe. Komisja Kongresu usiłowała, go nawet zrobić w zradę stanu. Środowisko akademickie wykluczyło go ze swego grona.

Ernie podjechał z fotelem do biurka i niemal położył się na jego blacie.

- Kto był jednym ze świadków, którzy cztery lata temu przedstawili sądowi psychologiczną sylwetkę Garretta? Właśnie Isaacson.

- To jeszcze nie dowód, że coś ich łączyło. Isaacson projektował namioty osłonowe dla czołgów M1, natomiast Garrett zajmował się odtrutką na porażający gaz bojowy. Obaj faktycznie mieli do czynienia z bronią chemiczną i biologiczną... - Sandria zmarszczyła czoło, szukając w teczce odpowiedniego papierka -... .ale oskarżenie, które wysunął Garrett, a mianowicie, że atropinowa odtrutka na działanie gazu nie ma właściwego stężenia, zostało przez sąd oddalone.

- A tymczasem Isaacson, poważny biochemik, który nie dalej jak dwa tygodnie temu wydawał się najnormalniejszym w świecie człowiekiem, postanawia ni stąd, ni zowąd wyskoczyć z okna waszyngtońskiego biurowca. Jeden nie żyje, a drugi jest zdyskredytowany. Czy to cię nie zastanawia?

- Więc pozwól mi zająć się sprawą Isaacsona razem z Hawthornem. Nie każ mi się uganiać za rozgoryczonym biologiem, żeby się dowiedzieć, co myśli. Żal mi go, ale Garrett to przebrzmiała historia. Od dziewięciu miesięcy nie daje znaku życia.

Ernie zamyślił się, stukając machinalnie ołówkiem w biurko.

- Już samo to jest zastanawiające. Po fiasku swoich oskarżeń Garrett przez długi czas nie schodził z pierwszych stron gazet. I nagle zniknął. Żadnych wywiadów, żadnych spektakularnych akcji na rzecz ochrony środowiska. Dlaczego? Gdzie się podziewa?

Ernie szeroko otworzył oczy, których źrenice lśniły jak woda na dnie studni.

- Nie czujesz, że coś się za tym kryje?

Sandria z takim impetem zatrzęsła teczkę, aż w redaktorskim koszu na śmieci zaszemrały oburzone papiery.

- Czuję się wystrychnięta na dudka - westchnęła, świadoma zbliżającej się porażki. Jessup chce się mnie pozbyć z redakcji, tak?

- Nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyś... na parę dni... może gdzieś w teren..

- Hawthorne jedzie do Waszyngtonu, prawda?

- Przecież wiesz:

- Pozwól mi z nim jechać. Zniknęłabym na jakiś czas z redakcji, skoro tak mu na tym zależy.

- Nie, Sandrio, nie stać mnie na posyłanie naraz dwóch reporterów. Zresztą to zadanie Tony'ego. Robisz wielkie postępy, ale Hawthorne ma...

- Doświadczenie.

- Tak. - Wstał, podciągając pasek na brzuchu, który ostatnimi czasy musiał wchłonąć zbyt wiele włoskiego makaronu. Ernie uznał rozmowę za skończoną. - Nie dąsaj się. Taki to zawód, znasz jego reguły. - Podsunął jej przez biurko kartkę papieru. - Masz tu adres Garretta w Fort Myers Beach. Jedź i spróbuj coś z niego wyciągnąć.

Wstała powoli, uderzając teczką o kolano.

- To błąd. Facet wyraźnie mnie nie lubi.

- A co cię obchodzą jego uczucia? Wracaj z dobrym materiałem i ani się obejrzyj, jak skończysz terminowanie w towarzyskim dziale gazety.

Hunter Garrett przeciągnął palcami po wędce ze szklanego włókna. Zwyczajna wędka, jakich setki sprzedają po obniżonej cenie w każdym nadmorskim supermarkecie.

Tania.

Czysto użytkowa. Bezcenna.

Pamiętał rozpromienioną buzię syna, kiedy ten mu ją darowywał. Które to było Boże Narodzenia? Pięć lat temu? Sześć? Eryk musiał mieć wtedy około siedmiu lat i wierzył jeszcze w świętego Mikołaja, ale był już wystarczająco duży, aby z dumą ofiarować ojcu kupioną za własne pieniądze wędkę.

Huntera osaczyły wspomnienia.

Usłany kolorowymi papierami dywan. Julia i Eryk siedzą po turecku przed kominkiem, a zza ich pleców rozchodzi się miłe ciepło

ognia, pierwszego, jaki rozpalili tamtego roku, bo zimą na Florydzie kominek rzadko jest potrzebny.

Jednak najżywsze wspomnienie wiązało się z prezentem, który sam położył wtedy synowi pod choinką. Była to baseballowa rękawica.

Eryk aż krzyknął z radości po rozpakowaniu upominku, a wtedy on i Julia popatrzyli na siebie ponad głową chłopca. Skinieniem głowy pochwalił ją za przenikliwość. I tamto też miał żywo w pamięci - ów moment cichego porozumienia między mężem i żoną, zanim podała mu szklanekę grzanego piwa, przyrządzonego według specjalnego przepisu jej matki.

Tak, to były chyba ich najpiękniejsze święta.

Poczuł wewnętrzny, ssący ból. No właśnie, znowu poddał się dręczącemu czarowi wspomnień. Wiedział, że nie powinien dopuszczać ich do świadomości, ale miały w sobie podstępny słodycz i nie słuchały nakazów rozsądku. Zamknął oczy i wykonał kilka głębokich wdechów, żeby szybciej wrócić na ziemię.

Popatrzył na wędkę, którą wciąż trzymał w ręku - już nie nową, lecz zniszczoną przez czas i lepka od osadu morskiej wody. Powinien się jej pozbyć. Kupić nową. Cóż, kiedy była jak stary, miły sercu przyjaciel. Czy może rozstać się z czymś tak cennym, nawet jeśli niesie z sobą bolesne wspomnienia?

Wiedział, co by na to powiedział lekarz, który w swoim notatniku wypisywał Hunterowi wielostronicowe rady i zalecenia:

- Trzeba zapomnieć o przeszłości. Nie wolno do końca życia zdręzczać się poczuciem winy.

- Święte słowa, doktoru.

Ale wędka i tym razem powędrowała na stos ekwipunku, który zamierzał wziąć do łodzi. Bo kiedy przychodziło co do czego, po prostu nie potrafił się z nią rozstać.

Dzwonek u drzwi do składu wędkarskich artykułów oderwał go od wspomnień. Obejrzał się i zobaczył wchodzącego do wnętrza właściciela przystani, swego najlepszego przyjaciela, Riley Kincaida. Za nim zaś podążał człowiek, którego Hunter znał, ale którego miał nadzieję nigdy więcej nie oglądać na oczy, Serce gwałtownie zabiło mu w piersiach.

Boże, tylko nie to, pomyślał. Wszystko, byle nie to. Najpierw reporterka, a teraz Braddock. Nie chcę. Nie mam siły.

Szybko jednak opanował zdenerwowanie. Ogarnęła go chłodna zawziętość. Cokolwiek Ken Braddock powie albo zrobi, nie będzie to miało dla niego najmniejszego znaczenia.

- Przepraszam za bałagan - mówił Riley, torując drogę między skrzyniami takielunku i przyborów Wędkarskich. - Wybieramy się z kumplem na belony, które tylko czekają, żeby je złowić.

- Ja też mam nadzieję złowić w tym sezonie parę sztuk - uśmiechnął się Braddock, udając znawcę.

A widziałeś ty w życiu choć jedną belonę? - pomyślał Hunter, ale nic nie powiedział. Stał bez słowa w przygasającym świetle popołudnia, czekając, aż się wyjaśni, dlaczego Braddock zjawił się tu

w stroju wytrawnego rybaka, chociaż nawet dziecko by zauważyło, że jego pokładowe buty pochodzą prosto ze sklepu, a zatknięta za idiotyczną czapkę przynęta nigdy nie oglądała wędki.

Riley przystanął pośrodku pomieszczenia i po raz pierwszy zwrócił się do Huntera:

- Poznajcie się: Hunt Garrett, a to Ken Braddock. Ten człowiek słyszał gdzieś, że nosisz się z zamiarem sprzedania „Damy Serca”. Powiedziałem, że to chyba jakaś pomyłka, ale on i tak chciał koniecznie z tobą pogadać.

- Dobrze powiedziałeś - przytaknął Hunter, po czym spojrzął Braddockowi w twarz i oświadczył: -Łódź nie jest na sprzedaż.

Riley, zwracając się do przybysza, wzruszył ramionami na znak „a nie mówiłem?”, a potem dodał:

- Jeśli myśli pan serio o kupnie łodzi, to mam na zbyciu nowiutkiego Finna.

- Szczerze mówiąc - nieśmiało wtrącił Braddock

- szukam raczej używanej łodzi. Zainteresowałem się wędkarstwem jedynie dla przypodobania się szefowi i nie mam ochoty wydawać w tym celu fortuny.

- Łódź nie jest na sprzedaż - powtórzył Hunter.

- Ani dziś, ani w przyszłości.

Jego ostry ton zaintrygował Rileya; rzucił przyjacielowi baczne spojrzenie. Hunter wyczuł jego zaciekawienie, ale nadal patrzył Braddockowi prosto w oczy.

- Każda rzecz ma swoją cenę - zauważył cicho Braddock.

- Jasne, zwłaszcza niektóre.

Nie starał się ukrywać, do czego pije. Jeśli Braddock chce się bawić w ciuciubabkę, niech to robi gdzie indziej. Przybysz kręcił się chwilę zmieszany, wreszcie zwrócił się do Riley'a:

- Czy mógłby pan zostawić nas na chwilę samych? Może uda mi się przekonać pańskiego przyjaciela.

Riley spojrzał pytająco na Huntera, a gdy ten skinął głową, wyszedł.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi, po czym zapadła długa, niezręczna cisza. Braddock przechadzał się po zagraconej szopie, dotykając przyrządów i kartkując wykresy pływów. Hunter czekał spokojnie, oparty bokiem o biurko, zajęty rozplątywaniem zasupłanego kołowrotka. Jeśli Braddock nie wie, od czego zacząć, to jego problem. On nie zamierza ułatwiać mu sytuacja.

-Co u ciebie słychać? - odezwał się w końcu Braddock.

Hunter zmarszczył czoło. Czy on sobie wyobraża, że będę z nim prowadził towarzyskie pogaduszki?

- Po co ta cała gra? - zapytał prosto z mostu. Braddock miał dosyć rozumu, żeby od razu przejść do rzeczy.

- Myślałem, że nie zechcesz rozmawiać ze mną przez telefon ani nie wpuścisz mnie do domu.

- Nareszcie słowo prawdy.

- Ale ja muszę z tobą porozmawiać.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia -oświadczył Hunter, nie odrywając oczu od kołowrotka.

- Nie czytałeś ostatnio gazet? Podobno nie jest pewne, czy Isaacson rzeczywiście popełnił samobójstwo.

- I nagle zacząłeś się tym przejmować? Cztery lata temu rodzinne związki z bandą zbrodniarzy i morderców jakoś nie spędzały ci snu z powiek.

- Cavanaughowie nikogo nie zamordowali - zaprotestował Braddock z takim przejęciem, że Hunter lekko się zdziwił. Tamten zdjął tymczasem czapkę i nerwowo przeczesywał ręką włosy.

- Czy myślisz, że nie poszedłbym na policję, gdybym ich naprawdę podejrzewał? Cztery lata temu nikt nie zginął.

- Powiedz to chłopcom, którzy walczyli na pustyni. Wiesz nie gorzej ode mnie, co mogło się zdarzyć. Wyprodukowana w laboratoriach Cavanaugha odtrutka była tak rozcieńczona, że równie dobrze mogliby sobie wstrzykiwać wodę.

Braddock potrząsnął głową.

- Mylisz się - powiedział. - Nadal by działała. Może z pewnym opóźnieniem...

Poirytowany Hunter rzucił kołowrotek na stół.

- Ach, więc taką historyjkę sprzedał ci Charlie Cavanaugh? Twój teść ma cholerne szczęście, - że jakiś pustynny szaleniec nie wystawił jego teorii na próbę.

Znów zapadło nieprzyjemne milczenie.

- Wiem, że cię zawiodłem - powiedział Braddock niemal szeptem.

- Zawiodłeś siebie. Kłamałeś przed komisją. Zniszczyłeś dowody nie wiem jak, i chyba już mnie to nie obchodzi. Stałeś się posłusznym narzędziem Charliego Cavanaugha.

- W końcu to ojciec mojej żony - zachnął się Braddock. -
Miałem własnego teścia posłać za kratki? Przekonał mnie, że nie mam racji. Byłem tylko kierownikiem produkcji. Mogłem się pomylić.

Ładnieś to sobie poukładał, ty ulizany sukinsynu. A nie przyszło ci do głowy zastanowić się nad konsekwencjami? - pomyślał Hunter.

- Więc nadal uważasz, że jesteś w porządku, co? - powiedział na głos.

Braddock poczerwieniał i odwrócił się, okazując nagle zainteresowanie stojącym rzędem pod ścianą, nowiutkim wędkiem. Był wyraźnie skrepowany. Hunter przypatrywał mu się podejrzliwie.

- A może opadły cię wątpliwości, co? Nie byłoby cię tutaj, gdybyś dalej wierzył bajkom Cavanaugha.

Braddock sięgnął bez słowa do wewnętrznej kieszeni rybackiej kamizelki. Kiedy wyciągnął rękę, na jego dłoni leżał plastikowy pojemnik, mający zawierać życiodajną odtrutkę.

- To z ostatniej partii wyprodukowanej w fabryce. Tej samej, która poszła do Zatoki Perskiej: po trzy fiołki w każdym zestawie, połączenie cytrynianu atropiny z chlorkiem pralidoksyminy. Proszę, żebyś to zbadał.

Hunter demonstracyjnie skrzyżował ręce na piersiach.

- Nie mam już dostępu do laboratorium.

- Proszę cię - bezbarwnym głosem powtórzył Braddock. Położył lśniące pudełeczko na stole i jednym palcem pchnął je w stronę Huntera.

- Skąd te nagłe wyrzuty sumienia?

- Widziałem Isaacsona w biurze Charliego Cavanaugha dwa dni przed... wypadkiem. Chcę się upewnić, że był to jedynie zbieg okoliczności.

- A jeśli to nie był zbieg okoliczności? - spytał Hunter, podnosząc brwi.

- To znaczy, że chodziło o produkowaną w laboratorium odtrutkę.

Chwilę patrzyli sobie w oczy, Hunterowi pot wystąpił na górną wargę. Już kiedyś zaufał temu człowiekowi. Zaufał bez zastrzeżeń i został bezwzględnie oszukany. Musiałby być patentowanym osłem, żeby powtórnie złożyć swój los w jego rękę.

- Cztery lata temu obleciał mnie strach - dodał Braddock - ale nie jestem mordercą. Jeśli odkryjesz w tych fiolkach jakieś nieprawidłowości, potwierdzę na policji twoje zeznania. Przysięgam. Bez względu na to, kto z rodziny Cavanaughow i jak dalece byłby w to wmieszany.

Nie postawię znów wszystkiego na tę samą kartę. Już raz dostałem nauczkę, pomyślał Hunter.

- Nie mam już dawnej energii ani zapału - powiedział.

Tamten wyciągnął wizytówkę i położył ją na plastikowym pojemniku.

- Weź to. Nie dzwoń do mnie do biura. Richie Cayanaugh ma gabinet w tym samym korytarzu, zresztą mogą podsłuchiwać moje telefony. Zadzwoń pod numer, który dopisałem na odwrocie. - Trącisz czas; Braddock.

- Nie sądzę- Odparł tamten, kierując się ku wyjściu.

Hunter wziął wizytówkę i obejrzał ją z obu stron.

Uśmiechnął się z przekąsem, gdy pod firmowym znakiem Cavanaugha i nazwą laboratorium zobaczył wykaligrafowane stylowym pismem stanowisko Braddocka.

- Chwileczkę, Braddock!- zawołał. Tamten odwrócił się z ręką na klawce.

- Z kierownika produkcji na pierwszego wiceprezesa, ho, ho! - powiedział Hunter sucho. - Widać przestępstwo jednak popłaca.

Bryza od zatoki, owiewająca gęsto zabudowane obrzeża Fort Myers, ledwo poruszała rozpalone powietrze. Klimatyzator wynajętego samochodu, którym Sandria wyruszyła z hotelu, kwadrans temu odmówił posłuszeństwa i w środku auta zrobiło się nieznośnie duszno.

Od kilku minut krążyła na chybił trafił, przekonana, że zgubiła drogę. Garrett nie może mieszkać w tej części miasta, pełnej nędznych osiedli i starych zapuszczonych domów, zapomnianych przez biegnące ku nowszym, elegantszym dzielnicom autostrady.

Już dwa razy musiała stanąć i pytać o drogę. Pierwsza próba okazała się czystą stratą czasu, bo facet, który oświadczył, że nie rozumie pytania, zdołał jednak łamaną angielszczyzną zrobić jej

niedwuznaczną propozycję. Zgrzana i poirytowana odcyfrowywaniem nieczytelnych wskazówek na kartce od Ernie'ego, Sandria wyraźnie poweselała, kiedy udało jej się w końcu zlokalizować parterowy dom Huntera Garretta.

Biały bungalow krył się za kępami malw i obrośnięty był dzikim winem. Całe otoczenie domu, który aż prosił się o odnowienie, nosiło ślady zaniedbania. Może Garrett był kiedyś obrońcą naturalnego środowiska, ale Własnym środowiskiem najwyraźniej dawno przestał się interesować.

Na schodach werandy zatrzymała się i poprawiła spódnicę. Wybór kostiumu okazał się pomyłką. Chciała wyglądać profesjonalnie, ale spokojnie. Tymczasem wilgotny upał zmienił wykrochmalone płótno w miękką szmatkę, a wąska spódnica była doszczętnie pomięta po dwugodzinnej jeździe samochodem.

Długo trzymała palec na dzwonku, ale nikt nie odpowiadał. Rozejrzała się. Koło domu stały dwie furgonetki, a więc ktoś na pewno jest w środku. Nie ruszy się, dopóki ten ktoś nie podejdzie do drzwi.

Sięgnęła znów do dzwonka, ale ręka jej opadła, bo drzwi nagle się uchyliły. Szybko przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Naprzeciw niej stał bardzo przystojny mężczyzna.

Nie był to jednak Hunter Garrett.

Po gruntownym zapoznaniu się z materiałem zdjęciowym nie miała wątpliwości: ciemnowłosy mężczyzna nie jest tym, którego szuka. A szkoda. Patrzył na nią z życzliwym uśmiechem i lekką

domieszką czysto męskiego zainteresowania, które sprawiło, że poczuła się kobietą.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Szukam pana Huntera Garretta. Podano mi ten adres.

- Zawsze miałem pecha - odparł z łobuzerskim mrugnięciem i odwracając głowę, zawołał:

- Hunt! Jakaś dama do ciebie!

Uśmiechnął się do niej, a ona uśmiechnęła się do niego. Po chwili w drzwiach zobaczyła Huntera Garretta.

Wyglądał nieco inaczej niż na zdjęciach, Był wyższy, niż się spodziewała, a jego potężna postać tak wyraźnie broniła jej wstępu, że Sandria lekko się cofnęła.

Nie odezwał się. Stał milcząco w drzwiach, mierząc ją wrogim, nieufnym spojrzeniem. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, które były tak sprane, że już prawie nie zasługiwały na miano dżinsów.

Czuła, że ze zdenerwowania zaschło jej w gardle. Wyciągnęła rękę i podała mu wizytówkę.

- Nazywam się Aleksandria Sutton. Rozmawiałam z panem przez telefon...

- Riley - przerwał jej Garrett, zwracając się do swego ciemnowłosego przyjaciela. - To nie żadna dama. To zwykła poszukiwaczka sensacji.

I zdecydowanym ruchem zatrzęsął jej drzwi przed nosem.

No tak, pomyślała. Koniec pierwszej rundy.

Postanowiła jednak, że się nie podda, i zaczęła walić do drzwi. Pukała i pukała, aż rozbolały ją ręce. Kiedy to nie poskutkowało, ruszyła wokół domu do tylnego wejścia. Grzęznąąc obcasami w piasku, przeklinała w duchu Ernie'ego Gallowaya. Na tylnym podwórku, za szybą rozsuwanych drzwi, mignął jej cień zaciągającego kotarę Garretta.

Zastukała w szklaną szybę.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Proszę tylko o chwilę rozmowy.

Milczenie.

- Przecież nie będzie pan tam siedział do końca świata.

Zasłona lekko się poruszyła, ale nadal nie było odpowiedzi.

- Jestem bardzo uparta. Przetrzymam pana.

- Proszę bardzo! Może tam pani sterczeć, dopóki nie wrośnie pani w ziemię - odkrzyknął.

To już coś, pomyślała. Przynajmniej się odezwał.

- Nie ruszę się stąd.

- Zawołam policję - ostrzegł. - Przebywa pani bez pozwolenia na moim terenie.

Zza kotary dosłysziała jakiś szurgot i odgłosy ściszonej rozmowy, po czym właściciel domu oznajmił:

- Mam psa. Jeśli pani nie odejdzie, będę zmuszony go wypuścić.

Sandria cofnęła się gwałtowniej niepewna, co dalej robić. Z facetem można się drażnić, ale z psem lepiej nie zadzierać. Zaraz się jednak uspokoiła, bo zdała sobie sprawę, że od początku wizyty nie

usłyszała najmniejszego warknięcia, nie mówiąc już o szczekaniu. Pies, nawet jeśli jest, to niegroźny. Garrett blefuje.

Słońce nieznośnie paliło jej głowę, a odbijające się od szyby ostre promienie światła boleśnie raziły w oczy. Zaczynała tracić cierpliwość.

- Niech pan się nie wygłupia - powiedziała rzeczowym tonem, mającym przemówić mu do rozsądku. - Wiem, że nie ma pan żadnego psa.

Parę chwil później odskoczyła przerażona, gdy z wnętrza dobiegło niskie, gardłowe szczekanie. Bardzo donośne. Głos żadnego mordy psa Baskendllów. A to dopiero! Jednak ma psa. Sandria odsunęła się od drzwi.

- Tak jest, droga pani - zawołał Garrett, przekrzykując psi koncert. - Mam w domu olbrzymiego dobermana, specjalnie szkolonego do walki z niebezpiecznymi napastnikami. Trzymam go przeciwko takim intruzom jak pani. Jeśli ma pani choć trochę oleju w głowie, radzę się wynosić.

Sandria uznała, iż jest to propozycja nie do odrzucenia.

Mężczyźni patrzyli, jak kobieta odchodzi porośniętym chwastami trawnikiem i odjeżdża samochodem. Hunter zachichotał z satysfakcją i odwrócił się od okna. Podniósł do góry trzymany w ręku kawał surowego mięsa, do którego myśliwski pies Riley'a próbował doskoczyć.

- Brawo, Buster - pochwalił go Hunter. - Wiedziałem, że to cię rozrusza. - Wypuścił psa do ogrodu, rzucając za nim smakowity kotlet. — Smacznego - zawołał. - Zasłużyłeś na nagrodę.

Odwrócił się do przyjaciela, który z założonymi na piersiach rękami stał oparty o kanapę. Widać było, że sztuczka zrobiła na nim wrażenie. Buster nie był psem skłonny do niepotrzebnych ekscytacji.

- No, no - pokręcił głową Riley. - Ciekawe... i trochę dziwne.

- Ale poskutkowało, nie?

Hunter odsunął kotarę i przez chwilę obserwowali Bustera, pożerającego resztki mięsa.

- Mamy kolację z głowy - westchnął Riley. - Trzeba będzie pojechać do miasta, żeby coś przekąsić.

Hunter otworzył lodówkę.

- Znajdę coś w zamrażalniku. Masz ochotę na hamburgera?

Riley zbliżył się do kuchennego baru i oparłszy łokcie o blat, mierzył przyjaciela pytającym wzrokiem.

- Może byś mi jednak wyjaśnił, o co tu chodzi? Co to za dziewczyna?

Hunter uparcie patrzył w głąb lodówki, udając, że bada jej zawartość.

- Już ci mówiłem. Dziennikarka. Poszukiwaczka sensacji z jakiejś szmaty z Miami.

- Co ci szkodziło pogadać? Miałbyś ją z głowy. Hunter wyjął z lodówki paczkę hamburgerów i wyłożył je na talerz.

- Człowiek, którego szuka, już nie istnieje - odparł.

- Jesteś tego pewien?

- Przekonasz się.

Dopiero teraz popatrzyli sobie w oczy, ale Hunter szybko odwrócił wzrok. Najazd reporterki zirytował go, a nawet trochę zaniepokoił. Czyżby wiedziała o wczorajszej wizycie Braddocka? I o sześciofiolkowym zasobniku, który znajdował się w pokoju obok, na jego biurku?

Niech to diabli! Sądził, iż tamten rozdział życia ma definitywnie za sobą, a tymczasem wizyta dziennikarki wskazuje, że niektórzy nadal chętnie dobraliby się mu do skóry.

Zacisnął ręce na krawędzi zlewu. Czując jednak, że Riley nie spuszcza z niego wzroku, zainteresował się nagle dwiema butelkami piwa, które po wyciągnięciu z lodówki pokryły się zimną rosą.

- Piwo się grzeje, a mecz już się zaczął.

Riley wziął od niego butelkę, ale zamiast iść z nią do salonu, zapytał:

- Możesz mi powiedzieć, kim był ten gość, który odwiedził cię wczoraj w szopie?

Podczas burzliwych wydarzeń sprzed czterech lat Riley siedział na Tenerifie, gdzie prowadził luksusową przystań jachtową. Nie miał więc okazji widzieć Braddocka zeznającego w sądzie, przysięgającego mówić prawdę i tylko prawdę: Ani nie oglądał przesłuchań na Kapitolu, podczas których Braddock łągał jak z nut, odpowiadając na pytania kongresmana Westovera i jego popleczników. Hunter mógł

więc bez trudu uspokoić Riley'a jakąś zmyśloną historyjką, nie potrafił jednak - zdobyć się na coś takiego wobec starego, wiernego, przyjaciela.

- Sądzisz, że nie był wędkarzem?

- A czy ja jestem królową Wiktoria? Roześmieli się zgodnie, ale Riley nie ustępował.

- Za długo się znamy, Hunt, więc powiem prosto z mostu. Jak długo jeszcze zamierzasz chować się przed wszystkimi?

Hunter w zamyśleniu powiódł palcem po oszronionej butelce. Chociaż przyjaźnili się od szkoły średniej, o pewnych sprawach z przeszłości nadal nie był w stanie z nim rozmawiać. Może kiedyś. A może nigdy.

- Nigdzie się nie chowam.

- Były czasy, kiedy Hunt Garrett nie wpadał w panikę na myśl o wyprawie do miasta w celu zjedzenia steku.

- Odczep się wreszcie, dobrze? - odburknął ze złością Hunter.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do salonu, włączył telewizor, rozsiadł się na rozłożystej kanapie, oparł nogi o niski stolik i pociągnął z butelki spory łyk piwa. Kątem oka zobaczył wchodzącego do pokoju Riley'a. Miał nadzieję, że przyjaciel zrozumiał przestrożę i nie będzie więcej wracał do tamtego tematu.

Po dziesięciu minutach transmisję z meczu baseballowego przerwała reklama.

- Ładna dziewczyna! - rozmarzył się nagle Riley. -Zauważyłeś?

Owszem, zauważył. Według przyjętego stereotypu, reporterkami były na ogół dziwne istoty w workowatych, szmatopodobnych strojach, filcowych kapeluszach z szerokim rondem, o pożółkłych od nikotyny palcach i imionach w rodzaju Ace albo Scoop. A tu jakaś w miarę układna panienska o staroświecko brzmiącym imieniu Aleksandria. Na dodatek z burzą ciemnych włosów i nogami do samej ziemi. Wolałby nie wiedzieć, kim jest i czego może od niego chcieć.

- Mówiłem do ciebie - dotarł do niego głos przyjaciela.

- Słyszałem - przytaknął niechętnie.

- Takie wspaniałe nogi! - westchnął Riley z żalem. - Chętnie bym jej opowiedział coś o sobie.

- Nic z tego. Jesteś nudny jak flaki z olejem - burknął rozzłoszczony Hunter, spoglądając w głąb ciemnej butelki.

- Jeżeli znowu się pojawi...-zaśmiał się Riley;

- Na pewno nie.

- A gdyby wróciła? Co zrobisz? - To mówiąc, rzucił okiem na śpiącego smacznie w słońcu starego psa.

- Boję się, że z Bustera nic już więcej nie wyciśniesz.

- No to sprawię sobie prawdziwego dobermana

- mruknął Hunter.

Kto jak kto, ale biolog mógłby lepiej dbać o własny ogród, pomyślała ze złością.

Coś, co uchodzić miało za trawnik przed domem Garretta, składało się głównie z gołej ziemi. Spore jej ilości dostały się do nowych butów Sandrii, kiedy pospiesznie odchodziła do samochodu. Siedziała teraz na hotelowym łóżku i, wytrząsając z pantofli całe hałdy piasku, analizowała swoje pierwsze, tak niefortunne spotkanie z Hunterem Garrettem.

Ileż złośliwej uciechy, pomyślała z goryczą, sprawiłaby jej rodzinie wieść o zawstydzającej przygodzie najmłodszej latorośli. Suttonowie pysznili się wszak tym, że nikt ani nic nie jest w stanie przeszkodzić im w dotarciu do źródeł informacji.

Groził, że poszczuje ją psem? Słyszając to, zanosiliby się ze śmiechu.

Wydmuchawszy z pantofla resztki piasku, rzuciła nim w drugi koniec pokoju i wreszcie usiadła wygodnie na łóżku.

Powinna była się upewnić, czy rzekomy brytan nie jest, na przykład, zwyczajnym pudlem. Jednak nie, skonstatowała po namyśle. To nie było szczekanie małej psiny. Zresztą pudel nie pasuje do Garretta.

W ogóle cały Garrett nie pasuje do niczego, co sobie na jego temat wyobrażała. Chociaż miał opinię poważnego naukowca, Sandria spodziewała się zobaczyć, powiedzmy, szlachetnego fajtlapę, który w

naiwności ducha porwał się na moźnych tego świata, sądząc, iż potrafi z nimi wygrać. Nie zdziwiłaby się także, gdyby ujrzała stukniętego maniaka, za jakiego został uznany, kiedy po przegranym procesie poparł swoim nazwiskiem kilka mniej lub bardziej niepoważnych akcji na rzecz ochrony środowiska. Tymczasem, pomijając udawany cynizm i chorobliwą wręcz nieufność, Hunter Garrett sprawiał wrażenie... normalnego, zwykłego człowieka.

Normalnego? To za mało powiedziane, poprawiła się w duchu, przypominając sobie jego muskularną sylwetkę oraz ten niski, głęboki głos, którego brzmienie - pomijając rzecz jasna chwile, kiedy kazał jej się wynosić-dziwnie mile działało na jej nerwy.

Co nie zmienia faktu, że jest na niego wściekła. Ernie spodziewał się wywiadu, zresztą ona sama nie mogła już z niego zrezygnować, choćby dla udowodnienia samej sobie, że ma wszystkie dane po temu, by zostać pełnej krwi reporterem.

Po ukończeniu studiów osiem lat temu Sandria podjęła szczerą wysiłek, by godnie wypełnić przeznaczone jej od kolebki życiowe zadanie. Zatrudniła się w tym celu w ojcowskiej gazecie, zaczynając od najniższego szczebla i stopniowo awansując. Dokładała wszelkich starań, żeby nie przynieść wstydu swemu sławnemu w dziennikarskim świecie nazwisku. Zareczyła się nawet z popieranym przez rodziców bostońskim redaktorem.

Wszystko jednak zdawało się wskazywać, iż natura poskapiała najmłodszej Suttonównie owej słynnej dziennikarskiej żyłki którą tak hojnie obdarzeni byli starsi członkowie rodziny. Nie umiała się

przepychać, walczyć o swoje ani z całą bezwzględnością stawiać własnych ambicji na pierwszym miejscu. W rezultacie jej prasowe notki były pozbawione wyrazu, wywiady mało odkrywczyste, zaś pisane przez nią artykuły trafiały zwykle na dalsze, najmniej atrakcyjne strony lokalnego działu gazety; będące postrachem każdego ambitnego reportera.

Upatrując w rodzinnej kurateli głównej przyczyny swej niemocy twórczej, Sandria postanowiła porzucić ojcowską redakcję, zerwać zaręczyny i przenieść się do Miami. Musi pokazać, że samodzielnie potrafi zdobyć markę w zawodzie reportera. A kiedy stanie już mocno na własnych nogach, może wtedy znajdzie dość siły na to, aby rzucić dziennikarstwo i spełnić swoje dawne marzenia.

Nadzieje na rozpoczęcie po studiach pisarskiej kariery rozplynęła się szybko w wirze redakcyjnej pracy, nieprzekraczalnych terminów i pościgu za sensacjami dnia; Nadal jednak układała subtelne i zawile fabuły, z których miała się kiedyś wyłonić „wielka amerykańska powieść”. Zapisywała też w notatniku wiersze, studia postaci, pomysły na opowiadania. Dotychczas jednak żadnego ze swoich tekstów nie próbowała opublikować i w miarę upływu czasu coraz bardziej obawiała się, że nigdy się na to nie zdobędzie.

Rodzina od początku ją ostrzegała: literatura to zajęcie dla naiwnych marzycieli. Trudno się przebić, trudno z literatury żyć, no i nie przynosi takiego prestiżu jak solidne, drapieżne dziennikarstwo.

Kiedyś to sprawdzę, obiecywała sobie. Zbiorę się na odwagę, rzucę wszystko na jedną kartę i dowiem się, na co mnie stać,

Ale jeszcze nie dziś, westchnęła z rezygnacją, przewracając się na drugi bok, aby sięgnąć po leżące na nocnym stoliku akta Garretta. Dziś musi się zastanowić, w jaki sposób spróbować opornemu biologowi rozwiązać język.

Zaczęła od przeglądania fotografii. Znany naukowiec odbiera nagrodę. Zdjęcie na schodach sądu, po złożeniu zeznań w sprawie przeciwko firmie o nazwie Cavanaugh Laboratories: Garrett odprowadzany w kajdankach z miejsca protestacyjnej akcji obrońców środowiska, która podobno przerodziła się w burdę. Tak oto poważny uczony w krótkim czasie przeobraził się w krzykliwego działacza, a następnie - w zgorzkniałego odludka.

Jedno zdjęcie przyciągnęło jej uwagę: Garrett z żoną stoją przytuleni do siebie na oficjalnym bankiecie. Ubrana w czarną, elegancką suknię, z upiętymi wysoko włosami, Julia Garrett miała ten nieuchwytny, budzący kobiecą zazdrość szyk urodzonej modelki najwyższej klasy: piękna, wysoka blondynka. W dodatku głowę miała nie od parady, przypominała sobie Sandria; z dokumentów wynikało, że Garrettowie prowadzili razem badania naukowe.

Na zdjęciu Julia Garrett patrzyła czule na męża, a ich ręce były splecione. Sandria zmarszczyła brwi. Ta kobieta miałaby opuścić męża w najtrudniejszych chwilach jego życia? Zupełnie na taką nie wyglądała.

A jednak musiała to zrobić, skoro ani podczas toczącego się cztery lata temu procesu, ani na późniejszych zdjęciach nie pojawiła się już więcej u jego boku. Według danych, które Sandria zaczerpnęła

z komputera, Julia była z pochodzenia Norweżką, a z Garrettem poznali się wkrótce po jej przyjeździe do Stanów na studia. W trakcie procesu Julia Garrett miała rzekomo wrócić do Norwegii, wstydząc się wywołanego przez męża skandalu. Jednakże zapytywany o to przez dziennikarzy, Hunter Garrett nigdy tej plotki nie potwierdził ani jej nie zaprzeczył.

Sandria sięgnęła po zdjęcie ukazujące twarz Garretta w zbliżeniu. O ileż korzystniej wyglądał cztery lata temu! Wprawdzie w jego włosach nadal grasowały złote błyski, ale dziś te włosy były o wiele za długie i wyglądały niechlujnie. Poza tym wyraźnie schudł, a w tej krótkiej chwili, nim zatrzasnął jej drzwi przed nosem, Sandria zdążyła wyczuć hamowane wysiłkiem woli nerwowe napięcie.

Co było jednak najsmutniejsze, to zmiana w wyrazie oczu. Znikły bez śladu widoczne na dawnym zdjęciu drobne, znamionujące radość zmarszczki wokół jasnoniebieskich oczu. Twarz przybrała twarde, zacięty wyraz, a z oczu wyzierało znużenie i nieufność.

Ernie ma rację. Hunter Garrett to zagadka, którą trzeba rozszyfrować. Fascynujący materiał dla dziennikarza.

Dla obu braci Sandrii opór Garretta stałby się dodatkowym, nieodpartym wyzwaniem. Siedliby mu na karku i tak długo zatruwali życie, aż w końcu, nie mając innego wyjścia, musiałyby się poddać. Już dziś mieliby dosyć materiału do napisania o nim całej książki.

Sandria poprawiła poduszki. Nie ma rady, musi pójść za przykładem braci. Nie da Garrettowi spokoju. Będzie jej miał po dziurki w nosie. Prędzej czy później ustąpi i zacznie mówić.

Choćby po to, żeby się od niej uwolnić.

Hunter wiercił się na łóżku, ale sen nie przychodził. W końcu wstał, westchnął ciężko, zrobił sobie kawę i poczłapał do gabinetu. Tam siadł za biurkiem, przeciągnął ręką po twarzy, obmacał czubkami palców opuchnięte powieki. Poczłapał, że kosmyk włosów opadł mu na czoło, więc odgarnął go zniecierpliwionym ruchem. Jutro... nie, to już dziś, musi pójść wreszcie do fryzjera.

Pośrodku biurka z wiśniowego drewna, w ostrym świetle biurowej lampy, spoczywał osobisty przeciwgazowy pojemnik o nazwie Mark I.

Po co przyniósł to diabelstwo do domu? Wolałby nie mieć go pod swoim dachem. Zresztą to i tak nie jego sprawa. Podjął decyzję. Jeżeli Braddock chce dla uspokojenia własnego sumienia porwać się na Cavanaugha, niech sobie poszuka innego pomocnika.

Przekrzywiając głowę, obejrzał pojemnik ze wszystkich stron - ale na odległość. Zmienili zatrzask. Cały model jest mniejszy i poręczniejszy od tego, nad którym on sam pracował kiedyś w laboratorium. Ciekawe, co jeszcze zmienili?

Nacisnął palcem zatrzask. Wieczko odskoczyło.

Strzykawki też zostały udoskonalone. Ktoś najwidoczniej uznał, że urządzenie trzeba zminiaturyzować, skoro ma stanowić część bojowego ekwipunku.

Zabawne, co byle wojna potrafi zdziałać dla finansowania nauki. Wystarczy, żeby jakiś pustynny kacyk postraszył amerykańską armię „bombą atomową domowej roboty” i od razu zaczyna się sypać lawina

pieniędzy. Konstrukcja pojemnika oraz sześciu gotowych do użycia ampułko-strzykawkę stanowiła istne arcydzieło.

Nie było natomiast pewne, czy zawartość jest równie doskonała jak opakowanie.

Hunter zatrzasnął wieczko. To już nie jego-zmartwienie. Zmęczyła go rola obrońcy prawdy i rzecznika spraw beznadziejnych. Dawny zapal do walki zgasł jak wypalone ognisko. Ze swojej żalostnej przygody wyciągnął przynajmniej jeden wniosek, a mianowicie, że świat nie jest doskonały i trzeba się z tym pogodzić.

Zapłacił za tę mądrość wysoką cenę. Cztery lata temu łudził się naiwnie, iż sam fakt wykrycia skandalu zapewni mu bezpieczeństwo. Kiedy jednak wystąpił przeciw Własnej firmie na drogę sądową, oskarżając szefów o produkowanie umyślnie rozcieńczonej substancji mającej zapobiegać skutkom zatrucia gazem bojowym, Charlie Cavanaugh ruszył do kontrataku i powalił Huntera na obydwie łopatki.

Rozpętano przeciwko niemu błyskawiczną, bezlitosną, absolutnie skuteczną kampanię oszczerstw, w wyniku której całe jego życie legło w gruzach. Kariera zawodowa. Rodzina. Szacunek ludzi. i

Stracił wszystko.

Bezpowrotnie.

Wstał gwałtownie i zgasił lampę. Pokój pogrążył się w ciemnościach. Nie, nie narazi się powtórnie na coś podobnego. Ani dla Braddocka, ani dla Leona Isaacsona, ani dla chwały i sławy

Stanów Zjednoczonych. W swoim spustoszonej życiu nie miał już niczego, co byłoby warte takiego poświęcenia.

Spostrzegł ją natychmiast po wyjściu od fryzjera. Trudno jej było jednak nie zauważyć. Burza kasztanowych włosów, kapitalne nogi, jakiś szczególny czar i urok, wszystko to razem sprawiało, że rzucała się w oczy nawet w największym tłumie.

Stała oparta o ten sam wynajęty samochód, który widział wczoraj przed swoim domem. Na widok Huntera opuściła ręce i postąpiła szybko do przodu. Nie uszło uwagi Huntera, że napięta przy tym ruchu bluzka korzystnie uwypukliła jej piersi.

No, no! Nie wolno mu poddawać się urokowi kobiety, która chce zburzyć tak upragniony spokój w jego życiu i równowagę ducha.

Mruknąwszy coś z niedowierzaniem, zacisnął pięści i ruszył przed siebie, starając się przybrać możliwie odpychający wyraz twarzy - nie tylko dla odstraszenia Sandrii, ale i po to, by siebie samego przywołać do porządku.

Ku jego irytacji, ona posłała mu niefrasobliwy uśmiech.

Kiedy znalazł się blisko, okrążyła go ostentacyjnie dookoła, jak rzeźbę w muzeum. W jej wyrazistych, piwnych oczach błyszczało rozbawienie.

- Bardzo dobrze - oceniła wynik wizyty u fryzjera. - Tak jest zdecydowanie lepiej.

- Panno Sutton...

- Proszę mi mówić Sandria.

- Nie zamierzam zawierać z panią aż tak bliskiej znajomości, panno Sutton. Zdaje się, że wczoraj postawiłem sprawę jasno.

- Fakt. Gdzie pański oprawca?

- Jaki oprawca?

- Jak to jaki? - Z udanym zdziwieniem podniosła ślicznie zarysowane brwi. - Pański niezwyciężony doberman.

Skoro tak, to nie pozostanę jej dłużny, pomyślał. Wygiął usta w złośliwym uśmiechu i mierząc ją krwiożerczym spojrzeniem oświadczył:

- Zostawiłem go w domu, gdzie studiuje pani podobiznę. Na wypadek nowej inwazji.

Roześmiała się szczerze, z całego serca. Ładnie się śmiała. Równie ładnie mówiła; miała dobrą, typowo nowoangielską wymowę. Zachowywała się naturalnie, bez śladu sztuczności czy tak częstego u kobiet w jej wieku krygowania się. Dostyc, upomniał się surowo, nie wolno ci rozpamiętywać sympatycznych cech tej właśnie osoby.

- Co pani tu robi?-zapytał.

- Muszę z panem porozmawiać. Tylko parę pytań. Nic straszego.

Potrząsnął ze znużeniem głową. Jego, furgonetka była zaparkowana za jej samochodem, ominął więc Sandrię łukiem i chwycił za klamkę. W ostatniej chwili rzucił jej znad maski pojazdu nieprzyjazne spojrzenie.

- Traci pani niepotrzebnie czas. Swój i mój. Powiew letniego wiatru zwichrzył jej włosy. Odgarnęła niesforny kosmyk z czoła.

- Nie sędzę.
- Pani sprawa rzucił, wzruszając ramionami.

Wkrótce potem natknął się na nią w sklepie sportowym. Wyrosła przed nim jak spod ziemi w dziale artykułów wędkarskich. Uśmiechając się nieznacznie, spytała, czy gotów jest wreszcie porozmawiać. Spiorunował ją wzrokiem i ruszył do kasy. Dopiero potem zdał sobie sprawę, że ze zdenerwowania zapomniał o pudełku z przynętami.

Następnego dnia, pchając wózek po supermarkecie, natknął się na Sandrię przy półce z piwem. Wszystko się w nim zagotowało.

Ha, trudno, pomyślał jednak. Jakkolwiek nie jest rzeczą przyjemną być śledzonym, nie zmieni swych planów tylko po to, żeby zmylić czujność wścibskiej dziennikarki. Jutro wczesnym rankiem miał wyruszyć na Wyspę Eryka i pozostało mu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Zrobi wszystko, co ma do zrobienia, bez względu na to, czy Sandria Sutton zechce mu dalej deptać po piętach, czy nie.

Nonszalanckim gestem oparł się łokciami o sklepowy wózek. Sandria, z przewieszonym przez ramię plastikowym koszykiem, obdarzyła go tym samym niewinnym uśmiechem, który zapamiętał z poprzednich spotkań - przed salonem fryzjerskim i w sklepie sportowym.

Przybrał minę, mającą dać jej do zrozumienia, że nic sobie nie robi z tych niepożądanych ingerencji w jego prywatne życie.

- Panna Sutton! Co panią tu sprowadza?

- Ja też muszę czasami coś zjeść. Spojrzał znacząco na jej pusty koszyk.

- Sądząc po tym, co widzę, zbytnio się pani nie objada.

- Dopiero weszłam.

- Często robi pani zakupy w tym sklepie? - A pan? -

odpowiedziała pytaniem.

- Bardzo rzadko.

- To pewnie i ja nie będę tu przychodzić - odparła niefrasobliwie i ciekawym okiem zlustrowała zawartość jego wózka. Na widok paczki serowych kotletów zauważyła: — Nie powinien pan tego jadać. Kotlety z sera zawierają mnóstwo cholesterolu.

- Lubię ryzyko.

Podniosła na niego swoje wielkie oczy, w których malowało się teraz czysto zawodowe zainteresowanie.

- Doprawdy? Jak bardzo?

- Jeżeli odrobiła pani lekcje - odparł burkliwie - to musi pani wiedzieć wszystko, co o mnie pisano.

- Ale mnie bardziej interesuje to, czego o panu nie napisano.

- Przykro mi, ale już mówiłem, że niepotrzebnie traci pani czas.

To mówiąc, wyminął stojącą mu na drodze reporterkę i wjechał wózkiem między kolejny rząd regałów, zdejmując machinalnie z półek prowianty. Nie zdziwił się, kiedy odwróciwszy głowę zobaczył, że Sandria Sutton stoi za jego plecami.

- Wybiera się pan w podróż? - spytała nagle. Miał nadzieję, że nie dał tego po sobie poznać, ale zrobiło mu się nieswojo. Skąd mogła

wiedzieć, że wyjeżdża na tydzień? Mówił o tym jedynie Rileyowi, który na pewno nie zdradził nikomu istnienia letniskowego domu Huntera na odludnej, prywatnej wysepce.

- Skąd przyszło to pani do głowy? - spytał, siląc się na obojętność.

Wskazała leżące w jego wózku dwie paczki.

- Podróżna tuba pasty do zębów i równie duży pojemnik dezodorantu. To chyba jasne, no nie?

Wściekły, że tak łatwo pozwolił się podejść, sięgnął gwałtownym ruchem na półkę za jej plecami i pochwycił ogromną paczkę prezerwatyw.

- Zgadła pani. Wybieram się na szampański weekend - rzekł, podsuwając jej ze złośliwym uśmiechem paczkę pod nos - z którym wiąże wielkie oczekiwania. Resztę pozostawiam pani domyślności.

Jeśli miał nadzieję, że ją speszy, to się przeliczył. Sandria obdarzyła go tylko pobłażliwym spojrzeniem.

- Rozmawiałam z kierownikiem sklepu sportowego. Twierdzi, że nie widział pana od długiego czasu, a nowe błystki kupuje pan tylko przed wyprawą na ryby.

Hunter udał, iż nie dostrzega tłącej się w jej spojrzeniu prośby.

- Pani, jak widzę, też lubi zarzucać wędkę.

- Wystarczy powiedzieć tak albo nie na moje pytania - odparła, lekko wydymając wargi,

Siłą woli rozluźnił zaciśnięte na uchwycie wózka palce i pchnął go przed siebie. Pochylił się przy tym, udając, iż jest zajęty

porządkowaniem sprawunków, lecz kiedy mijał Sandrię, owionął, go świeży zapach jej perfum.

- Czy moja obecność działa panu na nerwy? -spytła.

Przecząco potrząsnął głową.

- Nic z tego, moja droga. W ten sposób nic pani nie zwojuje.

- W jaki sposób?

- Chyba nie zamierza pani śledzić mnie do końca życia?

- Oczywiście, że nie. Tylko do czasu, aż zacznie pan ze mną rozmawiać.

Twarz znów mu się ściągnęła, a w oczach zamigotały złe błyski.

- Czy pani przynajmniej wie, o co jej chodzi?

- Chcę poznać pana historię.

- Nie ma żadnej „mojej historii”.

- Mam w tej sprawie odmienne zdanie - powiedziała zaskakująco twardym, zdecydowanym tonem.

Nie sposób było odmówić jej charakteru i wytrwałości. Gdyby nie złość i irytacja, zapewne wyraziłby tej kobiecie swoje uznanie. Zamiast tego posłał jej jednak tylko chłodne spojrzenie, pchnął wózek i skierował się do kasy.

Pojechała za nim do banku i do pralni. Robiła to jawnie, nie kryjąc się, a i on nie próbował jej zgubić podstępными manewrami, żeby sobie przypadkiem nie pomyślała, że działa mu na nerwy. Skoro chce marnować czas, obserwując go przy wykonywaniu najbanalniejszych czynności, to jej sprawa. Wkrótce się znudzi i zostawi go w spokoju.

Po przyjeździe na przystań dla sprawdzenia, czy łódź jest gotowa do rejsu, uznał w pierwszej chwili, że ma prześladowczynię z głowy. Na parkingu nie dostrzegł śladu białego samochodu ani też żadna długonoga dziewczyna nie zastąpiła mu drogi.

Zastał Riley a w jednym z hangarów, w których przechowywano wyciągnięte na brzeg jachty; Przyjaciel był zajęty spuszczeniem "Damy Serca" na wodę przed jutrzejszą wyprawą. Dokoła kołysały się zacumowane w pływającym doku eleganckie jachty i skromne żaglówki. Łódź Huntera należała w tym zbiorowisku do klasy średniej; bez zbędnego szyku, niezbyt szybka, po prostu solidna i praktyczna.

Podmuch wiatru potargał mu włosy, przynosząc swojskie zapachy ryb i żeglarskich smarów. W wielkich hangarach z aluminiowej blachy stało około stu łodzi poustawianych - niby książki na półkach - na wysokich, trzypiętrowych pomostach.

Przypomniał sobie dzień, kiedy razem z Julią dokonali ostatecznego wyboru łodzi. To on uparł się nadać jej nazwę „Dama Serca” - jak w chwilach czułości mówił do żony - na co Julia, do dziś miał to w oczach, speszona tak ostentacyjnym dowodem miłości, zaczerwieniła się i zaczęła protestować. Wiedział jednak dobrze, że w głębi serca była uszczęśliwiona.

Wspomnienie ścisnęło mu gardło i westchnął z żalem. Jutro „Dama Serca” po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy wypłynie w morze. Ostatnia wyprawa zakończyła się katastrofą. O mało nie stracił łodzi... i życia.

Riley ucieszył się na jego widok.

- Gotowa do drogi - oznajmił.

- Nieźle się prezentuje - przyznał Hunter. Obszedł łódź z wszystkich stron, szczególnie uważnie oglądając fragment kadłuba, w którym dziewięć miesięcy temu wybito pokaźną dziurę.

- Prawie nie ma śladu - zauważył.

- Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczyło i przestaniesz zadzierać z narwanymi poławiaczami krewetek. Gdyby trafił nieco bardziej w prawo albo w lewo, wszystkie żywice świata nie skleiłyby jej z powrotem do kupy. Miałeś szczęście.

- Hm - mruknął Hunter na wspomnienie tamtej nocy. -
Szczęście!

- Może jednak warto ją sprzedać? - zasugerował Riley. -
Mógłbyś dostać niezłą cenę.

- Wybij to sobie z głowy - odparł popędliwie Hunter, ale natychmiast zmienił temat, żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie.

- Jesteś już gotowy do przyjazdu na weekend? - spytał.

- Prawie - odparł Riley. - Muszę jeszcze tylko znaleźć kogoś, kto pod moją nieobecność zajmie się Busterem. Możesz się mnie spodziewać na wyspie najpóźniej w sobotę po południu. Poradzisz sobie beze mnie przez parę dni?

Hunter lekko się uśmiechnął.

- Postaram się zostawić ci kilka belon.

- Rany boskie, mój pierwszy wolny weekend od pół roku! Nie mogę się doczekać.

- Ja też, stary - westchnął Hunter, i po chwili dodał: - Taki kawał czasu.

Riley przeskoczył na pływający dok i stanął naprzeciw Huntera.

- Straszny kawał czasu - przytaknął.

- Ryba powinna...- zaczął Hunter, ale urwał w pół zdania i zaklął siarczyście pod nosem, wpatrzony w coś, co znajdowało się za plecami Riley'a. - Tego już Za wiele!

- Co takiego?

- Miarka się przebrała, moja panno - syknął Hunter przez zęby.

Riley obejrzał się.

- Och, pani reporter we własnej osobie!

- Zostań tu - rzucił Hunter. - Skończę z nią raz na zawsze.

Zdenerwowanie Sandrii wzrosło na widok miny nadchodzącego Huntera.

Panicznie bała się wody. Ten nieopanowany strach dodatkowo jej przypominał, jak bardzo odstaje od reszty rodziny. Suttonowie uwielbiali wspaniałe jachty, a żeglarstwo mieli po prostu we krwi. Ona natomiast nigdy nie nauczyła się pływać, zaś każdemu jej wejściu na pokład nawet najsolidniejszej łodzi towarzyszyła obawa, czy aby lada moment nie dostanie morskiej choroby.

Zatrzymała się w połowie doku, czekając, aż Hunter się zbliży, On uzna to pewnie za jakiś chytry manewr z jej strony, gdy tymczasem Sandria po prostu bała się wejść na wąską przegrodę oddzielającą dwa wodne baseny.

Ku jej zaskoczeniu, Hunter nie tylko się przed nią nie zatrzymał, ale nie zwalniając kroku gwałtownie chwycił ją za przegub ręki i pociągnął za sobą z takim impetem, że stawienie oporu równałoby się szaleństwu. Włókł ją w ten sposób, z trudem nadążającą za jego wielkimi krokami, aż do przyćmionego wnętrza najbliższego składu, tam zaś przyparł ją wprost do aluminiowej ściany i ogroził z obu stron potężnymi ramionami.

Skład był pusty, woda pluskała tuż tuż, ale Sandria widziała tylko wpatrzone w nią niebieskie oczy Huntera, w których błyskały złe, nieprzyjemne ogniki.

- Co za dużo, to niezdrowo - oświadczył cierpko. - Co mam zrobić, żeby się pani pozbyć?

- Przecież już mówiłam.

Jego ponura twarz przybrała jeszcze bardziej zacięty wyraz.

- Wykluczone.

- W takim razie będziemy się dalej bawić w kotka i myszkę - odparła, z udaną niefrasobliwością wzruszając ramionami.

- Nie ze mną takie zabawy - oświadczył, krzywiąc się z niesmakiem.

Zaczerpnął głęboko powietrza, spuścił głowę i zamilkł na dłuższą chwilę. Kiedy znów podniósł na nią wzrok, jego spojrzenie było jakby łagodniejsze, pozbawione wyrazu, co Sandria uznała za kolejną gierkę.

- Po co pani to robi? - zapytał.

To rzeczowe, zadane trochę zakłopotanym, spokojnym tonem pytanie zrobiło na Sandrii znacznie większe wrażenie niż gniew i złość. Obudziło w niej mimo woli niejasne poczucie winy.

- Proszę nie brać tego do siebie. Wykonuję tylko swój zawód. Ludzie mają prawo wiedzieć...

- Pani czytelnicy? - mruknął z niedowierzaniem. - Moje opinie nikogo dziś nie obchodzą.

- Mój szef jest innego zdania.

- To się myli.

-Ma pan prawo myśleć, co się panu podoba. Mierzył ją badawczym spojrzeniem, w którym czuła wyraźną pogardę.

- Co właściwie panią powoduje? Czy pani miejsce w zawodowej hierarchii jest aż tak niskie, że wysyłają panią na poszukiwanie zapomnianego biologa, który w swojej naiwności uważał się kiedyś za naprawiacza świata? Może następnym razem każą pani pisać o dziecinnych romansach Elvisa Presleya?

Przypomniawszy sobie, iż jednemu z jej braci zdarzyło się kiedyś stawić czoło rozwścieczonemu teksaskiemu senatorowi z naładowanym pistoletem w ręku, Sandria butnie podniosła głowę.

- Co pan może wiedzieć o moich kompetencjach i mojej zawodowej pozycji?

- Wszyscy jesteście tacy sami. Chce mnie pani wykorzystać dla wyrobienia sobie nazwiska, to jasne.

- Absurd! - oburzyła się, ale zawarta w niesprawiedliwym oskarżeniu cząstka prawdy sprawiła, że mimo woli spuściła oczy.

- Absurd? To dlaczego nie patrzy mi pani w oczy? - Roześmiał się smutno.

Sandria podniosła głowę. Przez moment miała wrażenie, że w jego oczach mignął przyjaźniejszy błysk.

- Widocznie tli się w pani jakaś resztką sumienia, skoro słowa gorzkiej prawdy wprawiają panią w zażenowanie.

Sandrię coraz bardziej irytował cenzorski ton Huntera, a także wrażenie, jakie robiła na niej bliskość jego przystojnej twarzy.

- Jestem zażenowana, bo nie przywykłam do brutalnych męskich napaści w biały dzień!

- A więc o tym myśli panna Sutton? - zdziwił się tonem bezgranicznego rozczarowania. Przekrzywiwszy głowę, omiótł jej twarz bezczelnym, leniwym spojrzeniem. - Chciałaby zawrzeć bliższą znajomość z obłąkanym szaleńcem, o którym rozpisywały się gazety? Mam jej zademonstrować resztki piany na ustach, jaka mi jeszcze pozostała z czasów głośnych akcji protestacyjnych?

To mówiąc, niespodziewanie trzasnął ręką w ścianę tuż koło jej głowy z taką siłą, że po zamkniętej przestrzeni rozeszło się głucho, metaliczne echo. Sandria wzdrygnęła się i ciarki przeszły jej po plecach. Na twarzy Huntera pojawił się gorzki uśmiech.

- Dopiero byłoby o czym pisać, prawda, panno Sutton?

Próbuje ją nastraszyć. Fałszywa duma kazała jej przybrać spokojny wyraz twarzy i zapanować nad głosem.

- Po tym, gdy doktor Isaacson zapowiedział wniesienie oskarżenia, a następnie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach,

chodzi nam jedynie o wiarygodne i rzeczowe uzupełnienie pańskich dawnych zarzutów.

Zaciał wargi.

- Proszę nie udawać pierwszej naiwnej. Żaden redaktor tym się nie zadowoli.

- Mój szef nie szuka sensacji. Ani ja.

- Czyste poszukiwanie prawdy? Bez żadnych ubocznych motywów?

- Tak jest.

- Wstrętne kłamstwa - skrzywił się z niesmakiem. Zadarł głowę i zaczął się rozglądać po suficie hangaru, jakby wśród jego przepastnych belek spodziewał się odnaleźć rozwiązanie niepojętej zagadki. - Do Ucha! - mruknął jakby do siebie. - Może pani tylko podaje się za dziennikarkę?

Chciała zaprotestować, ale zamknęło jej usta kolejne groźne spojrzenie. Pod jego pręgierzem zaczynała tracić resztki pewności siebie.

- Kim pani właściwie jest? Szukającą wsparcia obrończynią natury? Jeśli uciśniona księżniczka potrzebuje pomocy sławnego orędownika spraw beznadziejnych, to muszę jej oświadczyć, że rycerz przestał się zajmować walką z wiatrakami.

- Ależ co pan...

- Więc może chodzi o pieniądze? - rzucił surowo. - Próba szantażu? Nie daję pani większych szans, moje życie zostało już zbyt dokładnie przenicowane.

- Co za bzdury! - obruszyła się. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

- W porządku. Więc może seks, a to nękanie miało być osobliwym wstępem do łóżkowej przygody? Zachciało się panience zabawić z facetem o znanym kiedyś nazwisku?

Zdumienie na moment odebrało jej mowę. Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Proszę sobie nie pochlebiać. Nie jest pan aż tak sławny.

- Znałem kobiety, które były gotowe przespać się ze mną tylko po to, żeby zobaczyć swoje nazwisko w prasie.

- Mam nadzieję, że znalazły już sobie dobrego psychiatrę.

Uśmiechnął się wyzywająco, odsłaniając w szerokim grymasie olśniewająco białe zęby.

- Nie wywieram na pani wrażenia?

- Pański seksapil oceniam jeszcze niżej niż pana maniery.

- Może jednak warto spróbować? - Jego oczy zmieniły się w twarde kawałki szafiru. - Mogłoby się okazać, że mamy jednak jakieś wspólne upodobania.

Sandria rzuciła się w bok, daremnie próbując odepchnąć jego potężne ramię. Była już u kresu wytrzymałości.

- Proszę mnie puścić! Mam tego wszystkiego powyżej...

- Ja też.

Nagle Opuścił wzrok, wpatrując się jak zahipnotyzowany w jej wargi.

- Nie wiem, kim jesteś, Sandrio - odezwał się wreszcie cichym, lekko schrypniętym głosem - ale masz najpiękniejsze usta na świecie.

Spłoszona i zdezorientowana, Sandria zdała sobie nagle sprawę, że ten człowiek zamierza ją pocałować. Zebrawszy resztki rozsądku, gwałtownie przywarła policzkiem do ściany i starając się zapobiec realizacji czającego się w jego oczach pragnienia, rzuciła:

- Mówił pan, że nigdy nie poznamy się na tyle blisko, żeby mówić sobie po imieniu.

Jakieś dziwne i nieokreślone uczucia odmalowały się na jego twarzy. Trzymające Sandrię w żelaznym uścisku ręce opadły i Hunter nagle się cofnął. Lecz w następnej chwili patrzył na nią znowu zimnym, nieprzystępnym wzrokiem.

- Słusznie - przyznał sucho. - Pocałunek to za mało, żeby mnie skłonić do mówienia.

Sandria aż poczerwieniała ze złości i upokorzenia.

- Jeżeli ośmiela się pan sugerować, że za cenę wywiadu poszłabym z panem do łóżka...

- Miewałem już podobne propozycje;

Wzburzone kosmyki błyszczących, kasztanowych włosów, które wymknęły się spod zawiązanej z tyłu głowy kolorowej apaszki, opadały w nieładzie na jej ramiona. Hunter wyciągnął dłoń, jakby chciał odgarnąć je do tyłu, ale Sandria z całej siły trzepnęła go po ręce, gwałtownie odwracając twarz.

- Jeśli jeszcze raz spróbuje mnie pan dotknąć, następną rozmowę będziemy odbywać przy pana szpitalnym łóżku!

Uskoczyła w bok, wybiegła ze składu i ruszyła co sił w nogach przed siebie. Fale z cichym pluskiem uderzały o cementowe przegrody doku, ale Sandria z wściekłości i zdenerwowania zapomniała o strachu.

Hunter patrzył za oddalającą się kobietą, słuchając odbijającego się po wodzie echa jej kroków. Widział, jak w swej przepastnej torbie gorączkowo szuka kluczyków do samochodu, po czym wbija go w zamek białego auta niby szermierz zanurzający ostrze rapiera w serce przeciwnika. W chwilę później zatrzasnęła drzwiczki i z piskiem opon opuściła parking.

Nie obejrzała się.

Nic dziwnego.

- Żegnaj, panno Sutton - mruknął pod nosem: Zadanie wykonane, pomyślał, nieco zdziwiony tym, że pozbycie się raz na zawsze Aleksandrii Sutton bynajmniej nie poprawiło mu samopoczucia. Może to z winy jej delikatnych, kuszących ust? A może błyszczących życiem, wielkich, piwnych oczu?

Zacisnął zęby. Upokarzało go, że kobieta, którą widział zaledwie parę razy, tak mocno wryła mu się w pamięć.

Raptem zdał sobie sprawę z obecności Rileya.

- Mówiłeś coś? - spytał z chmurną miną.

- Uhm. Jakies pięć minut temu odparł przyjaciel z pełnym rozbawienia uśmiechem. - Pytałem, co zrobiłeś, że tak ją wymiotło?

Hunter lekceważąco wzruszył ramionami, jakby to, co się wydarzyło, nie miało większego znaczenia.

- Odbyliśmy rozmowę. Myślę, że więcej się nie pokaże.
- Ładna to musiała być rozmowa! Zmykała, jakby ją goniło stado ogarów!
- Dostała niezłą nauczkę - zaśmiał się Hunter triumfalnie, po czym zmarszczył brwi i wydał z siebie groźny pomruk: -
Poczęstowałem ją szczyptą wariactwa, za którym się uganiała.
- No to co cię gryzie? - zdziwił się Riley.
- Co?
- Zastanawiam się nad czymś - z wyrozumiiałym, wszechwiedzącym uśmiechem oświadczył przyjaciel. - Skoro, jak powiadasz, wyszedłeś z potyczki zwycięsko, to dlaczego wyglądasz jak dzięcioł z obolałym dziobem?

Mniej więcej w połowie drogi między parkingiem przystani a drugimi światłami Sandria uświadomiła sobie, że została po mistrzowsku wymanewrowana.

Hunter Garrett chciał się jej pozbyć i znalazł na to znakomity sposób. Grając na jej uczuciach i kompleksach, doprowadził ją do stanu takiego roztrzęsienia, że uciekała gdzie pieprz rośnie, prawie zapominając, dlaczego w ogóle chciała z nim rozmawiać. Zachowała się dokładnie tak, jak zaplanował.

Dojechała do hotelu, z trudem hamując furie. Tak mocno trzasnęła drzwiami pokoju, że na ścianie nad łóżkiem zachybotwały tanie reprodukcje Moneta. Zrzuciła z nóg pantofle i padłszy na łóżko, zanurzyła rękę w przepastnej torbie w poszukiwaniu długopisu oraz notatnika.

Znajdowała się z powrotem w punkcie wyjścia: Jak zmusić Huntera Garretta do udzielenia wywiadu?

Czas do południa zajęło jej robienie notatek sumujących poczynania Garretta w ciągu dwóch minionych dni. Jak na osobnika, który unika kontaktów z ludźmi, trochę za często jeździł ostatnio do miasta. Sandria była przekonana, że w supermarkecie trafnie odgadła jego zamiary. Przygotowywał się do wyjazdu. Tylko dokąd? I kiedy? Kto mógłby to wiedzieć? Komu Garrett gotów był się zwierzyć ze swoich planów?

Po raz któryś zabrała się do wertowania zgromadzonych notatek i fotografii. Od czasu procesu na większości zdjęć Garrettowi nie towarzyszył nikt prócz adwokata. Dopiero na fotografii sprzed roku rozpoznała znajomą twarz. Po nieudanej próbie wypuszczenia na wolność delfina uwięzionego w basenie na tyłach przedsiębiorstwa handlu nieruchomościami Garrett spędził noc za kratkami. Fotograf uchwycił go na schodach w chwili opuszczania aresztu.

Obok Garretta szedł, najwyraźniej zły i zatroskany, człowiek określony w podpisie jako „dawny przyjaciel”, który wpłacił za niego kaucję.

Był nim Riley Kincaid.

Od śmierci brata Richie Cavanaugh pracował w Cavanaugh Laboratories, gdzie oficjalnie pełnił rolę prawej ręki ojca. Jako wiceprezes spółki miał osobny narożny gabinet oraz własną sekretarkę, wybraną bardziej ze względu na efektowne nogi niż umiejętność pisania na maszynie.

Ojciec przedstawił go swoim współpracownikom jako głównego „mediatora” z ramienia firmy, ale zrobił to jedynie dla zachowania pozorów. Richie znał doskonale swoje prawdziwe miejsce nie tylko w firmie, ale i w sercu Charliego Cavanaugha. Na dobrą sprawę ojciec traktował go jak chłopca na posyłki.

No cóż, trudno. Od dawna nauczył się z tym żyć. Nie mógł się natomiast pogodzić z myślą, iż w wyniku ostatniej awantury zostanie uznany za mordercę, którym nie był. Absolutnie nie. Już raczej mógł

być ofiarą albo posłusznym narzędziem w rękach mściwego i ambitnego ojca, ale nigdy bezlitosnym zabójcą.

Z Isaacsonem to był fatalny przypadek. Skutek nieopatrznej, katastrofalnej pomyłki, która nie powinna była się wydarzyć.

Richie próbował rozpaczliwie wytłumaczyć ojcu, jak do tego doszło, ale Charles Cavanaugh nie lubił wysłuchiwać rozwlekłych wyjaśnień. Pod koniec tamtej rozmowy Richie płakał jak szczeniak, oblewając się zimnym potem na myśl o waszyngtońskiej policji, gotowej lada dzień zapukać do jego drzwi, by zakutego w kajdanki odstawić do więzienia.

Na razie nic takiego się nie stało, ale Richie wcale się nie łudził, iż zawdzięcza to swoim chytrym zabiegom, mającym nadać śmierci Isaacsona pozory samobójstwa. Zdawał sobie sprawę, że pospiesznie wystukana na maszynie notatka, którą zostawił w biurze Isaacsona po tym, jak biolog w trakcie szamotaniny przypadkiem wypadł przez okno, była nader partacką próbą ratowania własnej skóry.

Najnowszy incydent wskazuje, że ludzie zaczynają coś węszyć. Stając w hotelowej recepcji przed rzędem automatów telefonicznych, Richie Cavanaugh kilkakrotnie zaczerpnął świeżego powietrza, nim zdobył się na to, by podnieść słuchawkę i zawiadomić ojca o ostatnim odkryciu.

Starego trafi szlag, kiedy usłyszy o tej dziennikarce. Będzie przeklinał na czym świat stoi, nie oszczędzając Richie'emu znanych im obu na pamięć słów krytyki, a na koniec padnie nieuchronne - rzecz jasna, bardzo niekorzystne dla Richie'ego - porównanie z

bratem, bo jedyną winą, jaką Lyle popełnił w swym nieskazitelnie patriotycznym życiu, było to, że zaciągnął się jak głupiec do wojska i dał się zabić.

Po. wyładowaniu na nim pierwszej furii ojciec wyda rozkazy, a Richie dołoży wszelkich starań, by jak najlepiej je wykonać, bo tak postępował za każdym razem, żywiąc nadzieję, iż ojciec przyjmie kiedyś do wiadomości, że został mu jednak jeden syn, a życie nie stanęło w miejscu owego dnia, kiedy do drzwi ich domu zapukał oficer w mundurze i zawiadomił rodzinę o śmierci Lyle'a.

Richie wystukał numer telefonu, czując, jak ze strachu ściska mu się żołądek. Wzdrygnął się, bo zaraz po pierwszym sygnale podniesiono słuchawkę, jakby ojciec czytał na niego przy telefonie.

- Gdzie jesteś? - rzucił ostro synowi Charlie Cavanaugh.
- W hotelu Winddrift, na północnym krańcu Fort Myers Beach.
- Co tam robisz, u licha? Miałeś przecież śledzić Garretta.

Miałeś mi natychmiast dać znać, gdyby Ken go podbechtał i ten sukinsyn próbował się na nowo awanturować.

Richie poczuł na sobie wzrok recepcjonisty, który za łapówkę udzielił mu przed chwilą informacji, więc odwrócił się plecami i pochylił w głąb telefonicznej budki.

- Kiedy on nie robi nic szczególnego, tylko jeździ po sklepach. Musisz jednak wiedzieć, papo, że nie tylko ja go śledzę. Jeździ za nim jakaś dziennikarka z Miami.

- Chryste! Już z nim rozmawiała?
- Tak, ale nie wygląda na to, żeby byli w dobrej komitywie.

To jeszcze nie znaczy, że nie zaczniesz sypać,

- Co chcesz, żebym zrobił?

Charlie Cavanaugh puścił serię soczystych przekleństw.

- Czy ja jeden muszę za wszystkich myśleć? Że też musiałeś narobić nowego bigosu! W niczym nie można na tobie polegać.

Richie już prawie nie reagował na podobne upokorzenia ze strony ojca, do których ostatnimi czasy sprowadzały się ich wzajemne stosunki. Obiecywał sobie nie podejmować więcej poniżających prób zyskania ojcowskiej aprobaty. Był jednak tak wystraszony, że z trudem opanowywał drżenie głosu.

- Przysięgam ci, że w żaden sposób nie mogłem zatrzymać Isaesona, kiedy wylatywał przez okno. Chciałem go po prostu trochę postraszyć, żeby odeszła mu ochota do wytaczania nam procesu. Doszło do przepychanki, on się zatoczył...

- A nie lepiej było wziąć go pod włos, opowiadając o ciężko chorym ojca? Lyle wiedziałby, jak się do tego zabrać.

- Zrobiłem, co mogłem, żeby upozorować samobójstwo. - Richie jękał się nieporadnie. - Może gliny to kupią.

- Richard, nie wszyscy waszyngtońscy gliniarze są idiotami. To, że jakaś dziennikarka próbuje dogadać się z Garrettem, wyraźnie wskazuje, że ktoś dopatrzył się już związku między jego oskarżeniami sprzed czterech lat a tym, że Isaacson - co oficjalnie podała prasa - wytoczy sprawę sądową firmie pracującej na zlecenie rządu. Dodaj do tego wizytę, jaką twój szwagier złożył Garrettowi, i robi się z tego wszystkiego niezły pasztet. - Cavanaugh wciągnął ze złością

powietrze w płuca i po długim milczeniu podjął: - Moi ludzie przetrząsnęli dom Isaacsona od piwnic do strychu. Czy przeszukałeś mieszkanie Garretta, tak jak ci kazałem?

- Jeszcze mi się nie udało.

- Dobry Boże, na co ty czekasz? Na oficjalne zaproszenie? Dostań się tam i sprawdź, czy Isaacson albo Ken nie przekazali mu czegoś konkretnego, co mógłby przedstawić prokuratorowi jako dowód rzeczowy. Nie można dopuścić do tego, żeby zamiast Isaacsoną Garrett pociągnął sprawę. Nie stać nas na kolejne śledztwo.

- A jeśli coś znajdę?

Na drugim końcu zapadła cisza. Richie czuł, jak ogarnia go paniczny lęk. Musi się za wszelką cenę opanować, bo inaczej znowu wyjdzie w oczach ojca na głupka.

- Trzeba będzie załatwić sprawę. Ostatecznie.

Richie'emu zrobiło się gorąco, Nie bardzo wiedział, co ojciec ma na myśli mówiąc o „załatwieniu” sprawy, ale trzeźwa znajomość życia podsuwała mu mało zachęcające obrazy.

- Papo, a może przyszedł czas na zmianę taktyki? Mógłbym wsiąść w samolot i zwać z kraju. Przycząić się...

- I kazać ojcu świecić oczami przez Komisją Senacką?- Jego słowa brzmiały jak smagnięcie szpicrutą. - Mogłem się tego po tobie spodziewać. Co ja mam za rodzinę? Zięc okazuje się zdrajcą, a syn pozbawionym kręgosłupa wymoczkiem. Lyle wiedziałby...

- Lyle nie żyje, papo - odważył się wtrącić Richie.

- Wiesz, że nie ma dnia, bym o tym zapomniał - oznajmił Charles z kamiennym spokojem. - Wojsko odebrało mi Lyle'a po wsze czasy. Ale odpłaciłem im z nawiązką, no nie?

Nim strach zdążył zdusić mu słowa w gardle, Richie wyrzucił z siebie:

- Nic nie przywróci mu życia. Dlaczego nie chcesz przyjąć tego do wiadomości?

- Nigdy nie daruję armii, że pozbawiła mnie syna. Nigdy. A Lyle'owi nie przysłoby do głowy kwestionować moich decyzji,

- Ja nie kwestionuję...

- No to sprawdź, co knuje Garrett z tą dziennikarką. Żebym nie musiał się o tym dowiadywać z porannych gazet.

- Papo...

- Musisz zamknąć im gębę - zasyczał w słuchawce głos Charliego Cavanaugha. Zapadło krótkie, ciężkie milczenie. - Zrozumiałeś, Richie?

Richie'emu strach ścisnął wnętrzności, Tak, chyba rozumiał, czego ojciec od niego żąda. Rozumiał aż nadto dobrze.

Wstawał dzień wymarzony do wyruszenia w morze. Wokół przystani, na poruszanych lekką bryzą falach, kołysały się stadka mew. Powietrze było czyste i rześkie. Hunter pomyślał, że Julia uwielbiała takie dni.

- Na pewno o niczym nie zapomniałeś? - po raz trzeci zapytał Riley. Podrzucił w rękach ciężką lodówkę turystyczną, którą znosił po schodach do łodzi przyjaciela.

- Mało ci tego? - Hunter ruchem głowy wskazał trzymane w ramionach ogromne pudło z żywnością.

- Piwo masz?

- Uhm.

- Takielunek?

- Jest.

- Nasze ulubione kotlety serowe?

- Podobno zawierają mnóstwo cholesterolu. Słyszałeś o tym?

- Zacząłeś się nagle przejmować dietą?

- Ależ skąd - wzruszył ramionami Hunter, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na wspomnienie osoby, która udzieliła mu tej informacji. Ciekawe, czy Aleksandria Sutton odleciała już do Miami i jak wytłumaczy swojemu szefowi, dlaczego o Hunterze Garretcie dowiedziała się tylko tego, że lubi niezdrowo się odżywiać? - Po prostu pewna pani zwróciła mi na to niedawno uwagę - dodał na głos. Riley wyraźnie się zaniepokoił.

- Więc kupiłeś je czy nie?

- Uspokój się. Są w pudle.

„Dama Serca” kołysała się na wodzie, raz po raz uderzając burtą o obrośnięte pąklami słupki. Hunter wskoczył na pokład i zabrał się do rozmieszczania reszty prowiantów. Niespodziewanie w jego rękę znalazła się paczka prezerwatyw, którą zapomniał usunąć z pudła.

Dostrzegłszy pakunek, Riley z zaciekawieniem przyjrzał się przyjacielowi.

- Do czego ci to potrzebne?

- Na Boga, Riley, kiedy ostatni raz miałeś randkę?

- Niewiele dawniej niż ty - odciał się Riley. - No więc? Na co ci one?

- Musiałem je przez omyłkę wrzucić do koszyka - skrzywił się Hunter. - Przesłuchanie skończone? A może masz jeszcze jakieś pytania?

- Owszem: kupiłeś nowe błyski?

- Tak jest. Gdyby się okazało, że o czymś zapomniałem, dam ci znać przez radiotelefon i przywieziesz w sobotę.

- Chciałem się tylko upewnić, że mamy wszystko, co potrzebne.

- Nie wybieramy się na Księżyc, tylko na wyspę.

- Niewielka różnica, skoro będziemy na niej jedynymi ludźmi,

- Rajski spokój. Zobaczysz, jakie to wspaniałe uczucie.

Riley zdjął z kołka cumentę, zwinął ją w kilka pętli i rzucił Hunterowi na pokład.

- Nigdy nie zapomnę ostatniej wizyty w waszym szałasie. Nie było wody ani elektryczności, a komary omal nie zżarły mnie żywcem. Czuję się jak na obozie harcerskim pod namiotami, kiedy przez cały tydzień pada deszcz. Uciekłbym wcześniej, gdyby nie to, że Julia i Eryk dokuczaliby mi potem do końca życia.

- Aha - zaśmiał się lekko Hunter. - Zależli ci porządnie za skórę.

Głównym punktem programu były występy Eryka, który świetnie naśladował Rileya opędzającego się od komarów. Hunter musiał wtedy w obronie przyjaciela odegrać rolę surowego ojca i skłonić syna, aby okazywał starszym więcej szacunku.

Z nachmurzonym czołem wpatrzył się w zwój trzymanej w ręku nylonowej linki. Kiedy to było! Niemniej obraz jego, Julii i Eryka, siedzących razem wokół jadalnego stołu, dźwięk ich śmiechu pomieszany z monotonnym pluskiem wody - wszystko to żyło nadal w jego pamięci, jakby działo się zaledwie wczoraj.

Zdał sobie sprawę, że Riley bacznie go obserwuje, czekając, aż odpłynie. Chcąc przerwać niezręczne milczenie, powiedział:

- Od czasu twojej ostatniej wizyty zainstalowałem prądnicę.

- No, no, co za wygody!

- Mnie nie trzeba wiele, ty też wytrzymasz. Riley pochylił się nagle i przytrzymując się burty dryfującego od nabrzeża jachtu, spojrzał przyjacielowi znacząco w oczy.

- Słuchaj, Hunt. Wiedz, że gdyby ci się coś odmieniło i wolałbyś mieć cały tydzień wyłącznie dla siebie, nie krępuj się, nie będę miał pretensji. Wystarczy zadzwonić i zostawię cię w spokoju.

Propozycja wprawiła Huntera w zdumienie. Skąd coś podobnego przyszło Rileyowi do głowy?

- Chcesz się wykręcić od przyjazdu? - zapytał.

- Wcale nie. Mówię tylko, że się nie obrażę, jeśli dojdiesz do wniosku, że moje towarzystwo jest ci nie na rękę - tłumaczył dziwnie zmieszany Riley. - Jako przyjaciel chcę tylko twojego dobra.

Pamiętaj.

Hunter był kompletnie zbity z tropu nagłym i niezrozumiałym, absolutnie nietypowym zachowaniem Rileya. Potrząsając ze

zdziwienia głową, włączył silnik. Kiedy hałas motoru lekko przycichł, zawołał do niego:

- Nie rób mi kawałów, stary. Do zobaczenia w sobotę.

Sandria stłumiła ziewnięcie, przesuając się zarazem jak najbliżej wewnętrznej krawędzi kapitańskiego siedzenia. Jej najbliżsi krewni zapewne nie zaszczyciliby unoszących się szerokimi ławami wód zatoki mianem morskich fal, ale ona czuła ciarki na plecach, ilekroć spojrzała w szmaragdowe odmęty. Pocieszyła się myślą, że chyba nawet bracia doceniliby upór i wytrwałość, z jaką walczy o zdobycie wywiadu.

Wczorajsza rozmowa z Rileyem Kincaidem bynajmniej nie była łatwa; chwilami wydawała się wręcz beznadziejna. Sandria musiała się uciec do wszystkich rodzinnych forteli oraz sporej porcji czysto kobiecej kokieterii, zanim, po długich namowach, zdołała wreszcie przekonać Rileyę, że ma czyste intencje i Hunterowi Garrettowi nic z jej strony nie grozi.

Troska właściciela przystani o los przyjaciela była naprawdę wzruszająca. Sandria nie omieszkała przy tym zauważyć, że Kincaid bardziej się niepokoi o przyszłość Huntera niż o dawne dzieje. Kiedy mu wyjaśniła, że jej dotychczasowe kontakty z Garrettem były raczej wrogie i nie doprowadziły do porozumienia, Kincaid wyraźnie się zaciekawił, a nawet objawił pewne zadowolenie.

Myśląc ze strachem o tym, co go czeka za zdradzenie tajemnicy, Riley zdecydował się w końcu wyjawić Sandrii, że Hunter zamierza spędzić najbliższy tydzień na Wyspie Eryka. A w dodatku

zapropował wynajęcie jednej ze swoich motorówek. Choć więc na myśl o morskiej wyprawie Sandrii zrobiło się sucho w gardle, musiała chąc nie chcąc przyjąć jego propozycję. Po odbyciu godzinnej lekcji żeglarstwa przyrzekła stawić się nazajutrz na przystani wczesnym rankiem, jeszcze przed pojawieniem się Garretta.

Teraz więc, senna i wystraszona, czatowała na niego w osłoniętej zatoczce niedaleko przystani. Krótkie szorty i skąpa bluzka nie chroniły jej przed zimnymi podmuchami porannego wiatru. Wynajętą motorówką miały przybrzeżne fale. A jeśli Garrett popłynie na wyspę inną drogą niż ta, którą podał jej Riley, Sandria może się z nim minąć i ostatnia nadzieja na przeprowadzenie wywiadu wymknie się jej z rąk.

Pomysł, który jeszcze wczoraj wydawał się wręcz znakomity, w świetle dnia wyglądał raczej na ponure szaleństwo.

Dopiero po wyjściu z basenu przystani, w którego obrębie obowiązywał zakaz wznoszenia fali, Hunter otworzył przepustnicę na pełny gaz.

Wkrótce przepłynie pod mostem, za którym rozpościerała się zatoka Wyspy Sosnowej, upstrzona miniaturowymi, piaszczystymi wysepkami. Trafiały się jednak także większe połacie stałego lądu - prawdziwie rajskie oazy nieskalanej cywilizacją przyrody.

Trzydzieści lat temu Hunter zbierał dosyć pieniędzy na zakupienie takiego miniaturowego raj. Chata na wyspie stała się miejscem wypoczynku, a także bazą do prowadzenia własnych badań

naukowych. Ostatnimi zaś czasy pełniła również rolę chroniącej przed światem fortecy. Kochał to miejsce nade wszystko w świecie.

Jakiś szósty zmysł podpowiadał Hunterowi, że nadchodzący tydzień będzie miał dla niego przełomowe znaczenie. Do przyjazdu Rileya za pięć dni zdąży odżyć fizycznie i umysłowo, a także przemyśleć kilka istotnych spraw i podjąć długo odkładane decyzje.

Prowadzenie środowiskowej krucjaty, jakkolwiek osobiście satysfakcjonujące, nie było zajęciem intratnym. Oszczędności i akcje, z których żył od kilku lat, wystarczały mu dotąd na skromne potrzeby, ale i te fundusze kiedyś się wyczerpią. Wobec nieprzejednanej postawy akademickiej społeczności, która wykluczyła go ze swego grona, oraz faktu, że jego nazwisko zbyt długo nie pojawiało na pierwszych stronach gazet, by mogło się na coś przydać obrońcom środowiska, należało pomyśleć wreszcie o radykalnej zmianie zawodu.

Mógłby, na przykład, rozważyć ofertę Rileya i razem z nim kierować przystanią jako jej współwłaściciel. Albo zrealizować inny wielokrotnie omawiany projekt założenia na spółkę przedsiębiorstwa żeglugowego.

W tym momencie jego wzrok spoczął na rzuconej w pośpiechu na sąsiednie siedzenie turystycznej torbie. Jedno nie ulegało wątpliwości: za żadne skarby nie da się wciągnąć w żadne przedsięwzięcie mające jakikolwiek związek z firmą Cavanaugha.

Niepotrzebnie zabrał z sobą przeciwgazowy pojemnik, nie chciał jednak, żeby nienawistny przedmiot pozostawał nadal w jego domu,

na biurku w gabinecie. Po przyjeździe na wyspę łatwo się go pozbędzie, choćby zakopując w ustronnym miejscu. Nikt nigdy się nie dowie, co się w nim kryło, podobnie jak na zawsze pozostanie tajemnicą, co zamierzał uczynić Leon Isaacson.

Na wspomnienie śmierci Isaacsona poczuł lekkie ukłucie w sercu. Pracowali kiedyś razem nad pewnym projektem dla NASA i choć nie byli sobie szczególnie bliscy, to jednak w trakcie toczonej przez Huntera cztery lata temu batalii sądowej biochemik stał twardo po jego stronie. Isaacson był weredykiem i dziwakiem, typem człowieka, którego nie sposób było posądzić o to, że ni stąd, ni zowąd wyskoczy na bruk z okna dwudziestopiętrowego wieżowca.

Hunter odchrząknął i powiódł w roztargnieniu ręką po twarzy. Sprawa jest podejrzana. No, ale ostatnimi czasy niemal wszystko wydaje mu się podejrzane.

Jego uwagę przykuła trójka delfinów, które wyraźnie zamierzały mu towarzyszyć, baraszkując w wodzie przy prawej burcie. Promienie słońca rozświetliły zatokę, pobłyskując na falach złotem i turkusem.

Hunter rozpogodził się i oblizał wargi, na których osiadła szczypta morskiej soli. Nie będzie sobie w tym tygodniu zaprzętał głowy Cavanaughem, Braddockiem ani Isaacsonem. Wszystko to należy do przeszłości, o której zamierzał raz na zawsze zapomnieć. Jakąkolwiek zagadkę kryje w sobie tragiczna śmierć Isaacsona, władze potrafią ją rozwiązać bez jego pomocy.

Na horyzoncie majaczyło zaledwie parę łodzi. Był wczesny ranek, zresztą przed pojawieniem się weekendowych żeglarzy w zatoce panować będzie spokój.

W odległości jakichś stu metrów od niego pojawiła się płynąca z prądem samotna motorówka. Za kierownicą Siedziała dziewczyna, która pomachała mu ręką. Odwzajemnił pozdrowienie, rozpoznając jedną z łodzi, które Riley wynajmował turystom. W oślepiających promieniach słońca włosy żeglarki lśniły niby wypolerowana miedź. Hunterowi zapało dech, odgadł bowiem, kim była, nim otwarłszy przepustnicę na pełny gaz, skrzyła gwałtownie w jego kierunku.

Coś podobnego! Sandria Sutton jest znów na jego tropie, a dopomógł jej w tym jego najlepszy przyjaciel! Obejrzał się przez ramię i mimo unoszącej się nad kilwaterem białej chmury wodnego pyłu spostrzegł, że dziewczyna siedzi mu dosłownie na ogonie. Ten cholernik musiał jej wypożyczyć najszybszą łódź!

Potrząsnął głową, wyrażając dezaprobatę, a ta diablica posłała mu czarujący uśmiech.

Za żadną cenę nie może dopuścić jej na wyspę.

Trzeba dać tej czarownicy ostateczną nauczkę. A Riley niech się ma w sobotę na baczności.

Wykonał gwałtowny zwrot w tył, mijając latarnię morską na Sanibel. Przez następne pół godziny robił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją zgubić, ale ilekroć się obejrzał, nadal siedziała mu na ogonie. Albo głupi ma szczęście, albo ta baba jest mistrzynią

żeglarstwa. Ważyła się na manewry, które nawet on uznałby za zbyt ryzykowne.

Zaświtał mu w głowie znakomity pomysł. Zwolnił i szerokim łukiem zaczął się ku niej zbliżać, po czym wyłączył motor. Poszła za jego przykładem. Łodzie dryfowały, zbliżając się do siebie. Kobieta wstała, trzymając jedną rękę na sterze. Była blada i spięta, ale błędzące po wodzie iskry światła odbijały się w jej oczach, a słońce zdawało się pieścić gładką jak atlas skórę nóg, które wyłaniały się w całej okazałości spod krótkich spodenek.

Szybko przywołał się do porządku i surowo oświadczył:

- Nie wiem, panno Sutton, jakich użyła pani sposobów, żeby zjednać sobie Rileyę, ale oświadczam, że te sztuczki na nic się zdadzą. Proszę natychmiast wracać do domu.

- Zapewniam pana, że o niczym bardziej nie marzę - odparła z cichym, zaleknionym westchnieniem.

- Spisała się pani na medal, ale dalsza pogoń byłaby jedynie dowodem głupiego uporu.

- Podobnie jak dalsza ucieczka - odcięła się z lekkim wzruszeniem ramion.

Hunter przeciągnął ręką po włosach, zmrużył oczy i zapatrzył się w słońce. Po chwili zaś, jakby podjąwszy decyzję, przez dzielącą ich przestrzeń wody spojrział prosto na Sandrię.

- Zgoda - oświadczył. - Poddaję się. Otworzyła szeroko oczy, jakby nie śmiała wierzyć jego słowom.

- Naprawdę? Chciałam powiedzieć... to bardzo rozsądne z pana strony.

- Im szybciej się pani pozbędę, tym prędzej będę mógł normalnie żyć. Ale musimy najpierw zawrzeć umowę.

- Jaką umowę? - spytała podejrzliwie.

- Musimy się rozmówić - rzekł, wskazując głową widoczny w oddali skrawek lądu. - Widzi pani tę piaszczystą łachę z odrobiną zarośli, przypominającą garb wielbłąda?

- Tak.

- Spotkajmy się tam.

- Podobno ma pan letni dom na którejś z wysepek. Czy nie lepiej popłynąć tam od razu?

- Nie. Musimy najpierw ustalić pewne reguły.

- Nie ucieknie pan po drodze, korzystając z mojej nieuwagi?

- Takie są warunki, droga pani. Nie wiem, czy będzie pani zadowolona z wyniku naszej rozmowy, ale to już nie moja rzecz.

- Proszę się o mnie nie martwić.

- Znakomicie. Proszę trzymać się z dala od mojego kilwateru. Łacha wchodzi głęboko w morze, więc trzeba zawczasu wyłączyć motor, żeby łódź nie wbiła się w mieliznę.

Widział po jej minie, że pomysł odbycia w środku Zatoki Meksykańskiej improwizowanej konferencji uznała za nieco ekscentryczny, ale do przyjęcia.

- Jak pan sobie życzy - przystała.

- Gdyby tylko można było pani wierzyć - mruknął pod nosem. Dodał gazu i łódź wartko pomknęła przed siebie.

Sandria kurczowo zacisnęła ręce na sterze, grożąc jego zmiążdżeniem. Po wodnym slalomie, jaki urządził jej Hunter, każdy skok dzioba w dół albo w górę fali przyprawiał ją o mdłości. Swoją brawurową jazdę zawdzięczała szczęściu, a nie żeglarskim umiejętnościom i wiedziała, że pewnie tylko cudem uniknęła katastrofy. Nieoczekiwane ustępstwo Huntera sprawiło jej taką ulgę, że omal nie rozplakała się z radości.

Piaszczysta łąka w kształcie półksiężyca była królestwem krabów a porastały ją rzadkie karłowate palmy i kępy namorzynów. Sandria i Hunter wyłączyli motory, pozwalając łodziom osiąść powoli na piasku. Wąski pas plaży oznaczony był gęsto hieroglificznymi śladami ptasich spacerów.

Sandria nie bardzo wiedziała, co dalej robić, ale Hunter wybawił ją z kłopotu, gdyż po zarzuceniu kotwicy wskoczył do wody i pochwycił cumę jej motorówki.

- Proszę chwilę poczekać - zakomenderował, po czym wbiegł boso na plażę, ciągnąc za sobą cumę, którą przymocował do pobliskiego drzewka.

Następnie wrócił na swoją łódź i z bagażowego pudła wyjął plażowy ręcznik. Sandria trochę się zdziwiła, kiedy podszedł i wyciągnął rękę, by pomóc jej wyjść na ląd.

- Siądźmy na chwilę - zaproponował. Poznała po jego oczach, że nie jest pewien, czy nie spotka się z odmową. Chwyciła leżącą na

pasażerskim siedzeniu podręczną torbę i szybko podała mu dłoń. Łódź zachybotła się przy wysiadaniu, ale Hunter trzymał Sandrię mocno i pewnie. Wypuścił jej rękę dopiero wtedy, gdy dotknęła stopami ziemi.

Szurając nogami po piachu, ruszył w głąb plaży i rozłożył ręcznik w pobliżu drzewka, do którego przywiązał przed chwilą cumę jej motorówki. Usiadł po turecku na ręczniku, zapraszając gestem, by zajęła miejsce obok.

Wiedziała, jak bardzo jest przystojny i pociągający, nie przypuszczała jednak, że fizyczna bliskość siedzącego tuż obok w blasku słońca mężczyzny aż tak na nią podziała. W jego niebieskich jak lód oczach czaiło się dziwne napięcie i ciekawość.

- I co teraz? - spytała, aby pokryć nagłe skrępowanie.

- Znakomite tereny do połowu mięczaków i skorupiaków - zauważył.

- Mieliśmy zawrzeć umowę. Puścił jej słowa mimo uszu.

- Co pani powie na ten widok, panno Sutton? - zapytał.--

Posłusznie rozejrzała się po okolicznych brzegach, czując, iż musi spokojnie poczekać, aż Hunter sam przejdzie do rzeczy.

- Bardzo ładny - uznała.

- Kompletna ruina - zawyrokował, wskazując długi ciąg wielopiętrowych, nadbrzeżnych hoteli. - Kiedy byłem mały, można było przejść plażą z Fort Myers do Naples, nie napotkawszy po drodze żywej duszy. Teraz wszędzie budują, pogłębiają dno... - Wziął w rękę garść piasku, pokazał go na dłoni i z wolna przesiał przez palce. - Proszę spojrzeć. To już nie piasek, to zanieczyszczone odpady. —

Wyrecytował nazwy pięciu czy sześciu minerałów, które pamiętała ze szkoły. Otrzepał ręce. - Czy pani wie - ciągnął - że plaża Sanibel zajmowała kiedyś drugie miejsce na liście najlepszych łowisk skorupiaków? A dziś człowiek jest zadowolony, jeśli wyłowi przyzwoitą konchę królowej.

Nie miała pojęcia, co to jest koncha królowej, ale przybrała stosownie zmartwiony wyraz twarzy.

-Za postęp trzeba niekiedy płacić wysoką cenę - powiedziała ostrożnie.

Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby nagle wyrosły jej rogi.

- Jest to pogląd, którego nie tylko nie podzielam, ale zgoła nie przyjmuję do wiadomości.

Podparł się z tyłu łokciami i uniósł twarz do słońca. W obciętych nad kolanami džinsach i trykotowej koszulce jego opalone ciało buchało fizyczną siłą.

- Niech no tylko dopadnę Riley'a - powiedział kwaśno. - Już ja się z nim porachuję.

- Jest dobrym przyjacielem.

Uśmiechnął się szeroko, nie otwierając oczu. Sandria spostrzegła ze zdziwieniem, że na jego policzkach utworzyły się dziecinne dołeczki.

- Uhm. Moim czy pani?

- Chciał tylko pomóc.

- No właśnie. - Hunter poderwał się i spojrzał Sandrii w twarz.

- Przykro mi to mówić, ale nie udzielę pani żadnego wywiadu,

Sandria, zaskoczona, mimowolnie też wyprostowała się jak struna.

- Jak to? Więc po co ta komedia? Niech się panu nie wydaje, że dam za wygraną i odejdę z nosem na kwintę.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego panią tu ściągnąłem.

Sandrii mocno zabiło serce, a na policzki wypłynęły rumieńce. Hunter wodził po jej twarzy poufałym spojrzeniem.

- Niech pan sobie... Tym razem nie dam się wystraszyć - wybąkała.

- Wiem. Zostałem zmuszony do zastosowania ostrzejszych środków.

Poczuła ucisk w gardle. Hunter przysunął się do niej tak blisko, że widziała, jak promienie słońca odbijają się w jego niebieskich tęczówkach, a na policzku czuła gorący oddech.

- Przykro mi, panno Sutton - szepnął jej niemal do ucha, smutno się uśmiechając - ale sama mnie pani do tego zmusza.

Zaraz mnie pocałuje, a ja raczej nie będę się bronić, pomyślała Sandria. Ale chyba powinnam. Oczywiście, że powinnam.

- Proszę przestać - zaprotestowała bez przekonania. - Proszę się do mnie nie zbliżać.

Potrząsnął głową.

- Nie, Sandrio, nie zamierzam cię pocałować. Chcę cię jedynie powstrzymać.

Wyciągnął rękę. W pierwszej chwili myślała, że chce ją objąć, ale nagle zamarło jej serce. Hunter wyciągnął sprężynowy nóż.

Stalowa klinga zaśniła w słońcu.

Ze strachu zamknęła oczy. Czy postanowił ją zamordować? A potem ukryć ciało w rzadkich zaroślach na wyspie? Rodzice nigdy się nie dowiedzą...

Otworzyła oczy i makabryczne przypuszczenia momentalnie się rozwiały. Hunter zniknął z ręcznika; był już prawie na brzegu.

Patrzyła oniemiałym wzrokiem, jak wyciąga kotwicę, wrzuca ją do swojej łodzi, wypycha łódź na wodę i wskakuje na pokład.

- Co pan robi? - krzyknęła, zrywając się poniewczasie na nogi. Jej motorówka też cofała się w morze, holowana na odciętej nożem od drzewka cumie, którą Hunter dzierżył teraz w dłoni.

Dobiegła do brzegu, ogarnięta panicznym strachem.

-Dokąd pan płynie?

- Żegnam panią-odparł spokojnie.

- Nie może mnie pan tutaj zostawić!

- Właśnie to zrobiłem.

Mierzył ją obojętnym wzrokiem. Popychana zatokowym prądem motorówka coraz szybciej oddalała się od brzegu.

- Nie!

W jej głosie brzmiało tak rozpaczliwe przerażenie, że Hunter niemal nie zawrócił. Zrobiła się, jeśli to możliwe, jeszcze bledsza niż przedtem, a nieporadność, z jaką brodziła w wodzie, by cofnąć się

szybko, gdy jej stopy natrafiły na uskok dna, dowodziła zupełnego nieobycia z morzem.

Hunter przemógł jednak w sobie nagłą chęć złagodzenia zaplanowanej nauzki. Ostatecznie jest dziennikarką, a jego nie stać na okazywanie słabości. Zresztą nim zapadnie noc, Sandria znajdzie się z powrotem w hotelu.

- A teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Widzi pani tę dużą wyspę? - zawołał, wskazując ręką płaską oazę szmaragdowej zieleni, która wydała się Sandrii nieskończenie daleka. - Za jakieś sześć czy siedem godzin zacznie się odpływ i woda opadnie; między tą a tamtą wyspą woda będzie sięgała najwyżej do pasa. Proszę się kierować po linii prostej, celując pomiędzy tamte dwie palmy, tworzące literę V. U ich podnóża znajdzie pani stary sklep rybacki Szalonego Joe, jak go tu nazywają. Zadzwoń pani stamtąd do Riley'a, żeby po panią przyplłynął.

- Wariat! - wrzasnęła za nim Sandria. Resztki nadziei rozplynęły się. Została tylko bezsilna wściekłość.

Hunter wydawał się niewzruszony.

- Nim pani dotrze na ląd, ja będę już smażył na kolację złowione po południu ryby. Tylko proszę sobie nie wyobrażać, że Riley znów da się skołować i zawiezie panią na Wyspę Eryka. Zaraz do niego zadzwonię i tak ochrzanię, że dobrze się zastanowi, nim spróbuje mi zrobić podobny kawał. Proszę to sobie dobrze zapamiętać.

On nie żartuje, myślała. Naprawdę chce mnie tutaj zostawić. Na pustej, piaszczystej wysepce, otoczonej ze wszystkich stron wodą.

Obaj bracia, znalazłszy się w podobnej sytuacji, zdobyliby się na pewno na ciętą, błyskotliwą replikę. Sandria usiłowała gorączkowo wymyślić coś stosownego, ale, niestety, tylko jedno wołanie przychodziło jej do głowy: „Panie Garrett... Hunter... Błagam cię...” Cała złość na niego rozplynęła się, ustępując miejsca rozpacz.

- Ostrzegałem panią - zawołał, potrząsając głową na znak, że sama jest sobie winna. - Trzeba mnie było słuchać. Proszę zrobić, jak powiedziałem, i wszystko dobrze się skończy. Ręcznik zostawiam pani na pamiątkę - zakończył, oddając jej zamaszty salut.

- Co zrobiłeś? - zagrział głos Riley'a w słuchawce radiotelefonu, jedyne łącznika między łodem a domem na palach.

Hunter spokojnie przełączył aparat z odbioru na nadawanie.

- Słyszałeś. Zostawiłem ją na piaszczystej wysepce, żeby nabrała rozumu. Pamiętasz pewnie, taka mała płycizna, która wyłoniła się po tym, jak...

- Co to ma do rzeczy! - zniecierpliwiał się Riley. - Jak w ogóle mogłeś zrobić coś podobnego?

- Nic jej nie będzie. Nic poza tym, że kiedy się do ciebie odezwie, będzie wściekła jak wszyscy diabli.

- Po prostu odciąłeś cumę i odpłynąłeś? Czyś ty zwariował?

- Nie martw się, odkupię ci linę.

- Nie wygłupiaj się! Wiesz, że nie chodzi o linę.

-Puszczając dalszą tyradę Riley'a mimo uszu, Hunter rozglądał się po zagraconym, głównym pokoju swego letniego domu. Zapchane książkami półki. Pokryta warstwą kurzu Erykowa kolekcja muszel. W głębi laminowanej wnęki kuchennej wyhaftowana mozołnie przez Julię w pierwszym okresie ich małżeństwa makatka, przedstawiająca wschód słońca. Słowem, niezbyt ponętne dla postronnego oka zbiorowisko niepotrzebnych gratów i osobistych pamiątek. Tym niemniej było to jedyne miejsce na świecie, gdzie Hunter czuł się naprawdę u siebie. Wzdrygnął się na myśl, że ktoś obcy mógłby dotknąć tych rzeczy, a zwłaszcza gdyby tym kimś miała być

ciekawska reporterka, wścibiająca nos w dawne sprawy, o których Hunter po dziś dzień z nikim nie umiał rozmawiać.

Otrząsnąwszy się ze wspomnień, przeszedł znów na nadawanie.

- Nie wpuszczam na wyspę nieproszonych gości - oświadczył sucho. - Szczególnie dziennikarzy. Powinieneś być o tym pamiętać, Riley.

- To przyzwoita dziewczyna.

- Ale z prasy.

- Przed kim ty właściwie uciekasz, Hunt? Przed Sandria Sutton czy przed samym sobą?

Nieoczekiwane pytanie tak go zirytowało, że o mało nie wyłączył aparatu. Przeklęta baba! Musiała nieźle namącić Rileyowi w głowie, skoro zdecydował się wkroczyć na ściśle zastrzeżony teren spraw, których w milczącym porozumieniu nigdy dotąd nie poruszyli.

- Uprzedziłem Szalonego Joe, żeby na nią czekał w porze odpływu - odparł zniecierpliwiony. – Zabierz ją stamtąd i odeślij do domu. A jeśli jeszcze raz zdradzisz jej cokolwiek na mój temat, będziesz sobie musiał poszukać innego przyjaciela.

Wyłączył nadajnik, ale uświadomiwszy sobie siłę uroku panny Sandrii Sutton, natychmiast włączył go z powrotem.

— Mówię poważnie, Riley. Jedno słowo i koniec z nami!

Sandria mierzyła wzrokiem niemożliwy do pokonania dystans, dzielący jej miniaturowe odludzie od portu Szalonego Joe.

Popołudniowe godziny otępiającego upału zeszły jej głównie na nie kończących się wędrówkach wokół wysepki, podczas których

łamała sobie głowę, jak wydostać się z opresji innym niż zalecony przez Huntera sposobem.

Widok pożywiających się rybami mew przyprawiał ją o przykre skurcze żołądka. Oslaniając ręką oczy od słońca, tęsknym wzrokiem wypatrywała na horyzoncie żaglówek. Słońce coraz dotkliwiej paliło jej plecy, ramiona i nos. Najwięcej jednak czasu spędziła nad swym notatnikiem, opisując w nim najstraszniejsze rzeczy, jakie zrobi temu człowiekowi, jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie jej dane go spotkać.

W momencie, kiedy fala odpływu zaczęła marszczyć powierzchnię morza, Sandria była zdecydowana pójść, za radą Huntera. Dwie palmy, wytyczające miejsce pobytu Szalonego Joe, zdawały się przywoływać ją ku sobie niczym oaza na pustyni.

Tłumaczyła sobie, że choć długi marsz w wodzie sięgającej do pasa będzie niewątpliwie przykry i męczący, lecz niczym jej w końcu nie grozi. Toteż kiedy doszła do wniosku, że poziom wody maksymalnie się obniżył, ruszyła w drogę, uważnie stawiając stopy, aby nie nadepnąć na wygrzewające się w słońcu na mieliźnie morskie stwory. Początkowo śliskie wprawdzie, ale niegłębokie dno dawało jej poczucie pewnego bezpieczeństwa, kiedy jednak płycizna nagle się urwała i pluszczące fale sięgnęły jej bioder, Sandrii serce podeszło do gardła.

Ogarnięta panicznym strachem, wycofała się na wysepkę.

Piaszczysta łacha, jakkolwiek bezludna, stanowiła jednak twardy grunt.

Nadal jednak walczyła z myślami. Mówiła sobie, że tam, w oddali, widać płycizny, po których spokojnie spacerują krótkonogie ptaki morskie, zaledwie trochę zanurzone w wodzie. No tak, podpowiadał strach, ale pomiędzy nimi widnieją równie liczne, ciemne połacie, gdzie woda musi być znacznie głębsza.

No i co z tego? Na pewno nie są niebezpieczne. W głębi duszy nie mogła mimo wszystko uwierzyć, żeby Hunter naraził ją umyślnie na poważne niebezpieczeństwo. Skąd miał wiedzieć, że ona panicznie boi się wody?

Siedziała tak i medytowała, aż dzień zaczął się chylić ku wieczorowi. Mozolnie wracała falą przyływu. Sandria pomyślała żałośnie, jak przyjemnie byłoby oglądać ten sam zachód słońca, siedząc w hotelu na balkonie. Komary zaczynały dobierać się jej do skóry. Otuliła się ręcznikiem, aby choć trochę przed nimi się osłonić, podciągnęła nogi i oparła czoło na kolanach, starając się siłą woli opanować narastający ból głowy.

Lada chwila zapadnie zmrok. Czekala ją ponura noc.

Hunterowi dzień przyniósł wiele radości i zadowolenia.

Usadowiwszy się z wędką w swoim ulubionym miejscu na wystającej w morze ostrodze, czekał, aż ryba połknie przynętę, i rozmyślał o Sandrii Sutton.

Zrobił tej kobiecie paskudny kawał. Zaraz jednak wyrzucił z pamięci obraz zrozpaczonej, miotającej się bezradnie postaci, który widział, oddalając się od pustej wysepki. Twierdziła przecież, że w każdej sytuacji potrafi go przechytrzyć. No, może nie brała pod uwagę

możliwości wysadzenia jej na bezludnej wyspie, ale jest w końcu dziennikarką, a nie mimozą. Nic nie zaszkodzi, jeśli Się trochę zahartuje. Jeszcze mu kiedyś za to będzie wdzięczna.

Popatrzył ku słońcu - pulsującej na bezchmurnym niebie rozżarzonej kuli - i pomyślał, że chyba nieprędko doczeka się słów wdzięczności.

W tej chwili jest już pewnie z powrotem w hotelu: zmordowana, wściekła i najprawdopodobniej spalona słońcem. Wyobraził sobie, jak obrzucając go wyzwiskami, z furją pakuje manatki.

Po powrocie do Miami napisze o nim zionący jadem artykuł, licząc na to, że nie pozostanie obojętny na zniewagi i będzie się domagał sprostowania. Nic z tego. Tyle już razy obrzucano go w gazetach błotem, że jedna obelga więcej nie zrobi mu różnicy.

Z powodów, których sam do końca nie rozumiał, czuł, że będzie mu jej brakowało. Troszeczkę. Ostatnie dni, przyznał w duchu, wniosły w jego monotonną egzystencję ożywczą odmianę.

Prześladowało go wspomnienie jej pociągających ust i pokusy, jaką w nim budziły. Namiętne pragnienie, aby ją pocałować, przeszkadzało mu zachować starannie kultywowaną obojętność. Chwała Bogu, zdołał się w porę opamiętać.

Trochę nieudolnie i czyniąc niepotrzebnie wiele hałasu, Richie Cavanaugh włamał się jednak w końcu do domu Garretta w Fort Myers.

Niczego nie znalazł.

Ojciec uznałby to może za dobry znak, ale ambicja kazała Richie'emu nie spieszyć się z telefonem, odkładając raport do czasu, aż uda mu się zdobyć konkretniejsze dowody. Z tą myślą ruszył z powrotem w kierunku przystani, gdzie Garrett zdawał się spędzać ostatnio większość czasu. Pierwsza radość na widok stojącej na parkingu furgonetki rozplynęła się, gdy się przekonał, że łódź Garretta zniknęła ze swego stanowiska przy nabrzeżu.

Wymknął mu się człowiek, którego kazano mu nie spuszczać z oczu.

Richie'emu zrobiło się gorąco na myśl o telefonie do ojca z wiadomością, że zbłądził się jako zwiadowca. Nie, za nic do niego nie zadzwoni.

Co tu począć? Rozejrzał się po przystani. W dokach kręcili się okoliczni chłopcy, którzy wynajmowali się latem do prowadzenia motorówek. Upatrywszy sobie niepozornego wyrostka przy pompie benzynowej, Richie sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

- Masz chwilę czasu? - zagadnął chłopaka, zastanawiając się, czy nie lepiej udać policjanta. Richie nie znosił marnować pieniędzy na łapówki.

Wyrostek przerwał pompowanie benzyny i całą uwagę poświęcił Richie'emu. Opalony na ciemny brąz, w ciemnych okularach, błyskający białymi zębami, wyglądał jak kopia Toma Cruise'a.

- Nie wiesz, gdzie podziała się łódź z dwudziestego szóstego stanowiska? Słyszałem, że jest na sprzedaż.

- Dziś rano wypłynęła. Chyba na tydzień.

- Nie wiesz przypadkiem dokąd?

Tom Cruise wskazał wylotem rury benzynowej szeroki horyzont. W upalnym powietrzu uniósł się zapach paliwa.

- W morze.

- A gdzie dokładnie?

- Zapytam szefa.

- Nie, nie trzeba - szybko rzucił Richie. - Słyszałem, że szef sam ma na nią ochotę, więc wolę pogadać bezpośrednio z właścicielem. Kapujesz? - dodał znacząco, wysuwając z portfela parę banknotów.

Smarkacz zsunął ciemne okulary na czubek nosa; żeby lepiej widzieć. Miał dobre oczy: łakome, blado-niebieskie.

- Nie ma problemu. Pokażę panu, gdzie on mniej więcej jest.

Po niedługim czasie Richie wypływał z przystani wynajętą motorówką. Wyekwipowany w mapę i kupione na chybcika w pobliskim minimarkecie prowianty, czuł się cholernie zadowolony z siebie. Nawet brat Lyle nie wykazałby aż tyle przedsiębiorczości.

Kiedy zachodzące słońce rozpoczynało na powierzchni wody swoje świetlne widowisko, Hunter ruszył w drogę powrotną do domu na palach, niosąc w jednym ręku wędkę i kołowrotek, a w drugiej złowione na kolację ryby.

Wbiegł na górny pomost, przeskakując po dwa stopnie naraz, włączając po drodze umieszczony przy wejściu przycisk generatora prądu. Było to ustępstwo na rzecz cywilizacji, na które przystał niechętnie pod naciskiem Julii. Dziś był z niego zadowolony.

Gmerał właśnie w kuchennych szufladach, szukając ulubionego noża do oprawiania ryb, kiedy w dużym pokoju zabręczał stojący na biurku radiotelefon. Hunter rozpoznał sygnał Szalonego Joe. Pewnie chce sobie z niego dobrodusznie pożartować. Hunter wyobrażał sobie, co Sandria Sutton musiała o nim naopowiadać, czekając w brudnym rybackim sklepiku na przyjazd Riley'a.

- Chciałem ci tylko donieść - oznajmił Joe - że twoja młoda znajoma nie pojawiła się w porze odpływu.

Chwilę trwało, nim wiadomość dotarła do świadomości Huntera.

- Jesteś tego pewien? - spytał.

- Zapewniam cię, że gdyby wśród śmierdzących rybami facetów, których oglądam od rana do nocy, pojawiła się jakaś przystojna babka, nie omieszkałbym jej zauważyć.

Hunter zmarszczył czoło, nie wiedząc, co zrobić w obliczu nieprzewidzianej komplikacji.

- Gdzie się podziała, do cholery? Zabłądziła czy co?

- Chcesz, to wracając do domu zrobię małą rundkę wokół zatoki.

- Nie, sam pojedę. Pewnie przed odpływem zabrała się na jakąś łódź. Dzięki, Joe.

Parne powietrze nocy osaczało Huntera ze wszystkich stron. Na górnej wardze wystąpiły mu krople potu. Do piaszczystej wysepki miał zaledwie pięć minut drogi, ale nigdy przedtem nie musiał jej szukać po ciemku. Nieprzyjazne chmury przesłaniały księżyc, tak iż cały widnokrąg tonął w mniej lub bardziej nieprzeniknionym mroku.

Włączył lampy dziobowe i sunął wolno przez zatokę, od czasu do czasu oświetlając ręczną latarką ciemną powierzchnię wody.

Nocą wszystko wygląda inaczej niż za dnia. Tyle małych wysepek! W świetle latarki pobłyskiwały złotem oczy szopów, a białawe kraby mrugacze rozbiegały się w popłochu niczym umykający z pola bitwy żołnierze.

Gdzieś pomiędzy nim a skrzącym się neonami łodem znajdowała się piaszczysta wysepka, a na niej Sandria Sutton.

Jeżeli nadal tam jest.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogło jej się przydarzyć coś złego. Pewnie zatrzymała jakąś przepływającą w pobliżu łódź albo przeoczyła sklepik Szalonego Joe i zapuściła się w głąb wyspy. Zamiast rzucać się nocą na poszukiwania, należało zadzwonić do Riley'a i spytać, czy się z nim nie skomunikowała. Tak byłoby rozsądniej.

Jednakże poczucie winy przeważało nad rozsądkiem. To on byłby odpowiedzialny, gdyby dziewczynie przydarzyło się coś złego.- A i bez Sandrii Sutton miał wystarczająco obarczone sumienie. Musi ją odnaleźć. Musi ją odnaleźć całą i zdrową.

I oto nagle, jakby w odpowiedzi na jego nieme wołanie, w kręgu rzucanego przez latarkę światła zaśniły jej rudokasztanowe włosy. Siedziała na piasku z pochyloną, ukrytą w ramionach twarzą. Wyskoczył za burtę, nim łódź zdążyła osiąść na mieliźnie. Serce biło mu w piersiach jak szalone.

- Panno Sutton? - zawołał, pochylając się nad nią. Słyszając swoje nazwisko, Sandria uznała, że to wiatr łudzi jej zmysły swoim szyderczym śpiewem. Od godziny odczuwała chłód. Wilgotny, zapiaszczony ręcznik, którym się otuliła, boleśnie drażnił skórę.

- Panno Sutton? - ponownie zaszeptał wiatr. Tym razem poczuła na ramieniu jego dotyk.

Z wolna podniosła głowę, mrużąc oczy w oślepiającym świetle. Cały świat nagle się zakołysał, lecz po chwili wszystko wróciło na swoje miejsce.

- Panno Sutton, czy nic się pani nie stało? Półświadomie zarejestrowała w myśli, że po raz pierwszy odezwał się do niej tak troskliwym tonem. Powinna okazać mu niechęć, tak podpowiadał jej skołatany mózg, a tymczasem czuje jedynie wdzięczność za ratunek.

- Dlaczego nie lubi pan mojego imienia? - spytała, spoglądając mu w oczy.

Pogładził delikatnie jej zimny policzek.

- Ależ skąd, bardzo mi się podoba.

- Pochodzi od nazwy miasta.

- W Egipcie?

- Ależ nie, w stanie Wirginia.

Przyjrzał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że stan otumanienia i sztywne, nienaturalne ruchy są zapewne objawem lekkiego porażenia słonecznego.

- Sandrio - zapytał cicho - co pani tu robi? Gdybyś mnie usłuchała, byłabyś dawno w hotelu.

- Bałam się.

- Czego?

- Ja... nie umiem pływać.

- Nie musiałaś pływać. Przez całą drogę ma się grunt pod nogami.

- Bałam się - powtórzyła. - Próbowałam, ale obleciał mnie strach

Głowa opadła jej na kolana, jakby szyja nie potrafiła utrzymać jej ciężaru. Wstrząsnął nią dreszcz. Hunter zaklął po nosem, zerwał z siebie kurtkę i przykrył kobietę.

- Co za głupota, to się po prostu...

- Jeśli wrócił pan po to, żeby się ze mnie natrzasać - przerwała - to mogę się bez tego obejść.

- Proszę nie żartować, zabieram panią do domu.

- Nie woli pan przywiązać mnie do pala i zostawić krabom na pożarcie?

- To jest myśl. Nie wiem tylko, czy przypadłaby im pani do gustu. Może pani iść o własnych siłach?

- Jasne, że mogę.

Zaczęła się niezdarnie podnosić, ale on chwycił ją na rękę, nim zdążyła zrobić pierwszy krok.

Posadził ją na rufowej ławie i opatulił kurtką. Usłyszał lekkie westchnienie.

- Hunter?

- Tak?

- Ma pan coś do zjedzenia?

- Niestety nie - potrząsnął głową. - Ale w domu szybko coś ugotuję.

Wydawała się uspokojona. Potem powieki jej opadły i momentalnie usnęła.

Minęło parę sekund, nim odszedł na dziób włączyć silnik. Stał chwilę, kołysząc się na piętach, i pożerał ją wzrokiem. Twarz Sandrii przypominała najczystszy alabaster. Wrażenie było tak silne, że mimo woli powiódł palcami po delikatnie zarysowanym policzku.

Gdzieś w głębi jego jestestwa odezwało się zapomniane, niechciane pragnienie. Poraziła go świadomość, że pierwszy raz tak silnie odczuwa jej fizyczną obecność. A co gorsza, zdał sobie sprawę, że tak starannie od kilku lat pielęgnowana odporność na cielesne pokusy zaczyna się gwałtownie kruszyć.

Uśmiech zamarł mu na twarzy i odwrócił się, niezadowolony z biegu swoich myśli i niepotrzebnej czułości. To tylko reakcja na stres, tłumaczył sobie w duchu, Nadmiar wywołanej niepokojem adrenaliny.

Coś poruszyło się na brzegu piaszczystej wysepki. To trzepotały na wietrze kartki jej notatnika. Nie darowałyby mu, gdyby go zostawił.

Wyskoczył z łodzi, podniósł leżący na piasku zeszyt, zabierając przy okazji ręcznik i jej przepastną torbę. Posługując się latarką, zerknął do zapisanego wyrazistym pismem notatnika i z wesołym uśmiechem przeczytał pełen doborowych inwektyw fragment, poświęcony mniej ponętym cechom jego charakteru. Zatrzasnął

zeszyt, zastanawiając się, co mu powie, kiedy w pełni odzyska przytomność. Na pewno nie będzie to nic przyjemnego.

Po paru minutach wylądowali na Wyspie Eryka. Hunter zacumował łódź w małej przystani poniżej chaty i ponownie wziął Sandrię na ręce. Poruszyła się i półprzytomnie zatrzepotała rzęsami.

- Gdzie jesteśmy? - spytała sennie.

- Na mojej wyspie.

Znalazłszy się w domu, Hunter zaniósł Sandrię do łazienki i posadził pod prysznicem. Pokręcił kurkami, aby woda miała właściwą temperaturę, po czym zaciągnął plastikową zasłonę. Usłyszał, jak Sandria gwałtownie łapie oddech pod nagłym strumieniem ciepłej wody.

- Hej!- zawołała.- Przecież jestem w ubraniu!

- Proszę zostawić ubranie w kącie kabiny - odparł, przekrzykując szum wody. - Szampon stoi na półce. Zaraz wrócę.

Prysznic to cudowna rzecz, przyznała w duchu. Ciepła woda ogrzała skostniałe ciało, przywróciła Sandrii wigor i zmyła ze skóry zaskorupiały, słony nalot.

Głowa nadal pękała jej z bólu, ale przynajmniej trochę się w niej przejaśniło. Na dobrą sprawę powinna zrobić teraz Hunterowi wściekłą awanturę. Tymczasem jednak nie miała na to ani siły, ani ochoty, sięgnęła więc po stojący na półce szampon.

Kiedy wyszła z kabiny, na umywalce leżała para drelichowych szortów i o wiele za długa bawełniana koszulka, na nich zaś spoczywała tuba kremu po opalaniu oraz dwie tabletki aspiryny.

Wysmarowała się od stóp do głów. Ręcznik trochę osłonił jej ramiona przed działaniem słońca, ale plecy piekły jak wszyscy diabli. Miejsca, do których nie mogła sięgnąć, zostawiła nie posmarowane.

Stanąła przed umywalką i starszy z lustra mgłą pary, przyjrzała się swojemu odbiciu. Aż jęknęła.

Była czerwona jak rak i cała twarz, z wyjątkiem warg, które dzięki szmince uchroniły się przed szkodliwym działaniem słońca, była lekko opuchnięta. Nie wygląda pociągająco.

Wyprostowała się jednak, patrząc swemu odbiciu surowo w oczy. A czy chce się podobać Hunterowi? Co to w ogóle ma wspólnego ze zdobyciem wywiadu? Już i tak wystarczająco się zblądziła. Głupimi mrzonkami może tylko, wszystko pogorszyć.

Zresztą, nie ma się co łudzić. Wiedziała, że nie jest „sexy”. Dorastając pod skrzydłami dwóch nadopiekuńczych starszych braci przywykła do tego, że ich przyjaciele traktowali ją jako „małego kumpla”. Nawet z bostońskim narzeczoną łączyły ją spokojne, nacechowane zdrowym rozsądkiem, mało zobowiązujące stosunki.

Natomiast Hunter, wbrew jej pierwotnym oczekiwaniom, był człowiekiem skomplikowanym. Potrafił w jednej chwili zachowywać się chłodno i z dystansem, a w następnej okazywać sympatię, a nawet czułość.

Nie uszło to jej uwagi mimo stanu otumanienia, w jakim zastał ją na tej cholernej wysepce. Jego ton zdradzał więcej uczucia, niżby sobie zapewne życzył, i to nagłe przypomnienie sprawiło, że ciało Sandrii przebiegł miły dreszcz. Ciemne zakamarki duszy oraz

tajemnicza przeszłość tego człowieka budziły w niej zrozumiałą ciekawość, ale niezależnie od tego czysto fizyczna obecność Huntera przyprawiała ją o zawrót głowy i wyzwalała w niej najdziwniejsze instynkty.

Aż podskoczyła, słysząc pukanie do drzwi.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Zaraz wychodzę.

Kiedy przeczesując palcami wilgotne włosy wyszła z łazienki, Hunter stał oparty o framugę sąsiednich drzwi. Na jej widok wyprostował się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Kobięca intuicja podpowiedziała jej, że spodobało mu się to, co zobaczył. Jego uważne, taksujące spojrzenie wprawiło ją jednak w zażenowanie.

- Koszulka mogłaby być krótsza, ale szorty są w sam raz - podsumował z udaną obojętnością.

- Bardzo dziękuję, są doskonałe - odparła sucho. - Czyje to rzeczy?

- Od lat leżały w szufladzie. Nie mam zwyczaju wozić się z ubraniami tam i z powrotem.

Nie uszło jej uwagi, że uchylił się od odpowiedzi na jej pytanie. Może teraz, kiedy odzyskała przytomność, postanowił odbudować dzielący ich mur.

- Jak samopoczucie? - spytał.

- Jestem śpiąca i głodna. - Dotknęła palcem nosa i lekko się skrzywiła. I spalona.

- Po tym kremie pieczenie powinno szybko ustąpić.

Wystarczyło? - powiedział, wskazując częściowo wyciśniętą tubę, którą trzymała w ręku.

- Szkoda, że nie miał pan dłuższej tuby - odparła - bo tą nie udało mi się dosięgnąć środka pleców.

-Znajdzie się na to rada.

Odwrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju, dając ręką znak, by szła za nim.

Sypialnia była nieduża, prawie bez mebli, i chyba dlatego widok szerokiego łóża przyciągnął jej wzrok jak magnes. Hunter zbliżył się do niego i klepnął ręką materac.

- Proszę Się położyć na brzuchu. Posmaruję pani plecy:

- Dziękuję, naprawdę to nie jest potrzebne - odparła sztywno.

- No, proszę. Czuję się trochę winny, chociaż główna część winy spada oczywiście na panią.

Resztką oporów rozwiąła się, kiedy pochwyciła jego spojrzenie. Wyzywające. Władcze. Przewidział, że będzie się opierać. Z rezerwową miną podeszła bez słowa do łóżka i położyła się plackiem na brzuchu, zatapiając twarz w poduszce.

W chwilę później materac ugiął się pod ciężarem Huntera. Kiedy delikatnie ujął skraj podkoszulka i odsłonił jej plecy, dla dodania sobie odwagi wzięła głęboki oddech. Drgnęła, ale wcale nie dlatego, że chłodny wiatr owionął jej obnażone ciało. Skrępowana, przycisnęła łokcie do boków, zasłaniając piersi.

Hunter gwizdnął z cicha.

- Uch, będzie jutro piekło jak diabli.

- A dziś to myśli pan, że nie piecze? - mruknęła, po czym aż się zachłysnęła, kiedy zimna substancja dotknęła jej skóry.

Ręce mężczyzny jedwabistymi, kolistymi ruchami ślizgały się po jej ciele, nasączając leczniczą substancją spieczoną słońcem plecy i chłodząc swym cielesnym dotykiem rozpaloną skórę. Czubki jego palców miały magiczną wręcz zdolność odnajdywania obolałych nerwów, godną znakomitego masażysty.

Powinna czuć się głupio, że właściwie nieznamy mężczyzna dokonuje na jej ciele tak intymnych operacji. Ale dotyk jego rąk niósł tyle słodyczy! Rozmarzona, przymknęła oczy i lekko rozchyliła wargi.

- Och, jak cudownie - westchnęła. A nie otrzymawszy odpowiedzi, spytała: - Ta wyspa jest naprawdę pana prywatną własnością?

- Tak.

- Nie spodziewałam się, że przywiezie mnie pan właśnie tu.

- A co miałem zrobić?

- Sądziłam, że zostanę wyrzucona na parkingu koło przystani Riley.

Ręce na moment znieruchomiały, po czym podjęły swą płynną wędrówkę.

- Uważa mnie pani za zimnego drania, tak? Chwilę się zastanowiła.

- Sama już nie wiem, co myśleć -odparła.

Nie tylko ona. Hunter bezskutecznie starał się skoncentrować na tym, co robi. Wdychając ostry zapach kosmetyku, czuł jednocześnie woń jej wibrującego pod chłodną warstwą kremu ciała. Jego spojrzenie błędziło wzdłuż połyskującego, lekkiego zagłębienia po obu stronach kręgosłupa. Na pół odsłonięte, delikatne łuki bioder zapraszały do dotykania.

Sandria z westchnieniem zadowolenia wyciągnęła ręce, podkładając je pod głowę. Mignęły przez moment odkryte piersi.

Poderwał dłonie i szybkim ruchem obciągnął podkoszulek.

- Gotowe - oświadczył suchym tonem.

Podniosła się, siadając obok niego, a kiedy ich oczy spotkały się na krótki moment, spostrzegł ku swemu zdziwieniu, że nie tylko z nim dzieją się dziwne rzeczy. Z oczu Sandrii wyczierała tęsknota. Miała szybki, nierówny oddech.

Aż nazbyt świadomy jej fizycznej bliskości oraz tego, co lada chwila mogło się wydarzyć, z komicznym namaszczeniem zajął się nakrętką od tubki z kremem. Musi się opanować, pomyślał, błagając niebiosą, żeby ta kobieta jak najszybciej wstała i odsunęła się od niego, skoro on nie ma siły odsunąć się od niej.

Po długiej chwili zdecydowała się przerwać milczenie:

- Dziękuję - powiedziała, a Hunter poczuł, że słowo to jeszcze nigdy nie sprawiło mu tyle radości.

Znów na nią popatrzył, świadomy jej zmieszania.

- Przepraszam cię za to, co się dziś stało. Nie chcę cię skrzywdzić. - Mówił cicho i spokojnie, ale patrząc w jej szeroko

otwarte oczy widział, że ona wie, iż jego słowa mają znacznie głębsze znaczenie.

- Ja też nic chcę cię skrzywdzić - odparła. Roześmiała się krótko, ze smutkiem.

- Nareszcie się zgadzamy - oznajmił. Resztką sił poderwał się na równe nogi.

- Odpocznij chwilę, a ja tymczasem przygotuję coś do zjedzenia. Co szanowna pani sobie życzy?

Zdecydowała się na kanapkę z serem. Patrzyła za nim, kiedy pospiesznie wycofywał się z pokoju, jakby chciał uwolnić się od jej obecności. Przewróciła się na bok i zwinęła w kłębek, z głową opartą na ramieniu. Z kuchni dobiegały odgłosy odsuwanych szuflad i szcęk naczyń. Chętnie by mu pomogła, ale może wolał zostać sam.

Nie była pewna.

Smarował majonezem pajdę chleba, rad, że może zająć się kolacją. Był zły na siebie, bo ulegając własnej słabości, nie potrafił zrobić tego, co nakazywał rozsądek i czego ona sama się spodziewała, a mianowicie odwiedzić Sandrii do Riley'a i zostawić na parkingu. Z dwojga złego lepiej wyjść na drania niż zrobić z siebie idiotę.

Od dawna nie miał kobiety. Nie pragnął kobiet. Można zobojeźnić na płęć odmienną, jeśli się tego naprawdę chce. Dlaczego w takim razie krew mu się burzy na samą myśl o leżącej w pokoju obok Sandrii?

Skończył przyrządzać kanapkę. Przywiózł na wyspę mleko i wodę sodową, a nie spytał, co ona woli. Chociaż może lepiej zbyt

się do niej nie zbliżać. Zaraz jednak własna słabość tak go zirytowała, że odwrócił się i pomaszerował do sypialni.

Zatrzymał się w drzwiach. Sandria spała. Wokół jej głowy wiły się na poduszce podobne do czekoladowych wstążek pasma jedwabistych, jeszcze wilgotnych, świeżo umytych włosów, Światło lampy rzucało na jej twarz złotawe cienie. Mimo czerwonej opalenizny wyglądała zmysłowo, a zarazem bezbronne.

Powiódł wzrokiem po jej ciele. Pod trykotową koszulką piersi wznosiły się i opadały w rytm oddechu, a zarysowujące się raz po raz sutki działały na wyobraźnię. Na jego wyobraźnię.

Zmusił się, by o tym nie myśleć. Co więcej, do jego serca wkradła się niejasna uraza, jak gdyby Sandria Sutton w jakiś tajemniczy sposób sprawiła, że poczuł się obco na tym ostatnim skrawku ziemi, który uważał dotąd za niezaprzeczalnie swój.

Zakławszy półgłosem, ściągnął z łóżka drugą poduszkę i koc. Dom miał jeszcze jedną sypialnię, pokój Eryka, ale Hunter wciąż nie mógł się zdobyć na przekroczenie jego progu. Dziś prześpi się na kanapie, a jutro Sandrii już tu nie będzie.

Przed nadejściem jutrzejszego dnia czekała go jednak długa, nie przespana noc.

Sen odpływał stopniowo, jakby opadały kolejne zasłony mgły oddzielającej ją od rzeczywistości. Sandria otworzyła oczy i westchnąwszy z ukontentowania, wciągnęła w płuca mieszaninę letnich zamachów morskiej wody i oleandru, cedru i słońca. Sypialnia tonęła w złocistym świetle poranka.

Chwilę trwało, nim uprzytomniła sobie, gdzie jest. Czuła nadal lekki, pulsujący ból głowy, ale wczorajsze zamroczenie minęło bez śladu. Usiadła na łóżku, przeciągnęła się i aż syknęła, gdy spalone słońcem ramiona boleśnie dały o sobie znać. Miała na sobie nadal pożyczone szorty i koszulkę, ale ktoś w nocy przykrył ją kołdrą, która wczoraj wieczorem leżała złożona w nogach łóżka. Zapewne zrobił to Hunter.

Wstała, wygładziła ręką potargane włosy i wolnym krokiem opuściła sypialnię. Zatrzymała się w drzwiach bawialnego pokoju i cicho zawołała Huntera po imieniu. Nie miała pojęcia, która jest godzina, nie chciała więc, gdyby spał jeszcze na kanapie, do listy swoich przewinień dodać i to, że nie daje mu się spokojnie wyspać.

Jej obawa okazała się nieuzasadniona. Bawialnia była pusta, a starannie złożony koc i poduszka leżały w rogu kanapy. Korzystając z chwili samotności, Sandria uważnie obejrzała pokój.

W jego urządzeniu uderzało osobliwe połączenie fantazji z praktyczną prostotą. W kącie tkwił chybotający się lekko, zabawny mobil w kształcie mewy, obok zaś widniała przytwierdzona do ściany

szczegółowa morska mapa okolic. Inną zaś ścianę, za czysto funkcjonalnym stołem do pracy, na którym znajdował się radiotelefon i stały rzędem grube fachowe księgi, zdobiła kolekcja nader fantastycznych i wymyślnych kapeluszy domowej roboty, wykonanych z palmowych liści.

Dom był zaprojektowany z myślą o widokach. Z wielkich okien i przez szklane drzwi widać było z różnych stron pobłyskujące zielenią fale, a ponadto, jak się zorientowała, wokół całego domu biegła szeroka galeria.

Sandria poczuła lekki podmuch powietrza i zdała sobie sprawę, że szklane drzwi są otwarte. Wyjrzawszy na zewnątrz, dostrzegła na ganku Huntera, który stał oparty o barierkę z kubkiem kawy w ręku i wzrokiem utkwionym w morze.

Był bosy, w szortach i niebieskiej, trykotowej koszulce, której barwa zapewne korzystnie podkreślała kolor jego oczu. Poranne słońce złociło jego jasne włosy. Z miejsca, gdzie stała, nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Huntera, ale wydawał się spokojny i odprężony. Wyszła na ganek.

- Dzień dobry.

Odwrócił się na dźwięk jej głosu i odpowiedział chłodnym, obojętnym spojrzeniem, które sprawiło, że poczuła się nieswojo.

- Dzień dobry. Jak się czujesz?

- Dziękuję, znacznie lepiej. Sposób, w jaki zlustrował wzrokiem jej postać, przypomniał Sandrii o czerwonym nosie i spalonych policzkach, A także o braku stanika.

- Trochę zanadto jesteś wysmażona, ale to minie - zauważył półgłosem.

Zrobiła kilka kroków w jego kierunku, nim zdała sobie sprawę, że front domu i galeria są zawieszane nad wodą i opierają się na wbitych w morze palach. Szybko usiadła na leżaku, starając się omijać wzrokiem migające między szparami w podłodze, tonące w mroku, rozhuśtane fale, które z pluskiem uderzały o wspierające dom słupy.

Podniosła oczy i zobaczyła, że Hunter obserwuje ją jakby z namysłem.

- Musisz się z tego wyleczyć - oświadczył krótko.

- Z czego?

- Musisz się oswoić z wodą. Nie można mieszkać na Florydzie, nie umiając pływać.

- Nie po to przyjechałam na Florydę, żeby uprawiać sporty wodne.

Odchylił się do tyłu, podpierając się łokciami o barierę. Podniósł jedną brew, jak gdyby się nad czymś zastanawiał.

- A co zamierzasz uprawiać?

Co za złośliwe pytanie! Uznała, że najlepiej będzie je zignorować.

- Jakoś obywałam się do tej pory bez umiejętności pływania.

- Wczoraj bardzo by ci się przydała - zauważył.

- Ale pozbawiłaby nas okazji do zawarcia bliższej znajomości, prawda?

Za późno ugryzła się w język. No tak, palnęła gafę. Hunter zachmurzył się i umilkł na dłuższą chwilę, jakby nie był pewien, czy ma się cieszyć z zawarcia z nią bliższej znajomości. Na koniec oderwał się od balustrady i zmieniając temat, spytał:

- Zrobić ci kawę? Kiwnęła głową.

- Bardzo chętnie. Bez mleka.

Przechodząc koło leżaka, przystanął na moment i nie znoszącym sprzeciwu tonem oznajmił:

- Zaraz po śniadaniu odwiozę cię do Rileya. Sandria zmrużyła oczy i spojrzała w słońce, żeby nie pokazać, jak bardzo poczuła się zawiedziona. Gnieźdzące się wśród namorzynów czaple, jedyni sąsiedzi chaty Huntera, toczyły hałaśliwy bój o co lepsze kąski śniadaniowej uczyty, ale ich zabawne harce nie docierały do jej świadomości.

Nie tylko rozwiała się wszelką nadzieją na przeprowadzenie wywiadu, ale Hunter dał jej boleśnie do zrozumienia, że chce możliwie jak najszybciej usunąć ją ze swego życia. Tak jakby wczorajsza, wieczorna chwila wzajemnego zbliżenia i prawie zaprzyjaźnienia się nie miała nigdy miejsca. Przeistoczył się z powrotem w owego czujnego, nieprzychylnego Huntera Garretta z ich pierwszego spotkania.

Mimo jednak przykrości, jaką jej sprawił swoim nieprzyjemnym zachowaniem, Sandria nie tylko nie straciła ochoty na zajmowanie się zagadkową śmiercią Isaacsona, ale przeciwnie, opór Huntera umocnił

ją w postanowieniu, że nie wróci do Miami, dopóki nie będzie mogła rzucić Ernie'emu na biurko fantastycznego materiału.

Musi jakimś sposobem udaremnić plan wsadzenia jej do łodzi i...

Nagła myśl olśniła ją, przygotowując jednocześnie o skurcz serca. Pomysł był istotnie szalony i ryzykowny, ale wobec tego człowieka wyczerpała wszelkie normalne środki i sposoby. Tylko czy zdąży i będzie miała okazję wprowadzić go w życie? A jeśli nawet, to jak Hunter na to zareaguje?

Nakrył do śniadania i usiedli po dwóch bokach kuchennego stołu. Sandria, mimo głodu, ze zdenerwowania z trudem przełykała jedzenie. Spod opuszczonych rzęs obserwowała swego towarzysza. On też wydawał się nie mieć apetytu. Nie odzywając się ani słowem, w zamyśleniu przesuwiał kawałki jajeczniczy po talerzu. Sandria przysięgła sobie, że prędzej odgryzie sobie język, niż przerwie panujące w kuchni nieznośne milczenie.

Kiedy jajka ostatecznie wystygły, a nawet zakrzepły, i dalsze siedzenie przy stole stało się po prostu śmieszne, Sandria odsunęła krzesło, zebrała swoje naczynia i zaniósła je do zlewu.

- Zostaw to - zakomenderował. - Sam później pozmywam.

Kiedy się mnie stąd pozbędziesz, to chciałeś powiedzieć? - dokończyła w myślach, słysząc jego ton. Była tak rozgoryczona jego brakiem ludzkich uczuć, że najchętniej podeszłaby i trzasnęła go w twarz. Opanowała jednak swoje uczucia. Co więcej, doznana przykrość rozwiązała resztki niepewności, czy powinna zrealizować swój plan.

- Pozwól mi jednak pozmywać - odparła z chłodnym, wymuszonym uśmiechem. - Tyle przynajmniej jestem ci winna za, wspaniałomyślną gościnność.

Krzątała się przy zlewie, świadoma, że on przez cały czas ją obserwuje. Poczła idiotyczną ulgę, kiedy wreszcie wstał od stołu i zniknął w łazience. Wrócił jednak po krótkiej chwili, aby rzucić na kuchenne krzesło garść kolorowych szmatek. Poznała swoje wczorajsze ubranie.

- Wyplukałem je wczoraj wieczorem. Są jeszcze trochę wilgotne, ale możesz już włożyć.

Spod szortów i bluzki wyglądały kawałki jedwabiu w kolorze lawendy - jej bielizna. Uważała się za kobietę pozbawioną pruderii, jednakże na myśl, że Hunter prał jej osobiste rzeczy, że wykonał dla niej coś tak intymnego, poczuła się okropnie zażenowana. Pochyliła się nisko nad zlewem, pewna, że jej opalone na czerwono policzki stały się purpurowe. Dopiero po długiej chwili opanowała się na tyle, by wyjąkać:

- Dziękuję.

- Nie ma za co - rzekł, wzruszając ramionami. - Musiałem się jakoś zrehabilitować. W końcu to przeze mnie spędziłaś wczorajszy dzień na bezludnej wyspie. Nie pamiętasz?

- Owszem! Snując bardzo dla ciebie nieprzyjemne rozmyślenia.

- A co myślisz o mnie dzisiaj? - Spytał, niespodziewanie uśmiechając się szeroko.

- Że masz mimo wszystko pewne ludzkie cechy.

- Nie licz na nie.

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Dlaczego usiłujesz mi wmówić, że nie można się po tobie spodziewać niczego dobrego?

Spochmurniał, a jego oczy stały się dziwnie puste i pozbawione wyrazu.

- Nie wiesz, do czego jestem zdolny. Odwrócił się gwałtownie i ponownie ruszył w kierunku łazienki.

- Idę wziąć prysznic. Za piętnaście minut ruszamy.

Wyłonił się z łazienki przed upływem kwadransa, wnosząc z sobą do bawialni chmurę rozgrzanej pary. Na tyle głowy wiły mu się przylegające do skóry wilgotne kosmyki.

Siedziała grzecznie na kanapie, przytrzymując łokciem swoją torbę. Serce waliło jej jak młotem, a ręce tak drżały, że musiała je złożyć i mocno ścisnąć. Z udaną dezynwolturą, do której było jej bardzo daleko, i miłym, pełnym nadrabianej nadziei uśmiechem, spytała:

- Czy nie ma odwołania? Mam na myśli przeprowadzenie wywiadu.

- Nie.

- W takim razie - odparła, robiąc głęboki wdech - oświadczam, że się stąd nie ruszę.

Ściągnął brwi i pokiwał głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że najwidoczniej upadła na głowę.

- Możesz sobie oświadczać, co ci się żywnie podoba.

Wyjedziesz stąd, choćbym musiał znieść cię siłą do łodzi i wepchnąć związaną pod ławeczkę.

- Nie sądzę.

Odwrócił się, chwycił wiszący na kołku klucz i ze spokojem, który pogłębił tylko jej irytację, oznajmił:

- Idę uruchomić silnik. Daję ci minutę na podjęcie decyzji.

Wyszedł na dwór. Zbiegał po schodach z takim impetem, że we wszystkich oknach dźwięczały szyby. Sandrii pociemniało w oczach. Boże, co ja zrobiłam! Posieka mnie na drobne kawałki. Spokojnie. Tylko spokojnie. Żaden z jej braci nie uląkłby się byle uparciucha. Dlaczego ona miałaby się go bać?

Tyle że bracia byli daleko, a Hunter.

Pchnięte od zewnątrz drzwi trzasnęły z rozmachem w ścianę. W oknach zadrżały szyby. Sandria aż podskoczyła na kanapie. Hunter stanął w progu z, rękami opartymi na biodrach i wolnym krokiem zaczął się zbliżać. Wszystko w niej dygotało.

- Ty mała, podstępna wiedzmo. Co twoim zdaniem osiągnęłaś, przecinając przewody paliwowe?

Sięgnęła pod leżące na kanapie, poduszki i wyciągnęła nóż do oprawiania ryb, który kilkanaście minut wcześniej znalazła w kuchennej szufladzie.

- Okazał się znacznie ostrzejszy, niż przypuszczałam - zaczęła, wyciągając ku niemu ostrze. - Może jest nieco tępszy od tego, którym

odciąłeś wczoraj cumę mojej motorówki, niemniej całkiem niezłe się nadaje do krojenia gumowych przewodów. Nie uważasz?

Wyrwał jej narzędzie z ręki i rzucił w stronę kuchennego stołu, widocznego poprzez drzwi bawialni. Nóż odbił się od blatu i z łoskotem wylądował na podłodze. Twarz Huntera ściągnęła się i pobladła,

- Uważasz się za wielką spryciarę, co? Zwilżyła językiem wargi. W obecnej chwili daleka była od tego, by uważać się za „wielką spryciarę”. Jej rodzina, rzecz jasna, uznałaby za nonsens sugestię, iż w jej postępkach było coś niewłaściwego, niemniej ona czuła się trochę jak mała, podrzędna szachrajka. Nie zapominaj, przypomniała sobie w duchu, że oprócz - chęci zaimponowania Ernie'emu reporterskim sprytem istnieją inne, nader ważne powody, usprawiedliwiające twoje postępowanie.

Żeby więc złagodzić nieprzyjemne poczucie winy, postanowiła odrzucić piłeczkę.

- Byłeś z Leonem Isaacsonem w bliskich stosunkach. Dlaczego, skoro jego śmierć najprawdopodobniej nie była samobójstwem, nie chcesz się przyczynić do wykrycia jej sprawców? Artykuł, który zamierzamy opublikować...

- Na nic się nie zda - uciał. - I nie próbuj mi wmawiać, że powodują tobą jakieś wyższe cele. Nie dam się nabrać na takie kawałki.

Wpił w twarz Sandrii drapieżne spojrzenie, które dosłownie przewiercało ją na wylot. Patrzyła jak zahipnotyzowana w oczy tego

człowieka, już nie błękitne, lecz granatowe jak niebo podczas burzy. Broniąc się przed własnymi wyrzutami sumienia i jego przemożnym gniewem, przywołała wczorajsze wspomnienia, świadczące o tym, że jest on mimo wszystko przyzwoitym człowiekiem. W końcu wrócił po nią na wyspę.

- Przepraszam - powiedziała cicho po długim milczeniu - ale nie zostawiłeś mi wyboru.

- Postąpiłaś niemądrze. Opóźniłaś tylko to, co i tak się stanie.

Zgodnie z jej przewidywaniem, podszedł do biurka, na którym znajdował się radiotelefon. Poczula kolejny skurcz serca. Za parę sekund Hunter odkryje brak mikrofonu i rozpęta się kolejne piekło.

Wbrew jej oczekiwaniom stał jednak nieruchomo, odwrócony do niej plecami, i tylko pochylił głowę, jakby nie mógł oderwać oczu od bezużytecznego urządzenia. No i zacisnął pięści. Milczenie zdawało się trwać w nieskończoność. W pokoju słyhać było tylko ich przyspieszone, jakby walczące o resztkę tlenu oddechy.

Wreszcie odwrócił się gwałtownie. Ujrzawszy jego zimne oczy, poczuła się jak mysz złapana przez kota. Taksował ją uważnym spojrzeniem, jakby dziwiąc się, iż ktoś taki jak ona miał dość rozumu na to, by przewidzieć, że zechce skorzystać z radiotelefonu. I właśnie ten objaw jawnego lekceważenia pomógł Sandrii wytrzymać jego miazdzący wzrok.

- Gdzie jest mikrofon? - rzucił tonem, który zabrzmiał jak świśnięcie szabli.

Nie ma co udawać, że nie rozumie, o co chodzi.

- Schowany. Zastanawiałam się, czy nie wymontować jakiejś części z tyłu aparatu, ale nie znam się na budowie radiotelefonów.

Uznałam, że wystarczy wyjąć mikrofon.

- Doceniam twoją pomysłowość. A teraz... oddaj mikrofon.

- Nie oddam.

- Nie zamierzam z tobą pertraktować. Masz oddać mikrofon i już.

- Nie - odparła, składając ręce na piersiach i odwracając głowę. - Możesz przetrząsnąć cały dom, jeśli masz ochotę, a i tak go nie znajdziesz.

Usłyszała nagły ruch. Hunter był tuż koło niej, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. W pierwszej chwili chciała się odsunąć w drugi kąt kanapy, ale opanowała odruch strachu. Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Prosiłam tylko o godzinną rozmowę. O nic więcej. Ale dla ciebie i to było za dużo, więc teraz już się mnie nie pozbędziesz.

- Nie łudź się, Sandrio, nie będzie żadnego wywiadu. W sobotę przyjedzie Riley i zabierze cię stąd.

- A więc mam przed sobą cztery dni. Poczekam.

- Nie doczekasz się, choćbyś czekała cztery lata.

- To się jeszcze okaże! - oświadczyła wyniośle, zirytowana już do głębi jego arogancką pewnością siebie.

Z wściekłością w oczach porwał leżącą na kolanach Sandrii torbę. Nie zważając na jej głośne protesty, wysypał zawartość na kanapę i zaczął przeszukiwać torbę.

- Możesz się nie trudzić. To byłoby zbyt proste. Roześmiała się, udając zuchowatość. Tymczasem

jego cierpliwość była najwyraźniej na wyczerpaniu. Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

- Naprawdę myślisz, że po paru dniach wymuszonego sam na sam doprowadzisz mnie do zwierzeń dla tej twojej szmaty?

- Coś w tym rodzaju. Zapadło przytłaczające milczenie.

- Oświadczam ci - odezwał się po chwili - że będziesz przez te cztery dni bardziej samotna, niż gdybym cię wczoraj zostawił na tamtej wyspie.

Hunter spędził resztę dnia poza domem, pewnie łowiąc ryby, bo wychodząc bez pożegnania zabrał wędkę i kołowrotek.

Mijały godziny. Sandria sięgnęła po notatnik i długo opisywała otoczenie domu oraz własną sytuację. Sporo miejsca poświęciła też mężczyźnie, który uparcie nie chciał z nią rozmawiać. Potem zajęła się układaniem pasjansów. Na koniec, nie chcąc, by dzień upłynął całkiem bezproduktywnie, wyszukała w kącie puszkę pasty do czyszczenia mebli i zabrała się do generalnych porządków. Pokój był pełen wspomnień przeszłości i dawno nie używanych pamiątek, w większości pokrytych warstwą kurzu i leżących w nieładzie. Hunter nie obrazi się chyba, jeśli ona trochę to wszystko uładzi.

Skończyła właśnie polerowanie stolika do kawy w kształcie bumerangu, kiedy wyjrzawszy przez okno, zobaczyła wracającego Huntera.

Richie trochę się nabłądził, zanim trafił do celu; wszystkie te cholerne wysepki były do siebie podobne. Chłopak z przystani nie potrafił dokładnie określić, która z nich należy do Huntera, wiedział tylko, że leży gdzieś pomiędzy Wyspą Sosnową a plażą Estero.

Szczeniwy traf przyszedł mu z pomocą.

Kiedy kolejny raz zatrzymał motorówkę, walcząc z wiatrem usiłującym wyrwać mu z rąk mapę zatoki, na najbliższej wysepce dostrzegł jakiś ruch. Puścił więc łódź z prądem, aby sprawdzić z bliska, co się tam dzieje.

Usadowiony na samym brzegu, przypominający brodzącego w wodzie tłustego pajaka, dom na palach był sam w sobie mało interesujący, czego jednak nie można było powiedzieć o przechadzającej się we wnętrzu, dobrze widocznej przez szerokie okna kobiecie. Richie na widok znajomej dziennikarki o mało nie udławił się z emocji. Garretta nie było w pobliżu widać, ale zacumowana przy pomoście łódź upewniła Richie'ego, że jest tu razem z kobietą.

Zatoczywszy półkole, ukrył motorówkę w gęstwinie czerwonych namorzynów na drugim końcu wyspy i po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się panem sytuacji.

Skrzywił się, kiedy pod ciężko obutymi stopami usłyszał chrzęst krabów, które miały nieszczęście znaleźć się na jego drodze. Nawykły od dzieciństwa do miejskiego życia znał tylko dwa sposoby spędzania czasu na podobnych odludziach: chłanie i zabawy z dziewczynkami. Ponieważ jednak w obecnej chwili żadna z tych możliwości nie

wchodziła w grę, należało jak najszybciej odkryć zamiary Garretta i natychmiast dać stąd nogę.

Wystarczyło się przycziąć i czekać na stosowną okazję. Poczuł burczenie w brzuchu, przerzucił więc plecak na kolana i zanurzył w nim rękę, szukając, paczki z biskwitami oraz lornetki. Natrafiwszy na pistolet, otworzył kaburę i ujął rękojeść, postanowił jednak na razie nie wyciągać broni. Jeszcze nie pora, choć prędzej czy później zapewne i tak będzie musiał się nią posłużyć.

Usadowił się wygodnie, podniósł lornetkę do oczu i zaczął ustawiać ostrość. Wielkie okna domu bardzo ułatwiały obserwację. Uśmiechnął się z zadowoleniem, ujrzawszy w polu widzenia wyraźnie rysujący się pod skąpą bluzką biust Sandrii Sutton. Miała miły profil i piękne, jedwabiste włosy. Obserwując kobietę przez szkła, zadał sobie pytanie, czy kiedy nadejdzie czas, zdobędzie się na to, żeby ją zastrzelić.

Hunter nic chyba nie złowił, zauważyła Sandria. Pocieszyła się myślą, że to z tego powodu jego twarz nosi równie zacięty i nieprzejednany wyraz, jak po porannej awanturze.

Zamiast wejść na ganek, skierował się w dół, do przystani. Kiszki grały jej marsza, wołała jednak bez zgody Huntera nie bobrować w jego kuchennych zapasach. Po co dodatkowo zaognić sytuację?

Zdobyła się jednak na odwagę i zeszła do przystani, którą zalegały już głębokie cienie. Łódź Huntera i przywiązana do jej rufy motorówka Riley'a niemal nie poruszały się na leniwej fali. Na drugim

końcu przystani dwie mewy walczyły o rzucony przez Huntera ochłap. Sandria przystanąła nieśmiało, czekając, aż ją zauważy.

Odwrócił się i natychmiast niebezpiecznie nisko opuścił brwi. Zdobyła się na niewyraźny uśmiech.

- Widzę, że ryby dzisiaj nie brały - odezwała się nieśmiało.

- Uhm.

Po tej mało zachęcającej odpowiedzi była niemal gotowa na wszelki wypadek zostawić go w spokoju. Spróbowała jednak jeszcze raz:

- Pomyślałam sobie, czy... Hm, może byśmy coś zjedli?

Podszedł powoli do wysokiego, sięgającego mu do pasa stołu czy warsztatu, na którym stała otwarta skrzynia z wędkarskim ekwipunkiem. Przez kilka długich minut przebierał w milczeniu przynęty, haczyki i ciężarki.

- Co na przykład? - rzucił w końcu, nie podnosząc oczu.

- Widziałam w kuchni karton z prowiantami i chętnie coś ugotuję, ale, wołałam najpierw zapytać o pozwolenie.

Rzucił jej spod oka pełne powątpiewania, szybkie spojrzenie.

- Zapytać mnie o pozwolenie? Ty? Proszę! To coś nowego!

Zapomniała już, jak łatwo potrafił wytrącić ją z równowagi.

Krew napłynęła jej do twarzy, opanowała się jednak, uznawszy, że lepiej zrobi, trzymając nerwy na wodzy.

- Przyrządzam niezłe hamburgery. Zajął się na powrót zawartością skrzyni.

- Zrób sobie, jeśli masz ochotę - odparł, wzruszając ramionami.

Niewiele, ale jednak coś, pomyślała z nadzieją. Przecież nie może się na nią bez końca wściekać! Postanowiła go delikatnie wybadać.

- Nie zjesz ze mną?
- Zostaw mi jednego na potem.
- Ale wystygną.
- No to zrobię sobie kanapkę.
- Hunter...

Podniósł głowę. W świetle zachodzącego dnia widziała tylko niewyraźny zarys jego twarzy;

- Czego się spodziewasz? Że będziemy prowadzić wesołe pogaduszki? Gruchać jak para gołąbków na pierwszej randce?
- Przecież nie o to...
- No to zostaw mnie, do diabła, w spokoju. Przyjdę, kiedy będę miał ochotę.

Zabolą ją ta stanowcza odmowa, ale nie dała po sobie poznać, jak bardzo. Z trudem powstrzymała cisnące się na usta słowa. Nie oglądając się, wbiegła na schody.

Komar siadł Hunterowi na szyi. Odpędził go machinalnie, zajęty nawlekaniem na żyłkę ołowianego ciężarka. Przekłete insekty! Ostatecznie mógłby zjeść z nią kolację. Problem w tym, czy powinien?

Chociaż już wcześniej pokazała mu, co potrafi, dzisiejszy numer z przecięciem dopływu paliwa zaskoczył go i rozczarował. Zgodnie z tym, o co od początku ją posądzał, Sandria okazała się po prostu

wścibską dziennikarką, poszukującą sensacji za wszelką cenę. Jeśli przez chwilę żywił wobec niej jakieś złudzenia, poranna przygoda skutecznie go z nich wyleczyła.

Przez cały dzień podtrzymywał w sobie zapiekłą złość, rozpamiętując jej podły postępek. Był tak podminowany, że zamiast lekko trzymać zarzuconą wędkę, wciąż ją napinał i szarpał. Celowo podsycił buzującą w nim niechęć, żeby przypadkiem nie wygasła przed przyjazdem Riley'a.

Zadanie byłoby łatwiejsze, gdyby przestała na niego patrzeć tymi swoimi oczami zranionej sarny, jak gdyby to wszystko była jego wina. Są w końcu granice ludzkiej wytrzymałości, którą Sandria Sutton wystawia na ciężką próbę.

Poczuł w nosie zapach piekących się na ruszcie hamburgerów, na co pusty żołądek natychmiast głośno zareagował.

Co jest, do cholery! Nie będzie na własnym terenie chował się w mysią dziurę przed byle babą! Ma chyba prawo usiąść przy własnym stole i jeść przywiezione przez siebie prowianty? Jest u siebie. To ona powinna czuć się intruzem.

Czekając, aż skwierczące na ruszcie hamburgery będą gotowe, Sandria usiadła przy kuchennym stole, by paroma uwagami dopełnić swoje dzisiejsze notatki. Jej dotychczasowe zapiski nie tworzyły spójnej opowieści, ale nie było w tym nic dziwnego. Rzadko relacjonowała w nich fakty, częściej zaś osobiste uczucia czy rozczarowania. Notatnik stanowił zbiór subiektywnych obserwacji i doznań, a także luźnych, poetyckich próbek. Teraz zaś, wobec upartej

niekomunikatywności Huntera, nabrał dla niej szczególnego znaczenia.

Usłyszawszy jego kroki na galerii, ze zdziwieniem podniosła oczy i jednocześnie ogarnęła ją głupia radość. Wstała od stołu, zamknęła notatnik i niepewnie się uśmiechnęła. Jego spojrzenie powędrowało ku jej ręce, którą obronnym gestem złożyła na okładce zeszytu. Pewnie myśli, że pisała o nim. Nic mu nie powie. Niech sobie wyobraża Bóg wie co.

- Przyszedłeś w samą porę - powiedziała. - Hamburgery już dochodzą.

Trochę się zachmurzył, rozejrzawszy się po kuchni, ale nie aż tak, jak się obawiała.

- Umyję się i zaraz wracam - oznajmił.

Wrócił po paru minutach i zajęli miejsca po sąsiednich stronach stołu. Nie musiała się trapić, czy wytrzyma wzrok Huntera, ponieważ siedział zapatrzony w dal, jak gdyby zatopiony w myślach. Sandria bez przekonania skubała frytki, które z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Całkiem niezły - odezwał się tak nieoczekiwanie, że omal nie podskoczyła na krześle.

- Dziękuję za uznanie.

Znowu zapadło długie milczenie. I wreszcie:

- Wygląda tu jakoś inaczej. Co robiłaś?

- Trochę posprzątałam.

- Nie życzę sobie, żeby cokolwiek zmieniło miejsce.

- Niczego nie przekładałam - zapewniła, czując na sobie baczne spojrzenie. O mało nie zaczęła kręcić się niespokojnie na krześle.

- Czyściłam pod spodem i odstawiałam na miejsce . Kurzu było tyle...

- Proszę cię, nie ruszaj moich rzeczy. Wszystko ma zostać tak, jak jest - oświadczył, patrząc na nią podejrzliwie. - Co ci się wydawało, że znajdziesz, grzebiąc w moich rzeczach?

- W niczym nie grzebałam. Chciałam się po prostu na coś przydać.

Tym razem spojrzął na nią podejrzenie łagodnym wzrokiem.

- Gdyby tak było, zrobiłabyś, o co prosiłem, i odpłynęła rano na ląd.

Teraz ona zmarszczyła brwi.

- Słuchaj, czy nie możemy ogłosić zawieszenia broni i niepotrzebnie nie pogarszać sytuacji? Naprawdę obiecuję dołożyć starań, żebyś przez te cztery dni nie miał powodu na mnie narzekać.

- Albo raczej żebyś dopięła swego? Słyszac te ostre słowa, Sandria poczuła dziwne dławienie w gardle.

- Czy musimy... Czy nie możemy zostać przyjaciółmi? Przy odrobinie wysiłku z obu stron byłoby to chyba możliwe?

- Nie mam ochoty zawierać z tobą przyjaźni.

- Dlaczego? - spytała, zaglądając mu w oczy. - Czy byłoby inaczej, gdybym nie była dziennikarką?

- Ale jesteś dziennikarką - odparł, usiłując przybrać sarkastyczny ton, - Nie udawaj naiwnej, Sandrio. Nie dam się na to nabrać.

Poczuła się dziwnie zbita z tropu i bezradna. Wstała od Stołu. Straciła do reszty apetyt. Wyrzuciła swój papierowy talerz do plastikowego worka, zostawiając Hunterowi ostatniego hamburgera. Co by tu zrobić, żeby skierować rozmowę na mniej niebezpieczny grunt? Zajrzała do kartonowego pudła i wyciągnęła siatkę z pomarańczami.

- Pozwolisz, że wycisnę na rano sok z pomarańczy? Przyda się do śniadania.

- Ależ proszę. W tamtej szufladzie w głębi znajdziesz ręczny wyciskacz.

Wybranie odpowiedniego noża, deski do krojenia, a następnie przygotowanie pomarańczy zajęło Sandrii mnóstwo czasu. Zdawała sobie sprawę, że Hunter, jedząc hamburgera, wciąż ją obserwuje. Modliła się w duchu, żeby wreszcie skończył kolację i poszedł Sobie. Pożałowała swoich wcześniejszych prób zwabienia go do domu. Wolalaby już siedzieć sama, niż znosić to śledzące każdy jej ruch spojrzenie.

Przykroiła pomarańcze i słodki aromat rozszedł się po kuchni. Przycisnęła połówkę owocu do prążkowanego stożka wyciskarki. Wzięła następną połówkę. Sok gromadził się w kolistym zagłębieniu wyciskarki.

- Trzeba je wyciskać, a nie miażdżyć — usłyszała nagle głos Huntera tuż za swymi plecami i o mało nie zrzuciła wszystkiego na podłogę.

Skupiła całą uwagę na pomarańczach, niezadowolona ze sposobu, w jaki jej puls zareagował na bliskość tego człowieka.

Odsunęła się niepostrzeżenie.

- Czyżbym miała do czynienia z ekspertem? Roześmiał się, a jego oddech lekko poruszył opadające na gołe ramiona włosy Sandrii.

- Urodziłem się i wychowałem na Florydzie, w domu z ogrodem, w którym rosły pomarańcze. Jeśli się wyciska tak jak ty, sok, zamiast odpływać, zostaje w zgniecionym miąższu.

Pokręciła połówką pomarańczy. Do zagłębienia wyciskarki spłynął cieniutki strumień i Sandria przeklęła w duchu oporny owoc. Miała ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie; dziwna doprawdy reakcja na rady w sprawie wyciskania pomarańczy.

- Pozwól, pokażę ci, jak to robić - powiedział, nakrywając ręką dłoń Sandrii. - Trzeba ją najpierw lekko przycisnąć, o tak - to mówiąc nacisnął jej palce - a potem płynnym ruchem kręcić w jedną, a nie w obie strony. To nie pralka.

Obserwowała subtelne poruszenia kierującej jej palcami ręki. Wnętrzem dłoni czuła przez skórę pomarańczy delikatnie pobudzające tarcie ząbkowanej wyciskarki. Z owocu sączył się płyn, oblewając złotym nektarem czubki ich splecionych palców.

- A teraz jednocześnie przyciskaj i okręcaj - ciągnął spokojnym, rzeczowym tonem, niczym instruktor udzielający uczniowi lekcji. - Delikatnie. Czuje się niemal, jak sok wypływa stopniowo z otulających miąższ błon, prawda? No, właśnie.

Kiwnęła głową. Rzeczywiście czuła, jak owoc ulegle oddaje to, co ma najcenniejszego, Czuła także mnóstwo innych rzeczy. Bała się drgnąć. Bała się odetchnąć. Miała wrażenie, że tylko hipnotyzujący, zmysłowy ucisk jego ręki oraz chłodny płyn, stapiający ich palce swoją lepką słodyczą, trzymają ją jeszcze na nogach. Była bliska omdlenia.

On też to czuje, pomyślała, bo między nimi zapadła cisza, kiedy, sięgając po kolejne połówki owoców, kontynuował swoją pogładową lekcję. Pod tchnieniem jego gorącego oddechu niesforne kosmyki rozpuszczonych swobodnie włosów łaskotały szyję Sandrii i muskały jej policzek.

Kątem oka widziała jego zbliżającą się twarz. Była tuż, tuż. Owionęły ją zmieszane aromaty pomarańczy i jego ciała: świeża woń mydła i słonej morskiej wody zlewały się w jedno z podniecającym, zdrowym zapachem mężczyzny. Stała nieporuszona. Teraz ją pocałuje. Na pewno. Och, czekała na to.

Zamiast pocałunku poczuła jego jeszcze bliższy oddech, gdy szepnął jej do ucha:

- Nadal sądzisz, że możemy zostać przyjaciółmi?

Nazajutrz rano zniknął, nim wstała z łóżka. W kuchennym zlewie stała szklanka z osiadłą na dnie resztką wyciśniętego wczoraj soku. Było to nierealne wspomnienie nieodpartej siły przyciągania, której ulegli oboje minionego wieczoru.

Może to głupie, ale po tamtym krótkim zbliżeniu spędziła, tym razem w mniejszej sypialni, bezsenną noc. Rozszalały puls długo nie chciał się uspokoić i przez następne godziny jedna myśl uparcie krążyła jej po głowie: on stanowczo zanadto pociąga mnie fizycznie.

Niewyspana, czując piasek pod powiekami, krążyła po opustoszałej chacie. Mimo wczesnej pory, do wnętrza sączyły się złote promienie słońca.

Czyżby czekał ją kolejny samotny dzień w tym raj?

Poza krótkim pobytem w areszcie, w którym znalazł się jako chłopak za prowadzenie samochodu po pijanemu, Richie Cavanaugh nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek spędził równie koszmarną noc.

Komary wielkości półdolarówki o mało nie zjadły go żywcem. Pod bielizną pełno miał ostrego jak papier ścierny piasku, a w umęczonych wielogodzinnym kucaniem po krzakach nogach czuł bolesne kurcze.

Zajęcie podglądacza wyczerpało go do szczętu. Miał zupełnie dosyć daremnych prób odczytywania z ruchu ust treści rozmów — jeśli można to nazwać rozmowami - między Garrettem a jego

dziennikarką. Richie nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jedyne, co ich łączy, to wzajemna niechęć. Wczorajsza kolacja minęła w milczeniu. Zachowywali się z przymusem, jak para obcych ludzi, którzy z konieczności dzielą wspólne mieszkanie. Widać to było po sposobie poruszania się, gestach, wyrazie twarzy.

Z wyjątkiem, rzecz jasna, tego epizodu w kuchni. Nie wiedział, co robili, lecz było to coś dziwnie intymnego i dającego nadzieję na bardziej ekscytującą kulminację. Richie liczył już na to, że odrobina ostrego seksu rozwieje nudę jego dotychczasowego podglądactwa. Niestety, do niczego ciekawego między nimi nie doszło. Musiał wrócić jak niepyszny na swoje legowisko, zadowolając się przywiezionymi ze stałego lądu stęchłymi krakersami i ciepłym piwem.

Powinien był już dawno zadzwonić do ojca. Charlie pokroił go w plasterki za spóźnienie. Stary nie znosił utraty kontroli nad biegiem wydarzeń. A jeśli na domiar złego Richie wróci do Fort Myers z pustymi rękami?

Nie. Niech się stary jeszcze trochę pogotuje we własnym sosie. Może Garrett i dziewczyna zawrą w końcu rozejm i choć na jakiś czas opuszczą razem dom, żeby mógł go przeszukać.

Ich późniejszy los będzie zależał od wyniku tej rewizji.

Koło południa Sandria była bliska wywieszenia białej flagi. Hunter nie zjawił się na lunch. Długo pisała w swoim dzienniku, zrobiła generalne porządki, rozwiązała obrazkową układankę, opalała się na ganku. Kto by przypuścił, że w rajku może być aż tak nudno?

Bracia Sandrii znaleźliby tuzin sposobów wyjścia zwycięsko z beznadziejnej sytuacji. Jej, niestety, nie przychodził do głowy ani jeden pomysł, jak skłonić Huntera do współpracy. A sądząc po tym, ile poświęcał jej uwagi - w chwilach, kiedy w ogóle raczył się pojawić - mogłaby równie dobrze być niewidzialna.

Powiodła w roztargnieniu palcami po grzbietach książek na sosnowym regale. Wczoraj je odkurzyła, a dziś rano ustawiła równo na półkach. Może trzeba by je ułożyć w porządku alfabetycznym? Och, Sandrio, pomyślała, do czego doszłaś?

Przekrzywiła głowę, próbując odczytać tytuły, i nagle między książkami dostrzegła album. Zaciekawiona, siadła z nim na kanapie.

Album wydawał się pusty i niektóre karty przywarły do siebie. Okazało się jednak, że znajdowały się między nimi luźno powkładane zdjęcia oraz wąskie paski papieru, mające służyć jako podpisy pod fotografiami. Były też małe pamiątki: niebieska wstążka z targów książki, bilet do Disneylandu, komputerowy wydruk.

Wszystko to składało się na kronikę życia uroczego chłopczyka o jasnych jak len włosach. Napisane odręcznie, utrzymane w anegdotycznym stylu podpisy układały się w chronologiczny ciąg. Pierwsze urodziny Eryka. Pierwszy dzień w przedszkolu. Siódme Boże Narodzenie. Autor albumu albo nie zdążył dokończyć pracy, albo stracił do niej zapał, pomyślała Sandria bez większego zdziwienia. Sama miała w domu dziesiątki zdjęć, czekających od lat na wklejenie do albumów.

Uśmiechnęła się do zdjęcia, na którym chłopiec trzymał rybę niemal dorównującą mu wzrostem. „Wielka zdobycz”, głosił podpis. Mały stał na schodach domu, w którym się znajdowała. Sandria nagle zdała sobie sprawę, że musi to być syn Huntera, o którego istnieniu dowiedziała się z podanego przez komputer życiorysu. Chłopiec był do niego uderzająco podobny. Te same bystre, niebieskie oczy. Te same usta.

To by wyjaśniało sposób urządzenia mniejszej sypialni. Sandria zajrzała do swoich notatek, ale nie znalazła żadnych informacji o dalszych losach syna. Jeżeli Garrettowie się rozwiedli, któremu z rodziców przyznano prawo do opieki nad dzieckiem?

Sandria wpatrywała się w fotografie, jakby szukała w nich odpowiedzi na dręczące ją pytania. Może wzgląd na syna był jedną z przyczyn, które zamykają Hunterowi usta? Nie chce, żeby obcy ludzie szperali w jego prywatnym życiu? Czy minione dziewięć miesięcy spędził z synem? To by wiele wyjaśniało. Podobnie zresztą jak odwrotna możliwość.

Musi go delikatnie wy badać. Zastanawiając się, jak to zrobić, zabrała się do wklejania do albumu ułożonych nie znaną jej ręką zdjęć.

Hunter wrócił wczesnym popołudniem. Wydawał się zmęczony, a do ramion i szyi przywarły mu strzępy listowia. Sandria nie omieszkała jednak zauważyć rysującej się pod przepoconym trykotem szerokiej klatki piersiowej. Wstała od stołu i rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Jestem głodny - oświadczył krótko.

Poszedł do łazienki, skąd po chwili usłyszała szum wody. Wrócił odświeżony, z połyskującymi we Włosach kroplami wody.

- Zrobić ci kanapkę? - zaproponowała.

- Uhm. - Wzruszył ramionami, - Domyślam się, że gotowanie to nie twoja specjalność?

Zatrzymała się w połowie drogi do kuchni.

- Nie po to tu jestem, żeby wystawać nad garami - odcięła się .

- Jasne - odparł z lekkim uśmiechem. Zobaczył leżący na stole album i wziął go do ręki.

- Skąd on się tutaj znalazł?

- Był na półce między książkami. Uśmiech zniknął z twarzy Huntera.

- Mówiłem, żebyś niczego nie ruszała. Nie masz prawa.

- Kiedy ja tylko wkleiłam zdjęcia, dokładnie tak, jak były ułożone. Czekają, aż ktoś będzie miał chwilę czasu, żeby to zrobić. A ja mam aż za dużo czasu - dodała ze smutkiem,

- Sama tego chciałaś,

- A czy ja się skarżę?

- Proszę jeszcze raz, żebyś nigdy więcej niczego nie ruszała - oznajmił, podkreślając dobitnie każde słowo.

Skoro już wszelka nadzieja na przyjazną rozmowę i tak przepadła, postanowiła przypuścić frontalny atak.

- Ten chłopiec na zdjęciach to twój syn, prawdą?

Jego oczy straciły nagle wszelki wyraz. Potem opuścił wzrok i powiódł dłonią po okładce albumu, jakby przywołując w pamięci zawarte w nim obrazy.

- Niczego się nie dowiesz. Staram się znosić cierpliwie twoją obecność, ale jeżeli jeszcze raz spróbujesz grzebać w moich rzeczach, wyrzucę cię z domu i do przyjazdu Rileya będziesz spać w łodzi, w towarzystwie komarów. Jasne? - zakończył, rzucając jej ostre, agresywne spojrzenie.

- Jak słońce - odparła zimno. - Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby komary okazały się bardziej rozmowne niż ty.

- Możesz to łatwo sprawdzić - zauważył.

Zjadł w milczeniu kanapkę i Sandria wytarła stół w bawialni, spodziewając się, że zaraz znów sobie pójdzie. Kiedy jednak ruszyła do kuchni, stanął jej na drodze i, wciskając do ręki tubę kremu do opalania, oświadczył;

- Posmaruj się tym.

- Po co?

- Zmieniłem zdanie. Zabieram cię z sobą.

- Dokąd?

- Skoro postanowiłaś już wdrzeć się siłą w moje życie, musisz poznać nie tylko dobre, ale i złe jego strony.

- Dobre strony? Jakoś ich dotąd nie zauważyłam - mruknęła, ale ponieważ nie spuszczał z niej wzroku, z ciężkim westchnieniem dodała: - Ha, trudno. Więc co mnie czeka?

- Przyjechałem tu nie tylko po to, żeby całymi dniami łowić ryby i wylegiwać się na słońcu. Mam robotę, w której możesz mi pomóc. Zresztą wolę mieć cię na oku. Mogłabyś znowu zacząć gdzieś szperać.

Podał jej plastikową torbę na śmieci i po chwili wyszedł z domu, a Sandria za nim. Ze schowka pod schodami wyjął po drodze ogromną, groźnie wyglądającą maczetę. Pociągnął palcem po klindze, wziął osełkę, Usiadł na najniższym stopniu schodów i zabrał się do ostrzenia.

Sandria zamrugła zaniepokojona.

-Co ci jest?- spytał Hunter.

- Nic.

- Stałaś się dziwnie małowówna.

- Przyjęłam za zasadę, żeby nie spierać się nigdy z człowiekiem trzymającym w ręku maczetę. Zwłaszcza jeśli ów człowiek nie darzy mnie sympatią.

- Bardzo mądra zasada - powiedział z leniwym uśmiechem.

Teraz, kiedy jej puls trochę się uspokoił, Sandria odchrząknęła i wyciągnęła ku niemu plastikową torbę.

- Jeśli zamierzasz posiekać mnie tym draństwem na drobne kawałki, a potem zapakować do torby, to przynajmniej nie każ mi jej z sobą nosić.

- Jezu, ty masz chyba chorą wyobraźnię! Uspokój się. To nie na ciebie.

Sandria uśmiechnęła się przepaszajaco, z widoczną ulgą.

- I bez tego mam dosyć roboty - dodał, ruszając pierwszy w stronę plaży.

Po przejściu mniej więcej stu metrów zatrzymał się, wskazując Sandrii kępę zbitych chaszczy.

- Muszę wykarczować te namorzyny, a ty tymczasem pozbieraj z plaży wszystko, czego tu nie powinno być. Masz jakieś zastrzeżenia?

Najwyraźniej spodziewał się oporu z jej strony, ale Sandria postanowiła pokornie i bez sprzeciwu przyjąć wyznaczoną karę. Zwłaszcza że Hunter miał nadal w ręku tę przekłętą maczetę.

- Absolutnie żadnych - zapewniła, schylając się po leżącą u jej stóp puszkę od coli.

- Prowadzisz przetwórnię odpadów? - spytała, zadzierając głowę.

Rzuciwszy jej na odchodnym groźne spojrzenie, zbliżył się do zarośli. Patrząc, z jaką zaciekłością wycina skłębioną gęstwinię, Sandria gotowa była się założyć, że wyładowuje w ten sposób złość na nią.

Pracowali przez długi czas, prawie się od siebie nie oddalając, niemal bez słowa i wytchnienia. Hunter oczyścił z zarośli spory szmat plaży, a Sandria zapełniła trzy plastikowe worki wszelkiego rodzaju śmieciem. Były wśród nich butelki po winie, całe kilometry wędkarskiej żyłki, mocno sfatygowany kapeć. Plecy rozboleły ją od schylania się, ale postanowiła, że prędzej umrze, niż się poskarży.

W kępie wodorostów natrafiła na istną kopalnię śmieci, na których widok roześmiała się w głos.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Hunter, przerywając karczowanie.

- Ubodzy kochankowie - odparła, pokazując mu zbitą, wilgotną masę złożoną z połamanego plastiku, szkła i czerwonej tektury. - Tanie czekoladki popijane piwem z plastikowych kieliszków do szampana. Oryginalna kombinacja, nie uważasz?

- Nie rozumiem, dlaczego każdy niewyżyty seksualnie Romeo z Fort Myers musi koniecznie wyczyniać swoje miłosne harce na mojej wyspie.

- Nie rozumiesz? Przecież to idealne miejsce. Nigdy nie spotykałeś się w ustronnym miejscu ze swoją dziewczyną?

- Nie.

Powiedział to z takim obrzydzeniem, że mimo woli zawołała:

- Czy wszyscy naukowcy są takimi sztywniakami, czy stanowisz szczególny okaz?

W życiu nie widziała człowieka tak skłonnego do zapadania w długotrwałe milczenie. Wpatrywał się w nią nie wiedzieć jak długo. Po czym, nie kryjąc irytacji, oświadczył:

- Chciałbym przed zapadnięciem zmroku oczyścić do końca ten kawałek plaży.

Wrócił do wymachiwania maczetą, Sandria zaś zasalutowała za jego plecami, mrużąc pod nosem:

- Tak jest, panie kapo.

Ze zdwojoną energią zabrała się do zbierania śmieci, postanawiając nie myśleć o Hunterze i jego niezdolnych manierach. Niestety, realizację tego złośliwego zamiaru utrudniała jego obecność.

Przyciągał jej spojrzenie. Na widok szczupłego, muskularnego ciała, któremu przesączały się przez korony drzew promienie słońca nadawały osobliwy blask, Sandrii zaczynało kręcić się w głowie, a serce biło z nienaturalną prędkością. Pocieszała się w duchu, że może to skutek lekkiego porażenia słonecznego, którego nabawiła się na tamtej wyspie?

- Chcesz chwilę odpocząć? - odezwał się niespodziewanie.

- Nie muszę - odparła pogardliwie. - Nie chcę zakłócać harmonogramu prac.

Stał może o dwa kroki od niej. Na pewno mnie obserwuje, pomyślała. Ciekawe, o co znowu zacznie się czepiać. Schyliła się po leżącą nieco dalej puszkę po piwie i z obrzydzeniem potrząsnęła głową.

- Po co właściwie kupiłeś tę wyspę? Chciałeś wygrać przetarg na miejskie wysypisko śmieci?

- Zawsze tak jest, kiedy wracam po długiej nieobecności. Ludzie lubią urządzać tutaj pikniki.

- Chyba nie tylko - dodała, demonstrując kolejne znalezisko.

Tym razem trzymała w dwóch palcach nader skąpy, czerwony biustonosz od kostiumu bikini. - Może znasz właścicielkę?

Podszedł wolnym, lecz zdecydowanym krokiem.

- Hm - mruknął, lustrując z komiczną powagą wąski skrawek materiału.

Sandria jednak myślała jedynie o tym, że nawet teraz, spocony i zakurzony, wygląda niesłychanie pociągająco.

- Jakoś nikt w tej chwili nie przychodzi mi do głowy - odparł, wręczając jej z powrotem szmatkę. - Proszę, możesz to sobie zatrzymać.

- Nie może być? Dzięki! - mruknęła, wrzucając biustonosz do worka.

- Lubię samotność. Odwróciła się zdziwiona.

- Co?

- Pytałaś, dlaczego kupiłem wyspę. Bo lubię samotność.

Zdjął omotujący klingę długi pęd bluszczu i odrzucił na bok.

Jakby mimochodem dodał:

- Wiedziałem, że to świetne miejsce na letni dom, do którego można uciec i odpocząć od nadmiaru pracy.

Sandria wyprostowała się z wrażenia. Hunter po raz pierwszy z własnej woli powiedział jej coś osobie.

- Każdy potrzebuje takiego azylu - rzekła w zamyśleniu. - Moi rodzice mieli dom na Martha's Vineyard. Był bardzo stary, jak zaczarowany, a kiedy wiał mocny wiatr, wszystko w nim trzeszczało. Moi bracia mówili, że to kroki zmarłych kapitanów. - Zawiązała końce worka. - Czy wszyscy chłopcy lubią straszyć małe dziewczynki?

- Na pewno lubią straszyć młodsze siostry.

- Wiesz o tym z własnego doświadczenia?

- Nie mam rodzeństwa - odparł krótko. Podniosła z ziemi pogięte ciemne Okulary bez jednego szkła.

- A twoja żona... i synek? Nie czuli się nieswojo na takim odludziu?

- Julia uwielbiała wyspę, a Er... Nie dokończył.

Zaczął się do niej zbliżać szybkim krokiem i chociaż nie wyglądał groźnie, Sandria mimowolnie się cofnęła. Staął na wprost niej tak blisko, że widziała tańczące w jego oczach odbłaski słońca,

- Jeżeli szukasz dobrego tematu, to powinnaś zająć się historią tutejszych okolic. Podobno nie ma tu wysepki, na której nie straszyłyby jakieś duchy.

- Naprawdę? - spytała beztrąsko, dla podtrzymania rozmowy, chociaż nagła zmiana tematu była jej nie na rękę.

- Mówią, że jakiś drugorzędny pirat prowadził kiedyś na mojej wyspie handel niewolnicami. Przywoził tu porwane na stałym lądzie kobiety, które odsprzedawał potem arabskim szejkom.

- Sympatyczny gość.

Hunter wbił ostrze maczety w piasek i omiół Sandrię długim spojrzeniem, które zatrzymało się w końcu na jej twarzy niby niema pieszczota. Miękkim, naturalnym ruchem zaczął gładzić jej nagie ramiona.

- Był podobno wielkim znawcą damskiej urody - mówił wolno. - Dostarczał klientom najpiękniejszych kobiet.

- Słowem, pirat obdarzony dobrym gustem - bąknęła Sandria trochę nieprzytomnie. Fizyczna bliskość Huntera przyprawiła ją o kolejny zawrót głowy.

- Powiadają, że duchy porwanych kobiet nadal błądzą nocami po plaży i świecąc latarniami wzywają pomocy.

- Napotkałeś kiedy którąś z tych biedaczek?

- Niestety nie - odparł z przekornym uśmiechem!

- Trafiają mi się tylko wścibskie reporterki.

- Marny dowcip!- odcięła się pogardliwie. Chcąc za wszelką cenę położyć kres kłopotliwemu zbliżeniu, sięgnęła po leżący na piasku worek ze śmieciami.

Hunter ujął jej rękę poniżej ramienia. Podniosła głowę i poczuła, że jego gorące, dziwnie magnetyczne spojrzenie wprawia ją w wewnętrzne drżenie.

- Trącisz czas, Sandrio - powiedział bez gniewu.

- Nie próbuj mnie wyciągać na zwierzenia. Zajmij się lepiej historią handlu białymi niewolnicami.

- Och, Hunter...

Uśmiech igrał w jego niebieskich oczach.

- Tak? - zapytał.

Czuła, że na jej policzki wypływa zdradziecki rumieniec, choć sama nie wiedziała, czy bierze się on z poczucia winy czy też z zachwyty, jakim całą jej istotę przejmował widok niezwyklej twarzy Huntera.

- Ja... Jesteś przesądnie podejrzliwy - wyjąkała.

- Nie chciałam niczego z ciebie wyciągać.

- Nie? - spytał z powątpiewaniem- - Rzeczywiście mieliście rodzinny dom na Martha's Vineyard?

- Coś w wyrazie jej twarzy kazało mu się szeroko uśmiechnąć. - Nie szkodzi. Ta historia o piracie, to też nieprawda.

Wolno, jakby leniwie gładził jej nagie ramiona, i choć ciało miała nagrzane słońcem, poczuła na skórze chłodne mrowienie. Mocne, twarde rysy Huntera zdawały się łagodnieć. Przechylił na bok głowę, jakby odkrył nagle coś nieoczekiwanego i nie bardzo wiedział, co z tym począć.

Sandria podniosła rękę, próbując unieruchomić jego dłonie. Domyślała się, iż jej wzburzenie jest widoczne, i czuła, że jeśli natychmiast nie położy kresu tym delikatnym pieszczotom, lada moment zapomni o istnieniu wstydu.

- Grasz nie fair - powiedziała, spoglądając mu w oczy.

- Uprzedzałem już, że nie chcę się z tobą wdawać w żadne „gry”. To ty uparcie nie chcesz dać za wygraną.

- Wystarczy odrobina dobrej woli i będziesz mnie miał raz na zawsze z głowy - odparła zdecydowanym tonem.

- Nie wierzę ci. - Potrząsnął głową, lekko wzmacniając uścisk. - Prasio nie można ufać.

- Mnie możesz. Proszę cię przecież o niewiele. Daj mi cokolwiek.

Spowaźniał.

- Na taką prośbę nie mogę pozostać obojętnym - oświadczył z posepnym uśmiechem.

Poczuła ciepło jego nagiego torsu, gdy przyciągnął ją do siebie i przywarł wargami do jej ust. Zaskoczona, otworzyła usta do krzyku, a on nie omieszkał tego wykorzystać. Był to gorący i podniecający pocałunek. Pałący wargi i oszałamiający jak alkohol. Niestety, jego koniec okazał się równie nagły jak początek.

Hunter gwałtownie wypuścił ją z uścisku. Musiała cofnąć się o krok, by nie stracić równowagi.

- A teraz niech pani reporter spróbuje z tego coś wykombinować - powiedział. Po czym odwrócił się i odszedł.

Kolacja znów upłynęła w ciszy. Z pewnością nie mógł jej darować, że dobrała się do tego albumu. Woląca zresztą nie wgłębiać się zbyt w przyczyny jego milczenia, bojąc się, iż ma ono więcej wspólnego z jego popołudniowym wybrykiem niż podejmowanymi przez nią próbami myśzkowania w jego przeszłości.

Obserwowała jego profil, ilekroć nie mógł tego widzieć.

Jego niezwykle przystojna twarz była całkowicie nieprzenikniona. Dziwna rzecz, ale im bardziej się przed nią zamykał, nakładając na twarz pozbawioną wyrazu maskę, tym bardziej pragnęła dotrzeć i przemówić do jego serca. Na co, oczywiście, jako dziennikarka nie mogła sobie pozwolić. Niemniej poczuła nagle, że najbardziej w tym wszystkim dokucza jej brak wzajemnego zaufania.

Hunter zmywał naczynia, a ona zastanawiała się, jak przebrną przez dzisiejszy wieczór, nie mając telewizji, która dostarczyłaby

przynajmniej namiastki zajęcia i zastępczych tematów do rozmowy.

Kończyła

właśnie ścierać okruchy ze stołu, gdy światło zamigotało, po czym zgasło.

- Nie ruszaj się - z ciemnej kuchni dobiegł głos Huntera. - W którejś szufladzie powinna być latarka.

Słyszała szamotaninę w kuchni, szcęk naczyń. Nagle Hunter zaklął pod nosem.

- Co się stało? - zawołała.

- Nic, nadziałem się na widelec.

- Trzeba było zapłacić rachunek za światło - poradziła ze śmiechem.

- Mam własny generator. Miewa czasami humory. O, jest!

Snop światła przebił ciemności, kierując się chybotliwym ruchem w jej stronę.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała.

- Pójdę go naprawić. Myślę, że to długo nie potrwa.

- Pójdę z tobą.

- A po co? Znasz się na naprawianiu generatorów?

- Potrafię trzymać latarkę.

- Dam sobie radę bez ciebie.

- Nie bądź nudny. Mogę ci się przydać. Zresztą nie mam ochoty siedzieć sama w ciemnościach.

- No dobrze. Poczekaj — zakomenderował. Zostawił ją w ciemnym pokoju, a sam zniknął w sypialni. Po paru minutach wrócił.

- Nic lepszego nie znalazłem - powiedział, rzucając Sandrii o wiele za dużą, żółtą gumową kurtkę. - Trzeba się dobrze osłonić, bo komary strasznie tną.

Deszczowiec sięgał jej poniżej kolan, a ręce ginęły w rękawach. Czuła się w nim jak włóczęgą ubrany w znalezione na śmietniku szmaty.

Hunter zaciągnął błyskawiczny zamek swojej kurtki, ona tymczasem walczyła z przydługimi rękawami, bezskutecznie usiłując zapiąć kurtkę pod szyją. Spojrzał na nią z politowaniem, wepchnął latarkę pod pachę i odsunął jej rękę.

- Daj, ja to zrobię.

Ściągnął poły gumowego płaszcza i zapiął guziki, lekko muskając kostkami palców jej szyję. W ciemnościach nie mogła dostrzec jego oczu, ale czuła instynktownie, że się jej przypatruje.

- Podnieś kołnierz, żeby osłonić szyję - powiedział.

Wysoki, szeroki kołnierz kompletnie zasłonił jej oczy. Sięgał niemal czoła. Hunter roześmiał się w głos.

- Robisz to naumyślnie, co? - zezłościła się, opuszczając kołnierz.

- Staram się tylko, żeby komary nie zjadły cię na kolację - odparł podejrzanie niewinnym tonem. Potrząsnął aerozolem z płynem odstraszającym owady. - Wystaw nogę.

Wyciągnęła najpierw lewą, potem prawą nogę, podczas gdy on, z nisko pochyloną głową, pieczołowicie spryskiwał jej obnażoną skórę.

- Czuję się w tej żółtej kurtce jak szkolny autobus -poskarżyła się,

Hunter wyprostował się i spryskał sobie płynem obie dłonie.

- Zamknij oczy i nie ruszaj się-rozkazał, zabierając się bez ceregieli do nacierania jej twarzy. Szybko zamknęła oczy i prychnęła, gdy przykry zapach uderzył ją w nos. Nade wszystko jednak odczuwała fizyczne dotknięcie jego rąk.

On zaś natychmiast pożałował, że znów się do niej zbliżył.

Uważaj, idioto, pomyślał. To ryzykowne. Trzeba się od niej trzymać z daleka.

Wstrzymując Oddech, delikatnie wodził palcami po gładkiej skórze. Wyczuwał kształt jej policzków, nosa. Nawet podbródek zdawał się nieskazitelnie wymodelowany, jakby boska ręka uformowała każdy rys jej twarzy. Twarzy anioła wyczekującego bożego błogosławieństwa.

Albo kobiety złąknionej pocałunku.

Ogarnęło go pożądanie tak silne, że jedna tylko myśl tłukła mu się po głowie: chwycić ją w ramiona, przycisnąć wargi do jej warg i korzystając z ciemności, zatracić się razem z nią...

- Sandria...

Gwałtownie odwróciła twarz.

- Wystarczy! Ależ to śmierdzi - powiedziała z lekkim śmiechem, ale w jej głosie dosłyszał drzenie i domyślił się, że i z nią dzieje się coś dziwnego.

- Wolę już być pogryziona przez komary. Wyszli oboje na ganek, gdzie Hunter przystanął na chwilę, oświetlając latarką schody. Na wyspie wokół domu panowała głęboka cisza, dziwnie teraz obca i przytłaczająca,

- Daj mi rękę - odezwał się.

- Po co?

- Bo po drodze do generatora leżą różne rzeczy, o które można się potknąć.

- Dziękuję za troskliwość, ale...

- Daj rękę - powtórzył stanowczo. - Wolę nie ryzykować procesu o odszkodowanie, gdybyś przez niezdarność przewróciła się na wystającym korzeniu i złamała nogę.

Zbyt rozczarowana tym rzeczowym wyjaśnieniem, by stawiać dalszy opór, pozwoliła wziąć się za rękę. A już miała nadzieję, że troszczy się o jej bezpieczeństwo. Co za nieznośny człowiek! Zupełnie nie pojmowała, dlaczego uścisk jego palców sprawia jej tyle przyjemności.

Po chwili dotarli do niewielkiej szopy. Hunter oddał jej latarkę, a sam przekręcił klucz w kłódce. Drzwi otwarły się ze skrzypieniem i z wnętrza wionął nieprzyjemny zapach oleju, rozplywając się w balsamicznym powietrzu nocy.

Wnętrze było tak ciasne, że z trudem się w nim oboje mieścili. Na środku rozpierał się wielki, pomalowany na zielono silnik. Sandria zaczęła oglądać pomieszczenie, oświetlając latarką ściany i sufit, po których wędrowały groźne, ruchome cienie.

- Skończ zwiedzanie i poświeć tutaj - przywołał ją do porządku.

Podeszła do generatora, czekając na efekt manipulacji Huntera przy przekładniach i guzikach. Kiedy po chwili nacisnął włącznik, maszyna wydała z siebie jedynie pomruk zdychającego zwierzęcia i znów zamilkła. Hunter podszedł do boku generatora i zaczął odłączać kable dużego akumulatora.

- To coś takiego jak akumulator w samochodzie? - zainteresowała się.

- Uhm.

Przez następne kilka minut przyglądała się, jak usuwa szczyrykiem rdzę z klemów akumulatora.

- Naciśnij włącznik, może teraz zaskoczy - powiedział.

Silnik nie zaskoczył,

- Co teraz chcesz zrobić? - spytała.

- Działać metodą eliminacji. Jeżeli przyczyna nie leży w akumulatorze, to poszukam jej gdzie indziej.

- Może zabrakło benzyny?

- On pracuje na ropę - oświadczył tonem dającym jasno do zrozumienia, że każdy powinien o tym wiedzieć, Biedny mężczyzna zmuszony tłumaczyć byle idiotce, jak funkcjonuje generator prądu!

Uznała, że nie pozwoli wytrącić się z równowagi.

- No to może zabrakło ropy? - brnęła dzielnie,

- Nie powinno. Sprawdziłem stan zbiornika.

- A może wysiadły świece?

Po błysku światła na jego włosach poznała, że znów potrząsnął głową.

- Dieslowe generatory nie mają świec - poinformował ją z rezygnacją.

- Staram się tylko nie pominąć żadnej możliwości.

- Wystarczy, jeśli będziesz trzymać latarkę - oświadczył zniecierpliwionym tonem. — I przestań szeptać. Nikt nas nie podsłuchuje.

Zamilkła obrażona. Proszę bardzo, niech sobie sam radzi z tym potworem.

Po paru nieudanych próbach Hunter doszedł do wniosku, że do przewodów paliwowych dostała się woda i trzeba je przeczyścić, a to zabierze trochę czasu. Sandria ma pilnować, żeby miał dosyć światła i naciskać włącznik, kiedy ją o to poprosi. Niczego więcej nie potrzebuje.

Zrzucił kurtkę i z kąta szopy wyciągnął pompę, po czym odłączył gumowe węże, żeby je przedmuchać strumieniem powietrza. Zdecydowana nie dostarczać mu więcej powodów do narzekań, Sandria kierowała pilnie strumień światła na jego rękę.

Syk przeciskającego się przez rury powietrza zaledwie docierał do jej świadomości. Hunter miał cudowne ręce, długie i smukłe, ale męskie, o płasko zakończonych palcach. Zręcznie i z mocą obejmowały uchwyt pompy. Wczoraj wieczorem były delikatne, dziś po południu okazały się bezwzględne i niemal władcze.

Nie, nie wolno jej myśleć o takich rzeczach. Kiedy zmusiła się do podniesienia oczu, żeby nie patrzeć dłużej na jego dłonie, jej wzrok padł z kolei na muskularne, napinające się raz po raz w rytmicznym wysiłku ramiona. Wspaniałe uosobienie siły fizycznej połączonej ze zręcznością.

Raz... dwa.

Raz... dwa.

Było coś hipnotycznego w tym doskonale precyzyjnym, rytmicznym ruchu. Sandrii krew pulsowała coraz żywiej i żywiej, jakby podporządkowując się jakiejś przemożnej sile.

Intymna bliskość w zamkniętej przestrzeni miała w sobie coś nierealnego, jakby byli jedynymi ludźmi na tej planecie, zawieszonymi gdzieś na skraju wszechświata. Wyśmiałyby ją, gdyby mu to powiedziała. Chciał jedynie naprawić generator. Jej też tylko na tym powinno zależeć, przywołała się do porządku.

Hunter dwukrotnie przerywał pompowanie, każąc jej nacisnąć włącznik. Z silnika za każdym razem wydobywały się parsknięcia i krótkie, szybko cichnące pomruki. Zaklął ze złością pod nosem. Upłynęła już prawie godzina. Jeżeli nie zdoła uruchomić generatora...

Rzucił Sandrii ukradkowe spojrzenie. Stała zaledwie parę kroków od niego i w zbyt obszernym deszczowcu wyglądała tak słodko i uwodzicielsko, iż Hunterowi przemknęło przez głowę, że jeśli sytuacja się przedłuży, będzie zmuszony zmniejszyć dzielącą ich odległość, choćby po to, aby nie wyjść na ostatecznego niedojdę. W

zmaganiach z generatorem nie wypadł może najlepiej, ale są inne rzeczy, z którymi na pewno potrafi sobie poradzić.

Sandria najwyraźniej wypatrywała czegoś w ciemnościach.

- Coś się stało? - zapytał: Latarka drgnęła w jej ręku.

- Nic, dlaczego pytasz? - odrzekła, odwracając się szybko w jego stronę.

Ruchem głowy wskazał drzwi pomieszczenia.

- Co cię tak zainteresowało na dworze?

- Miałam wrażenie, że w krzakach coś się poruszyło.

- To pewnie szopy.

- Och, to nic, tylko... tak ciemno.

- Co za zmysł obserwacji - zauważył z ironią, zakładając ręce na piersiach. - Nic dziwnego, że zostałam dziennikarką.

Jego uszczypliwość zrobiła jej widoczną przykrość.

- Nie przywykłam do absolutnych ciemności. W mieście zawsze jest choć trochę światła.

- No tak. W rajskim świecie neonów.

W każdym razie nie czuje się takiego odizolowania, osamotnienia.

Czy chciała obudzić w nim poczucie winy za to, że skazywał ją na wielogodzinną samotność, okazywał jej ostentacyjną niechęć, a nawet Wrogość? Chciał ją tylko zmusić do wyjazdu. Niestety, na próżno. Okazała się wytrwalsza, niż przypuszczał. Twarda sztuka. Ale w tej chwili wcale nie wyglądała na takiego zucha, za jakiego chciała uchodzić. Może tylko udaje?

Niech to diabli! Pod wpływem kryjącego się w jej głosie rozzalenia serce zaczynało mu mięknąć. Niesamowite, co ta kobieta z nim wyrabia! Trzymał się na wodzy ostatkiem sił i również ostatkiem sił zdobył się na lekki, prześmiewczy ton.

- Myślałem, że tego właśnie tu szukasz. Intymnego sam na sam - mruknął, ścisząc głos niemal do szeptu.

Musiała się zorientować, co się z nim dzieje, bo zainteresowała się nagle generatorem. Hunter nie oponował; był jej wręcz wdzięczny za rozładowanie niebezpiecznego napięcia.

- Jesteś pewien, że wiesz, jak go uruchomić? - spytała.

Bardzo dobrze, Sandrio. Tak trzymaj, pochwalił ją w duchu. Porozmawiajmy o tym cholernym generatorze. To bezpieczniejszy temat.

- Jestem otwarty na twoje propozycje - powiedział na głos.

- Nie mogę powiedzieć, żebym specjalnie lubiła twoją wyspę.

- Więc oddaj mikrofon i nim zdążysz powiedzieć „poddaję się”, będziesz z powrotem w Miami.

Sandria przecząco potrząsnęła głową, a on wzruszył ramionami.

- W takim razie radzę przyzwyczać się do ciemności, bo jeśli nie zdołam go uruchomić, pozostaną nam tylko świece. Koniec z prysznicami, koniec z wodą do picia, nie licząc tej, która jeszcze została w rurach.

- Nie będzie prysznic?

- Bez generatora nie ma wody,

- Uff! - jęknęła, po czym rzuciła mu nagle podejrzliwe spojrzenie. - Robisz to celowo, żeby wy dostać ode mnie mikrofon?

- Nie. A oddałabyś?

- Nie.

- Tak właśnie myślałem - odparł z leciutkim uśmiechem, zabierając się na powrót do pompowania.

Po paru minutach kazał jej znowu uruchomić motor. Zmówiła w duchu krótką modlitwę i z całej siły nacisnęła włącznik. Generator zakrzuszył się, wydając z siebie serię monotonnych, niechętnych pomruków.

- Ty przeklęty gracie! - krzyknął z pasją Hunter. - No, rusz się wreszcie!

Sandria, równie zrozpaczona jak on, wymierzyła generatorowi solidnego kopniaka. I stał się cud - silnik drgnął i rozpoczął pracę.

Oboje popatrzyli oniemiała, najpierw na motor, potem na siebie, i wybuchnęli głośnym śmiechem. Hunter rzucił pompę, zbliżył się do generatora i chwycił Sandrię za rękę.

- Oszukałaś mnie - zawołał, przekrzykując hałas motoru. - Okazuje się, że umiesz naprawiać generatory!

Zarumieniona z radości, wyciągnęła obutą w gumowy but stopę.

- Trzeba mieć po prostu odpowiednie narzędzie!

Znów wybuchnęli śmiechem i Sandria uświadomiła sobie, że po raz pierwszy, odkąd go poznała, słyszy jego prawdziwy, niewymuszony śmiech. Śmiech pozbawiony ironii i sarkazmu, bez

żadnej dwuznaczności, wyrażający czystą radość, która poruszyła ją do dna serca.

Spojrzała mu w oczy. W ciemnej, przegrzanej szopie ich myśli spotkały się na jeden krótki moment. Coś się między nimi zmieniło i ich serca zabiły jednym rytmem. Śmiech zamarł obojgu na ustach.

Na twarzy Huntera pojawił się dawny, niedowierzający uśmiech, jakby nie mógł zrozumieć, jaka siła stworzyła między nimi tę niezwykłą więź. Jego błyszczące w ciemnościach oczy błędziły po jej twarzy, jak gdyby szukając w niej odpowiedzi i drogi wyjścia.

Sandria się nie zastanawiała. Ulegając z rozkoszą podniecającemu biciu własnego serca, pochyliła się lekko do przodu. Jednakże w momencie, gdy była pewna, że potrzeba fizycznego kontaktu weźmie w nim górę nad ostrożnością, Hunter gwałtownie opuścił ręce i odwrócił się do niej plecami.

Siedział na kanapie z głową opartą o poduszki, czekając, aż Sandria zwolni łazienkę. Był kompletnie wyczerpany. Całodzienne karczowanie namorzynów, a potem męczące próby uruchomienia generatora, podczas których najwyższym wysiłkiem woli opanowywać musiał niższe instynkty, do cna wyczerpały jego energię. Nadal nie mógł się uspokoić, pamiętając, jak mało brakowało, by stracił nad sobą kontrolę.

W młodości działały się z nim podobne rzeczy, ale teraz? Jak to możliwe, że wciąż krążą mu po głowie idiotyczne, niedopuszczalne zachcianki? I to na dodatek dotyczące kobiety, której powinien wystrzegać się jak zarazy? Sposób, w jaki na niego działała, doprowadzał go do furii. Że też nie potrafi nad tym zapanować!

Ze złością przeczesał palcami włosy. Ile czasu musi jeszcze czekać, zanim przyjedzie Riley, żeby zabrać tę babę z wyspy i z jego oczu? Oj, długo. Stanowczo za długo.

Spojrzał w bok. W przeciwległym rogu kanapy leżał porzucony notatnik Sandrii.

Wcale nie zamierzał po niego sięgać, a jednak niepozorny, pełen sekretnych myśli zeszyt w okładkach imitujących skórę znalazł się nagle w jego rękach. Ciekawe, co o nim napisała? Do jakich doszła wniosków?

Nie, nie, nic go to nie obchodzi. Cokolwiek napisze, nie zdoła uczynić mu większej krzywdy niż ta, którą sam sobie wyrządził.

Takimi argumentami starał się odpędzić pokusę, ale jego palce, jakby z własnej woli, zaczynały już kartkować tajemniczy zeszyt. Resztki skrupułów przysły, kiedy sobie przypominał, jak bezwstydnie właścicielka notatnika wdarła się bez pozwolenia w jego prywatne życie.

Sandria wyszła spod gorącego prysznicza z miłym poczuciem odprężenia, uspokojona i wzmocniona na duchu. Jutro pomyśli i spróbuje znaleźć sposób na zasypanie dzielącej ich przepaści. Pewnie się ludzi, bo w istocie nic się między nimi nie zmieniło. Niemniej tamta chwila milczącego porozumienia w szopie przy generatorze dawała jakąś nadzieję.

Rozejrzała się po pokoju - był pusty. Drzwi domku stały otworem, a ganek tonął w złotej poświacie, rzucanej przez wiszącą nad wejściem lampę. Wiał lekki wietrzyk, wydzwaniając wśród liści cichą, nieuchwytną melodię. Wyszła bosą, bezszelestnie na ganek.

Dopiero po dłuższej chwili spostrzegła Huntera, który siedział na ogrodowym fotelu w odległym kącie pomostu, poza zasięgiem lampy. Ruszyła odruchowo w jego stronę, ale zawahała się i przystanęła. Może specjalnie ukrył się w cieniu, może potrzebuje samotności?

- Łazienka wolna - powiedziała. - Starałam się zużyć jak najmniej gorącej wody.

Lekkim kiwnięciem głowy pokwitował jej słowa. Tak, najwyraźniej woli zostać sam. Odwróciła się, by wrócić do domu.

- Sandrio?

Powiedział to dziwnie miękkim, łagodnym tonem. Stała zaskoczona.

- Tak?

- Nie jest jeszcze późno, a wiatr rozpedził komary. Może miałabyś ochotę posiedzieć chwilę na ganku?

Propozycja była tak nagła, że aż podejrzana. Sandria wyciągnęła szyję, próbując przebić wzrokiem ciemności i zrozumieć, co ten człowiek knuje.

- Zapraszasz kobietę czy dziennikarkę?

W wieczornej ciszy usłyszała jego lekki, wesoły śmiech.

- Dame, która jest ekspertem od naprawiania generatorów - odparł.

Sandria poczuła nagłą radość, którą jednak natychmiast stłumiła. Pewnie jest po prostu zmęczony i przed pójściem spać chce się trochę odprężyć. Z braku lepszej rozrywki jest gotów nawet z nią zamienić parę słów.

Usiadła na sąsiednim fotelu i podniosła głowę, spoglądając na usiane gwiazdami niebo. Wiatr rozwiewał jej włosy. Starła się nie słuchać szumu fal, które

w nieregularnych, przypominających czkawkę odstępach rozbijały się o podpierające werandę pale.

Opuściła głowę i zwróciła się do swego towarzysza z pytaniem:

- O czym chciałby pan porozmawiać? Zauważyła, że Hunter trzyma coś na kolanach.

Przyjrzała się. Był to otwarty album, o który wczoraj zrobił jej awanturę. Jego palce błędziły na oślep po krawędzi okładki.

- Całkiem zapomniałem o istnieniu tego albumu - powiedział cicho, jakby sam do siebie. - Moja żona zabrała go na wyspę i pewnie nie zdążyła powklejać zdjęć.

- To tak jak z listami, które stale obiecujemy sobie napisać i na które nigdy w końcu nie starcza czasu.

- Napracowałam się.

- Ależ skąd. Wszystko było ułożone, wystarczyło przykleić zdjęcia.

- Zezłościło mnie, że szperasz w moich rzeczach i chyba za bardzo się uniosłem. Widok tego albumu wytrącił mnie z równowagi.

Wyjaśnienie - czy może przeprosiny? - było jeszcze bardziej zaskakujące niż zaproszenie na ganek. Sandria niepewnie pokręciła głową.

- Hunter...-zaczęła. Zmieszani, popatrzyli sobie w oczy.

- Miałaś rację - powiedział z nagłym wzruszeniem. - Tak, to są zdjęcia mojego syna.

- Łatwo było zgadnąć. Ma takie same usta i podbródek jak ty. Znamionujące upór.

Czuła się nieswojo. Nie rozumiała, co się stało.

Dlaczego ni stąd, ni zowąd zdecydował się na intymną rozmowę? Skąd ta nagła zmiana?

- Często go widzisz?

- Nie.

- Przepraszam. Na pewno musi ci być ciężko.

- Moja żona i syn nie żyją - wyznał po długim milczeniu.

Sandrii zamarło serce. Miała wrażenie, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię. A jednocześnie ogarnęły ją mieszane uczucia - z jednej strony chęć pocieszenia go w nieszczęściu i rozpędzenia jego smutków, z drugiej zaś obezwładniająca świadomość własnej bezsilności.

- Strasznie przepraszam. Nie miałam pojęcia.

- Wracajmy do domu.- powiedział, wstając gwałtownie z fotela.

Wkraczał już niemal w krąg światła, kiedy Sandria odzyskała głos.

- Hunter - szepnęła błagalnie. - Proszę cię, nie odchodź jeszcze.

Staął, ale się nie odwrócił. Pewnie rozważa, czy może sobie pozwolić na kontynuowanie tej rozmowy. Zdążył się już chyba na tyle otrząsnąć z nieszczęścia, by nie odczuwać na co dzień ciężaru wspomnień, ale odsuniętych w głąb pamięci smutków nie sposób zapomnieć i trudno nad nimi zapanować.

Podeszła do niego. W ciemnościach widziała tylko rysujący się niewyraźnie w świetle księżyca profil jego twarzy.

Po długim, bardzo długim milczeniu zaczął mówić przyciszonym głosem, który zdawał się płynąć z głębi samotności:

- Kiedy postanowiłem wytoczyć Cavanaughowi proces, nie chciałem narażać rodziny na ataki prasowe, więc Julią zawiozła Eryka do Norwegii, do swoich rodziców. Moi teściowie mieszkają w małej,

zapadłej miejscowości, której nie ma nawet na mapie. Myślałem, że będą tam bezpieczni.

Z każdego, z trudem wymawianego słowa biła rozpacz i poczucie winy. Cokolwiek zdarzyło się w jego życiu od śmierci żony i synka, myślała Sandria. rana zadana wówczas jego sercu długo się jeszcze nie zabiłi.

Położyła mu delikatnie rękę na ramieniu i poczuła przechodzące go drżenie.

- Jak to się stało? - spytała.

- Julia chciała pokazać Erykowi swój rodzinny kraj. Zwiedzali okolice. Nastąpiło czołowe zderzenie i ich samochód stoczył się w przepaść. - Hunter mówił z napiętą twarzą, cedząc z wysiłkiem słowa.

- Teściowie zawiadomili mnie przez telefon.

- Czy sądzisz, że wypadek mógł być sprowokowany?

Spojrzał na nią z uśmiechem, w którym był tylko smutek.

- Przez Charlesa Cavanaugha? W tamtym okresie ja też na każdym kroku wietrzyłem skrytobójców, a Cavanaugha podejrzewałem o wszystko co najgorsze. Jednak ojciec Julii przekonał mnie, że to niemożliwe. Zderzenie spowodowała para jadących z przeciwka niemieckich turystów, których na zakręcie wyrzuciło na lewą stronę szosy. Na tamtejszych górskich drogach często zdarzają się podobne wypadki.

- Żadną agencja prasowa tego nie odnotowała.

- Julia występowała tam pod panięńskim nazwiskiem. Zresztą to małe miasteczko; wszyscy się znają i obowiązuje wzajemna

lojalność. Rodzice Julii są ludźmi szanowanymi, cieszą się powszechną sympatią. Zależało im, tak samo jak mnie, na uniknięciu sensacji, więc sprawę wyciszono. Do prasy poszedł cynk, że żona mnie opuściła. W Stanach tylko Riley wie, jak było naprawdę. - Hunter z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Co za ironia losu! Gdyby zostali w Ameryce, narażając się na brutalną nagonkę prasową, najprawdopodobniej pozostaliby przy życiu.

- Skąd mogłeś przypuścić, że zdarzy się coś podobnego?

- Teoretycznie wiem o tym, ale czasami - gwałtownie potrząsnął głową, zaprzeczając zwykłej logice - to po prostu nie wystarcza.

- Hunter... - zaczęła Sandria. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, wydawało się puste, nic nie znaczące. - Chcę ci pomóc, ale nie wiem jak. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

- Nie umiem ci odpowiedzieć. Na razie staram się przeżyć każdy kolejny dzień, czekając... - Urwał i zapatrzył się nagle w czarny przestwór wody.

- Aż wspomnienia przestaną być tak bolesne?

- Kiedy patrząc w lustro przestanę widzieć zabójcę własnej żony i dziecka.

Cóż za obłądne samooskarżenie! - pomyślała wstrząśnięta. On nie mówi tego poważnie! Jednakże malująca się na twarzy Huntera udręka potwierdzała jego słowa.

- Nie wolno ci tak myśleć! Dlaczego miałbyś uważać, że to twoja wina?

- To ja wysłałem ich do Norwegii. Julia nie chciała wyjeżdżać.

Ile bólu słyszała w jego głosie! Ale kiedy ich spojrzenia znowu się spotkały, oczy Huntera wydawały się pozbawione wyrazu.

- Pokłóciliśmy się. Byłem zbyt rozjuszony fałszowaniem przez firmę wyników moich badań, żeby słuchać, co Julia ma na ten temat do powiedzenia. Chciałem sam załatwić sprawę, na własny sposób.

- Postąpiłeś właściwie, zgodnie ze swoim najgłębszym przekonaniem, obojętne, jakie było ostateczne orzeczenie komisji specjalnej.

- No właśnie! Gdyby nie mój przekłety upór i dziecinny idealizm, Julia i Eryk nie musieliby...

Sandria czuła, że próbuje na nowo zamknąć się w sobie, więc szybko wtrąciła:

- Po co się zadreczasz? Oni cię kochali. Na pewno cierpieliby, widząc, jak robisz sobie wyrzuty z powodu czegoś, na co nie mogłeś mieć żadnego wpływu.

Twarz mu drgnęła i na usta wypłynął przejmująco smutny uśmiech. Pochylił się nad nią, podnosząc palcem brodę Sandrii, tak że jej twarz oświetliło światło księżyca.

- Słodka Sandrio, masz za dobre serce. Wybrałaś sobie niewłaściwy zawód. Zamiast szukać dla mnie usprawiedliwień, powinnaś myśleć o tym, jak sprzedać tę historię swoim czytelnikom.

Sandria przymknęła oczy, wsłuchując się w swój nierówny oddech.

- Nie potrafię cię skrzywdzić - szepnęła. Błądzące po twarzy Sandrii oczy Huntera zatrzymały się na jej ustach.

- W pewnym sensie... już to zrobiłaś - powiedział z trudem, jakby mówił wbrew własnej woli.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Nie rozumiesz?

Ujął jej głowę w obie dłonie i przyciągnął ku sobie. Dotyk jego warg wydał się Sandrii tak naturalny, że złakniona bliższego kontaktu pochyliła się do przodu, przywierając do jego ciała. Pod delikatnym naporem jego ust jej wargi zadrgały, poddając się rozkoszy długiego, cudownego pocałunku. Kiedy Hunter oderwał się od niej na koniec i podniósł głowę, poczuła się nagle jak osierocona. Chłód nocy owiał jej wilgotną twarz, ale nie ostudził rozpalonego w sercu ognia.

- Jesteś cudowna - szepnął jej do ucha. - Kiedy cię całuję, zaczynam wierzyć, że wszystko jest jeszcze możliwe.

Jego oczy pałały namiętnością, ale na ich dnie czaił się niepokój. Widziała, jak toczył trudną wewnętrzną walkę i trafnie odczytała moment, w którym rozsądek wziął ostatecznie górę nad porywem serca.

Opuścił ręce na ramiona Sandrii i delikatnym ruchem odsunął ją od siebie, potrząsając głową.

- Idź spać, Sandrio - powiedział. — Ani dla mnie, ani dla ciebie nie wynikłoby z tego nic dobrego. Mam i tak zbyt wiele grzechów na sumieniu.

Budząc się nazajutrz rano w porośniętej chwastami kryjówce, Richie wydał długie, bolesne westchnienie. Po spędzeniu kolejnej nocy wśród komarów i innych insektów zjadł na śniadanie resztkę przywiezionych na wyspę prowiantów. Był kompletnie otumaniony upałem, nudą i beznadziejnością swych poczynań.

Trzeba będzie się poddać. Wyznać ojcu, że niczego się nie dowiedział, nie zdołał nawet przeszukać domu Garretta. Ale stary się ucieszy!

Wyprostował się na widok Huntera, który pojawił się właśnie na ganku, niosąc wędkę i resztę rybackiego ekwipunku.

Wspaniale! Będzie kolejny dzień wpatrywać się w faceta, czekającego na swoją wielką rybę. Co za koszmarny gość! Jeżeli można sobie wyobrazić coś nudniejszego niż łowienie ryb na bezrybiu, to chyba tylko obserwowanie, jak ktoś inny moczy wędkę, na którą żadna ryba nie chce się złapać.

Ale ku zdumieniu Richie'ego za Garrettem wyszła z domku Sandria Sutton, odziana w tyleż elegancki, co skąpy biały plażowy kostium, eksponujący jej zachwycające nogi w całej ich, hm... rozciągłości. A co dziwniejsze, ona i Garrett nie tylko uśmiechali się do siebie, ale ruszyli razem w kierunku oddalonej ód domu na palach laguny.

Richie wstrzymał oddech, kiedy mijali kępę karłowatych palm, stanowiących jego kryjówkę. Trząśł się wprost z emocji. Nareszcie! Po tylu godzinach, ba! - dniach nieznośnego śledzenia upartej pary trafiła się nareszcie okazja wykonania misji, która go tu sprowadziła.

Odczekawszy na wszelki wypadek kilka wlokących się w nieskończoność minut, Richie rozprostował zdrętwiałe z braku ruchu nogi i puścił się pędem do domu, przeskakując po dwa stopnie naraz. Jedyną niepewność, czy przypadkiem nie zamknęli drzwi na klucz, rozwiała się, kiedy klamka ustąpiła pod naciskiem jego ręki.

Sandria leżała na brzuchu na plażowym ręczniku i przypatrywała się siedzącemu z wędką na brzegu Hunterowi.

Łowienie ryb nie było jej pasją, niemniej musiała przyznać, że Hunter jest wyjątkowo przystojnym wędkarzem. Opromieniona słońcem grzywa jasnych włosów i wspaniała, pogłębiająca się z każdym dniem opalenizna upodabniały go do filmowego gwiazdora. Brodził właśnie po kolana w wodzie, której szmaragdowe bryzgi omiatały jego muskularne uda. Szkoda, że nie zdjął, trykotowej koszulki, pomyślała leniwie. Chętnie by się upewniła, czy ma równie wspaniałą klatkę piersiową.

Nadal czuła rozkoszne zaskoczenie, jakie sprawił jej dziś rano propozycją wspólnej wyprawy na plażę. Czekał, aż się obudzi, a kiedy spytał, czy chce mu towarzyszyć, była zbyt zdumiona, żeby się zastanawiać, co go do tego skłoniło. Po prostu porwała podręczną torbę i bez protestu, zgodziła się włożyć jeden z leżących w szufladzie kostiumów kąpielowych.

Ponownie zarzucił wędkę.

Dlaczego zabrał ją z sobą? Dla towarzystwa? Czy też zdecydował się skapitulować i udzielić wywiadu?

A może miał nieczyste sumienie po wczorajszym pocałunku?

Nagły plusk przerwał jej rozmyślenia. Osłoniła ręką oczy przed słońcem. Hunter coś złowił. Mała, srebrzysta ryba zatrzepotała raz Czy drugi ogonem i poddała się bez oporu swemu losowi. Hunter podniósł rękę, pokazując zdobycz z uśmiechem, który przywołał jej na myśl zdjęcie małego Eryka w podobnym geście. Wyraziła Hunterowi uznanie.

- Ja mam już obiad - zawołał z triumfem w głosie.

- Muszę jeszcze złowić coś dla ciebie.

- A nie mógłbyś wyłowić porcji zielonej sałaty z serowym sosem? Może z dodatkiem grzanek?

- Jeśli się nie przesłyszałem, twierdziłaś, że lubisz ryby.

Skrzywiła się ostentacyjnie, patrząc, jak nawleka nieszczęsną zdobycz na żyłkę.

- Tylko pamiętaj, że sam będziesz je oprawiał! - zawołała.

Roześmiał się, nasadzając na haczyk następną przynętę.

Sandria z westchnieniem otworzyła notatnik, zabierając się do pisania. Jeżeli wczoraj obudziła w tym człowieku jakieś uczucia, najwyraźniej zdążył już o nich zapomnieć.

Ktoś trzymał ją za ramię i delikatnie nią potrząsał.

- Sandrio! Przewróć się na drugi bok, bo znowu się spalisz!

Stęknęła i zamrugała powiekami. Wykręciła głowę i mrużąc oczy, ujrzała na tle słońca obrysowaną oślepiającym światłem sylwetkę Huntera. Miała wrażenie, że w półśnie, tuż przed

przebudzeniem, czuła na policzku muśnięcie czyichś palców, ale mogło to być złudzenie.

- Czy coś się stało? - wymamrotała.

- Chyba uśpiło cię patrzenie, jak łowię ryby. Odłożywszy wędkę, usiadł obok niej po turecku na ręczniku. Podniosła się szybko, poprawiając ramiączka obcisłego, jednoczęściowego kostiumu.

Chociaż Hunter twierdził, że odwiedzający go na wyspie goście często zostawiają przez zapomnienie różne części garderoby, Sandria nie mogła opędzić się od podejrzenia, że biały kostium należał kiedyś do Julii Garrett. Miał w sobie wyrafinowaną prostotę, która pięknej Skandynawce w rodzaju Julii musiała znakomicie dodawać uroku. Kostium uświadamiał Sandrii, jak bardzo jest do niej niepodobna. Na dodatek był głęboko wycięty na piersi i biodrach. Czuła się w nim nieprzyzwoicie obnażona. Pełnym skrepowania ruchem podciągnęła więc kolana, oplotła je ramionami i oparła na nich podbródek.

- Wstydzisz się mnie? - zapytał.

Spojrzała mu w oczy. Czy naprawdę wszystko można z niej wyczytać?

- Nie, dlaczego? - zaprzeczyła.

- To widocznie kwestia twojego jankeskiego wychowania.

- Co masz na myśli? Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- No bo jeśli nie mnie, to widocznie wstydzisz się kostiumu.

Czujesz się w nim nieswojo.

Dotknięta do żywego, szybko się wyprostowała. Jedno ramiączko opadło i w pierwszym odruchu chciała je poprawić, ale się powstrzymała.

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak. Czy dlatego nie nauczyłaś się pływać? Bo wstydzisz się chodzić w kostiumie?

Omawianie z Hunterem spraw jej ciała nie było Sandrii w smak, spróbowała więc skierować rozmowę na inne tory.

- Nie, nie dlatego. Po prostu, kiedy miałam pięć lat, ojciec wrzucił mnie do basenu na głęboką wodę i kazał pływać o własnych siłach.

- Chyba żartujesz? - odparł z nagłą powagą. Rozejrzała się po lagunie, dając sobie czas na przygotowanie odpowiedzi.

- Moi rodzice, kiedy byliśmy mali, nie mieli dla nas cierpliwości ani czasu i nie lubili się nad nami roztkliwiać. Nauczyłam się pływać, ale nie jest to dla mnie przyjemność.

- Dla dziecka to musiało być ciężkie przeżycie, nie sądzisz?

Wierciła się niepewnie na ręczniku. Powinna była od dawna pogodzić się z faktem, że należy do rodziny nie pobłażającej ludzkim słabostkom.

- Prowadzili niespokojne, pełne niezwykłych przygód życie - mówiła z namysłem. - Moi starsi bracia poszli w ich ślady. Ani matka, ani ojciec nie mieli ochoty rozpieszczać najmłodszego dziecka tylko dlatego, że było dziewczynką. Wiedziałam od wczesnego dzieciństwa,

że z przynależnością do rodziny Suttonów wiążą się szczególne obowiązki.

Zgarnął w dłoń garść piasku i teraz przyglądał się, jak przesypuje mu się przez palce.

- Spodziewali się, że zostaniesz dziennikarką?

Spodziewali się? Zaśmiała się w duchu. Dziennikarski zawód miała niejako zapisany w metryce urodzenia.

— W mojej rodzinie wszyscy od pokoleń zajmowali się dziennikarstwem. Jestem córką Williama Suttona.

- William Sutton to twój ojciec? Ten bostoński wydawca?

- Tak.

Gwizdnął cicho i pokręcił głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego doprowadzasz mnie do szału, byle zdobyć wywiad. Nie możesz wrócić z pustymi rękami, bo mama z tatą oraz ci dwaj szakale, twoi braciszkuje, zjedliby cię na surowo bez soli.

- Nie robię tego dla nich - wtrąciła szybko.

Czy lata starań, aby im dorównać, kazały jej teraz podkreślić gorliwie własną niezależność? Hunter nie spuszczał z niej oczu.

Zwilżyła wargi i z pozornym spokojem ciągnęła:

- Początkowo na wywiadzie zależało głównie mojemu szefowi z Miami, ale teraz mnie również na nim zależy.

- Dlaczego?

Czy może mu powiedzieć wprost, że jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała? Że jadąc tu sądziła, iż

będzie miała do czynienia z narwanym maniakiem, w pełni zasługującym na opinię, jaką wyrobiła mu prasa, a tymczasem zastała niezwykle atrakcyjnego* tajemniczego samotnika, noszącego w sercu nie zagojone rany po stracie najbliższych? Nie. O tym wszystkim musi zamilczeć.

- Chyba pociąga mnie wyzwanie - oświadczyła w końcu wymijająco.

- Czyżby? - zapytał, krzywiąc się, jakby nie bardzo wierzył w szczerść odpowiedzi. - No to jestem do usług. Odpowiem na trzy spośród tysiąca pytań, które nie dają ci spać po nocach, odkąd tu przyjechałaś.

- A jakiego to nadludzkiego wyczynu oczekujesz ode mnie w zamian? - spytała sceptycznie.

- Żebyś pozwoliła udzielić sobie lekcji pływania.

- Kiedy ja umiem pływać. Już ci mówiłam.

- Nie tak się postępuje z dziećmi. Chciałbym, żebyś się nauczyła pływać dla przyjemności.

Propozycja była kusząca, tylko czy szczerza? A jeśli nawet, czy stać ją na takie poświęcenie? Popatrzyła na turkusową wodę zatoki, której powierzchni prawie nie mąciły fale. Wyobraziła sobie, jak Hunter prowadzi ją na głębiny, a ona traci grunt pod nogami. Poczowała nieprzyjemne mrowienie. - Nie.

- Zrozum, Sandrio, nie możesz do końca życia unikać wody.

- Dlaczego nie? Jakoś do tej pory...

- Trzy pytania. Wybór należy do ciebie.

- To okrutne zastawiać na mnie taką pułapkę.

- Daję ci okazję, na którą czekałaś. Jeśli dobrze sformułujesz pytania, będziesz miała dość materiału do napisania artykułu. -

Zamilkł, czekając, aż propozycja dotrze w pełni do jej świadomości. -

No więc?

- Nie zgadzam się.

- To najlepsza oferta, na jaką możesz liczyć.

- Zrozum, nie potrafię...

Nie kończąc zdania odwróciła głowę, zawstydzona tym, że nie umie ukryć trawiącego ją lęku

Chwilę później poczuła na ramieniu chłodny dotyk jego dłoni. Podniosła ku niemu twarz. Patrzyła, nie protestując, jak Hunter z całą uwagą podciąga, a następnie układa na miejscu zwisające ramiączko jej kostiumu.

- Zapewniam, że nic ci nie grozi - tłumaczył łagodnie. - Czy wiesz, że w czasie studiów zarabiałem na życie jako ratownik w jednym z pobliskich kurortów? Założę się, że w twoich notatkach nie ma o tym słowa.

Nie przestawał delikatnie gładzić jej ramienia. Powolny, uspokajający dotyk miał w sobie coś hipnotycznego. Usta Huntera rozchyliły się w uśmiechu, zdolnym stopić serce najoporniejszej kobiety, a oczy, w źrenicach których igrały jasne promienie słońca, przypominały dwa skrzące się błękitem brylanty. Zaufaj nam, mówiły i Sandria czuła, że lada moment ulegnie ich pokusie.

- Nie jest to informacja szczególnie dla mnie użyteczna.

- No jasne, pani reporter potrzebuje bardziej sensacyjnych wiadomości! - orzekł i westchnął głęboko, opuszczając rękę.

Schwycił kraj trykotowej koszulki i ściągnął ją przez głowę. Siedzieli teraz twarzą w twarz.

- Więc może to cię zainteresuje? - zapytał cicho: W pierwszej chwili pomyślała, że chodzi o jego klatkę piersiową, która rzeczywiście wyglądała wspaniale. Opalona, znakomicie umięśniona, pokryta ciemnym, kędzierzawym zarostem, schodzącym równymi skrętami w dół do pasa i niżej, w głąb kąpielówek. Och tak, wyobraźnia jej nie zawiodła, górna część jego ciała była istotnie bez zarzutu.

Potem jednak zdała sobie sprawę, że nie wszystko jest w porządku. Na lewej piersi, spod porastającego skórę meszku przeziarała długa, biegnąca łukiem szrama, która poprzednio uszła jej uwagi. Różowa, odcinająca się wyraźnie od opalonej na brąz skóry kreska zaczynała się niemal dokładnie nad sercem. Przerazająco długa blizna musiała być skutkiem operacji chirurgicznej, gdyż po obu stronach widniały drobne, podobne do koralików ślady szwów.

- To pamiątka z czasów walki o ochronę środowiska - wyjaśnił beznamiętnie, przesuając palcami po wypukłej bliznie.

- Jak to się stało? - spytała, nie mogąc oderwać oczu od długiej szramy.

- Możesz to uznać za jedno z trzech pytań. Znow próbował ją skusić. Patrzył uparcie, dając jej do zrozumienia, że tylko na jego warunkach dowie się o pochodzeniu blizny. Ale i coś więcej, a

mianowicie, iż gotów jest pójść na ustępstwa, podzielić się częścią swojej historii, do której tak zażarcie bronił jej dotychczas dostępu.

- Nic nie skłamię - ciągnął, mierząc ją uważnym wzrokiem - ani nie będę się wykręcał. Powierzę ci moją przeszłość. Ty w zamian powierzysz mi swoją przyszłość.

Ponownie rozejrzała się po powierzchni morza. Zadawniony lęk jakby stopniowo ustępował. Mając przy sobie Huntera, czego właściwie miałyby się bać? Jednakże niewygasłe węgielki podejrzliwości nie pozwalały o sobie zapomnieć. W końcu ten sam człowiek zostawił ją podstępem na bezludnej wysepce. Spojrzała na niego spod oka.

- Skąd ta nagła pojednawczość? Nie dalej jak wczoraj groziłeś mi wypędzeniem na noc do łodzi.

- Może pokonałaś we mnie wolę oporu - odparł z uśmiechem.

- Daj spokój - rzuciła niecierpliwie. - Nie kpij ze mnie.

- Przepraszam. - Popatrzył przelotnie na jej notatnik, ale zaraz znów spojrzał jej w oczy. - Może i mnie pociąga nieznane wyzwanie? Może chciałbym się dowiedzieć, kim jest naprawdę Aleksandria Sutton?

- Co masz na myśli?

- Powiedzmy, że jako kobieta obudziłaś we mnie pewną sympatię - odparł, lekko wzruszając ramionami - i jestem gotów zapomnieć o twoim niefortunnym wyborze zawodu.

Wolałaby mieć trochę czasu na przemyślenie jego słów, ale Hunter poderwał się już na nogi i stając nad nią z wyciągniętą ręką, zapytał:

- No więc jak, umowa stoi?

Sandria z trudem przełknęła ślinę, modląc się w duchu o zmiłowanie. Może robi błąd, ale to chyba jedyna szansa. Czując, jak żołądek podchodzi jej ze strachu do gardła, podała mu rękę i pozwoliła poderwać się z ręcznika.

Zaprowadził ją na brzeg plaży i oboje, nadal trzymając się za ręce, weszli w morze.

- A teraz usiądź - polecił jej, zatrzymując się w miejscu, gdzie woda sięgała im do kolan.

Chętnie się zgodziła- czując, jak niepewnie trzyma się na nogach. W tej pozycji Woda sięgała jej zaledwie do pasa, a fale uderzały na tyle lekko, iż mogło się niemal zdawać, że wypoczywa we własnej wannie.

- Prawda, że to nic straszego? - upewnił się Hunter.

Kiwnęła głową. Miała zbyt ściśnięte gardło, by powiedzieć bodaj słowo. Hunter siadł obok i zabawiał ją rozmową - o temperaturze wody w zatoce, o muszelkach, które wyciągał z dna i dawał jej do obejrzenia, o godowych nawoływaniach czapli, które obsiadły akurat pobliskie drzewa. Co jakiś czas opryskiwał wodą swoje albo jej piersi i ramiona.

Po jakimś kwadransie skłonił ją do zanurzenia głowy. Uspokajał ją i dodawał odwagi w trakcie tej operacji, zachęcając do oswojenia

się z bezpośrednim kontaktem z wodą zalewającą jej twarz. Czuła się głupio, ale posłusznie wykonywała jego polecenia, pamiętając o obiecanej nagrodzie w postaci odpowiedzi na trzy pytania.

- To był pierwszy etap: przyzwyczajenie się do trzymania głowy pod wodą - oświadczył Hunter, uśmiechając się z zadowoleniem. - A teraz przejdziemy do...

- Chwileczkę - przerwała. Wcale nie zapomniała, w jakim celu przystała na te pływackie wygłupy; -

Chciałabym wiedzieć, kiedy będę mogła zadać trzy pytania.

- Kiedy z tobą skończę.

- To brzmi złowieszczo.

Chwyił ją za rękę i pociągnął na głębszą wodę.

- Musisz mi zaufać.

Jego odpowiedź bynajmniej Sandrii nie uspokoiła.

Hunter prowadził ją w morze tak długo, aż wreszcie lekko sfalowana powierzchnia wody sięgnęła Sandrii prawie do piersi. Pod stopami czuła nadal dodające otuchy piaszczyste dno, ale po plecach biegały jej zimne ciarki. Trzymała Huntera za ręce i choć starała się zbytnio ich nie ścisnąć, by nie pokazać, jak bardzo się boi, nieposłuszne palce robiły, co chciały.

- Wszystko w porządku - uspokajał Hunter. - Jestem przy tobie i pilnuję, żeby nic ci się nie stało. Masz przecież grunt pod nogami, prawda? Naprawdę nie ma się czego bać.

- Wcale się nie boję - skłamała, daremnie próbując przywołać uśmiech, z którego wyszedł tylko sztuczny grymas.

- To świetnie - pochwalił z wyrozumiałym uśmiechem.

- Mama ze mnie kłamczucha.

- Wiem - odparł czule.

- I co teraz?

- Musisz podskoczyć.

- Co takiego?

- Skacz. Jak najwyżej. I nie bój się, przez cały czas trzymam cię za ręce. Zresztą, możesz w każdej chwili stanąć na nogi. Ale staraj się jak najdłużej utrzymać na wodzie, a nogi prostuj dopiero w ostateczności.

Po chwili wahania zabrała się do wykonywania jego instrukcji, choć nie była wcale pewna, czy te głupie podskoki mają cokolwiek

wspólnego z pływaniem. Przy każdym skoku wzburzona woda tworzyła wokół nich rodzaj małego tajfunu. Ciekawe, myślała, czy wyglądam równie głupio, jak się czuję. Hunter obserwował jej wysiłki z coraz bardziej zadowoloną miną.

- Naprawdę uważasz, że to coś daje? - spytała, wylaniając się kolejny raz z wody.

- Nie masz do mnie zaufania?

- Ani trochę. I bardzo cię proszę, żebyś przestał robić miny!

- Nic na to nie poradzę. Co za widoki! Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć.

- No wiesz! - oburzyła się.

Popatrzyła na siebie, idąc za jego spojrzeniem, i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że nader skąpy, przylegający do ciała kostium stał się w wodzie niemal zupełnie przezroczysty. Rumieniec wstydu przyciemnił zaczerwienione od słońca policzki Sandrii.

- Ty świntuchu! Mogłam się domyślić, że to tylko kolejna sztuczka, żeby...

- Ależ nie, przysięgam! - bronił się ze śmiechem. Zrobiła kilka kroków w tył, zmierzyła go surowym spojrzeniem i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Pytanie numer jeden...

- A teraz etap trzeci - podjął, puszczając jej słowa mimo uszu. - Chwyć się obiema rękami mojego ramienia - poleciał, wyciągając rękę.

Sandria przypatrywała mu się z coraz większą podejrzliwością. A jeśli tylko się z nią bawi i wcale nie ma zamiaru udzielić obiecanych odpowiedzi?

Podejrzanie to musiało się odmalować na jej twarzy, bo Hunter z tłumionym śmiechem potrząsnął energicznie głową.

- Nie bój się, nie mam zwyczaju łamać danego słowa - zapewnił.
- Odpowiem na trzy pytania, ale po spełnieniu moich warunków. - To mówiąc, zatoczył ręką w wodzie szerokie koło, tworząc między nimi niewielką falę.

- Chwyć się mojego ramienia obiema rękami - mówił dalej - i połóż na wodzie. Będę cię wolno ciągnął. Staraj się trzymać głowę pod wodą, ale się nie uduś. Kiedy zabraknie ci powietrza, dotknij mnie palcem i natychmiast przestanę. Tylko nie podnoś głowy, bo woda dostanie ci się do nosa. Zgoda?

O nie. Pewnie, że zależy jej na obiecanych trzech pytaniach, ale czy musi za nie płacić aż taką cenę? Czy Rio albo Mel ulegliby podobnemu szantażowi? No tak, ale obaj jej bracia pływają jak ryby.

Nie myśl ó tym, że jesteś w wodzie, upomniała się w duchu. Zerknęła na pokryte ciemnym zarostem, usiane kropelkami wody ramię Huntera. Cóż prostszego, jak poddać się urokowi jego fizycznej obecności, zapominając o całej reszcie? Niestety, w tej samej chwili woda gwałtownie zafalowała i zimny strach ścisnął ją za gardło. Naprawdę zachowuje się jak idiotka. Nie dalej jak parę minut temu uległa jego kaprysom i wykonywała bez wahania idiotyczne skoki, byle uzyskać obiecany wywiad.

Dobrze, dobrze, ale wtedy nie próbował wciągnąć jej na głębiny ani nie kazał trzymać głowy pod wodą.

Nie. Nie może. To ponad jej siły.

Cofnęła się o krok i wbiła stopy w piaszczyste dno, jakby szukała w nim pewnego oparcia.

- Hunter, ja...

Nie mógł nie zauważyć ogarniającej ją na powrót fali strachu.

- Będę cię ubezpieczał - powiedział, robiąc krok w jej stronę. - Zobaczysz, że to nic strasznego.

- Hunter, proszę cię, nie mogę - wyjąkała, bezradnie potrząsając głową. Cała jej odwaga nagle prysła i świat zawirował przed oczami. Serce biło coraz mocniej. Czowała, że przestaje panować nad panicznymi odruchami swego ciała.

- Właśnie, że możesz. Zobaczysz, pomogę ci - próbował ją przekonać. Wydawał się bardzo przejęty i zatroskany. Miał na pewno jak najlepsze intencje, ale czy nie widział, co się z nią dzieje?

- Nie. Nic nie rozumiesz.

Czowała, że zrobi za chwilę coś głupiego i dziecinnego, Trzęsła się i z trudem chwytła oddech. Dłużej tego nie wytrzyma; ani chwili. Musi się stąd wydostać, poczuć pod stopami twarde, chrzęszczący piasek, znaleźć się z powrotem na brzegu, skąd morze wygląda jedynie jak ładna, kolorowa pocztówka.

Zrobiła na oślep krok w tył, potknęła się o własną nogę, straciła równowagę i poszła pod wodę. W panice, jaka ją ogarnęła, otworzyła szeroko usta i woda dostała się jej do gardła, odbierając oddech i

boleśnie rozpierając płuca. Gdy tak szamotała się, usiłując stanąć na nogi, zdała sobie resztką świadomości sprawę, że ręka Huntera chwyta ją w pól i wyciąga na powierzchnię.

Prowadził ją, wstrząsaną spazmatycznym kaszlem, ku plaży i chociaż wiedziała, że nie ma się czego bać, że niebezpieczeństwo minęło, to jednak, ku własnemu zażenowaniu, odruchowo chwyciła się swego wybawcy rękami i nogami jak mała małpka uczepiona pleców swojej matki.

W pewnym momencie poczuła, że Hunter bierze ją w ramiona i, siadając w płytkiej wodzie tuż przy brzegu, układa na swoich kolanach. Biedna Sandria trzęsła się z wrażenia i wstydu. Hunter odgarnął jej z twarzy mokre włosy.

- Uspokój się, już po wszystkim. Nic ci nie grozi - przemawiał łagodnie.

Otworzyła oczy. Pochylał się nad nią tak blisko, że widziała osiadłe na jego rzęsach kropelki wody. Patrzył na nią przepraszająco, błędząc delikatnie palcami po jej policzku.

- Twoi rodzice postąpili najgłupiej jak tylko można, wrzucając cię w dzieciństwie do basenu - oświadczył ze złością.

Poczuła nagły wstyd i obrzydzenie do samej siebie. To nie wina rodziców. To ona zawiodła pokładane w niej nadzieje. Stworzyli jej nieograniczone możliwości. Niestety, pod tyloma względami nie umiała sprostać oczekiwaniom.

- Dobrze się czujesz? - zapytał czule.

Kiwnęła głową, uświadamiając- sobie, że Hunter trzyma jej twarz w dłoniach i poczuła w sercu miłe zadowolenie.

- Przepraszam. Uważasz mnie pewnie za skończoną idiotkę.

- Wcale nie. To raczej ja wyszedłem na idiotę.

Patrzyła mu w oczy, starając się wytrzymać jego intensywne, błędzące po jej twarzy spojrzenie. Nie potrafiła wymówić słowa. Jej ciało przeszła fala fizycznego pożądania, budząc do życia utajone pragnienia. Oddychała coraz gwałtowniej, jak podczas szybkiego biegu.

- Sandrio...

A więc czuł to samo co ona. Głęboki głos Huntera brzmiał w jej uszach jak cudowny narkotyk, a ich ciała były tak blisko siebie, że przy najlżejszym ruchu dotyk jego pokrytej zarostem klatki, piersiowej wprawiał wszystkie jej nerwy w gorączkowe drżenie. Znow podniosła oczy, pełne nie tyle pożądania, co niejasnej, dla niej samej niezrozumiałej tęsknoty.

Czuła na sobie jego gorące spojrzenie; płaWiła Się w nim. Co się stanie w chwili nagłego zbliżenia, domagającej się czegoś więcej?

- Tak bardzo pragnę cię pocałować, Sandrio - wyszeptał. - Pragnę tego, choć wiem, że mi nie wolno. Nie umiem ci wytłumaczyć, co się ze mną dzieje.

Sandria lekko otrzeźwiała. Może Hunter słusznie ją ostrzega. Nie pierwszy to raz jego bliskość pozbawia ją rozsądku. Musi się bronić. Nie powinna ulegać czysto fizycznemu pożądaniu, upomniała

się surowo. Cóż, kiedy ciało mówiło coś przeciwnego, przypominając, jak cudownie jest w jego ramionach.

- Za późno... - szepnął Hunter, niemal dotykając jej ust. - Nic na to nie poradzę, ani ty..

Ciepło warg muskających jej usta, badających i zapamiętujących ich kontury i kształt. Zapominając o bożym świecie, Sandria oddała się całkowicie rozkoszy, smakującej wodą morską i słońcem.

I nagle cud się skończył. Hunter wyprostował się. Zaskoczona i zarumieniona, z trudem chwytając oddech, patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Dlaczego?- spytała bez zażenowania.

Jego twarz przybrała tymczasem dobrze jej znany, ironiczny wyraz.

- Czy mam to potraktować jako pierwsze pytanie? - spytał.

Poprzednie uniesienie momentalnie się rozplynęło. Czyżby umizgami próbował wykręcić się z obietnicy? Zawstydziała się, że tak głupio i naiwnie dała się podejść.

Usiadła sztywno na piasku, odchrząknęła i przybrała neutralny ton głosu.

— Pytanie pierwsze. W pewnym okresie prowadziłeś z Isaacsonem wspólne badania. W trakcie procesu świadczył na twoją korzyść. Czy istnieje związek między jego śmiercią, której przyczyny policja uważa za podejrzaną, a wysuwanyymi przez ciebie wówczas oskarżeniami?

Hunter siedział obok niej, opryskując się wodą. Była dotknięta łątwością, z jaką po chwilowym uniesieniu przeszedł do rzeczy.

- Bardzo możliwe.

- Obiecałeś, że nie będziesz dawał wymijających odpowiedzi.

- Pani reporter chwyta mnie za słowo? - zapytał kpiąco. - Widzę, że muszę się mieć na baczności. - Jednakże po krótkim milczeniu dodał rzeczowo: - Ostatni raz rozmawiałem z Isaacsonem przeszło rok temu. O tym, że zamierza wnieść sprawę do sądu, dowiedziałem się z transmitowanej w wiadomościach telewizyjnych konferencji prasowej. Nie wiem, jak nazywają się dwie firmy, które chciał zaskarżyć.

- Ale masz pewne podejrzenia?

- Czy mam to uznać za następne pytanie?

- Nie, to pytanie pomocnicze do kwestii numer jeden.

- Niedługo przed śmiercią widziano Isaacsona w biurze zarządu firmy Cavanaugha.

- To dość nikła poszlaka - mruknęła Sandria do siebie i po krótkim zastanowieniu rzekła: - Przyjmując, że Isaacsonowi chodziło między innymi o laboratorium Cavanaugha, i wykluczając możliwość samobójstwa, kto twoim zdaniem mógł dopuścić się zabójstwa?

Charles Cavanaugh?

- To człowiek bez skrupułów. Ale jest za sprytny, żeby tak długo zwlekać.

Sandria znów się wyprostowała i woda wokół niej lekko zafalowała.

- Skąd wiesz u wizycie Isaacsua w biurze firmy
Cavanaugha?

Spojrzał na nią spod oka, jakby się zastanawiał, czy udzielić jej
odpowiedzi.

- Od Kena Braddoecka, zięcia Charliego Cavanaugha, który jest
wiceprezesem firmy - odparł po chwili.

- Co go do ciebie sprowadziło?

- Z tym pytaniem powinnaś zwrócić się do niego.

- Coś wiesz, prawda? - powiedziała szybko, starając się ukryć
podniecenie. - Coś przede mną ukrywasz?

- Przykro mi, pani redaktor - odparł z nieprzeniknionym
wyrazem twarzy - ale wyczerpała pani swoje. trzy pytania. Pływania
też mamy na dzisiaj dosyć! Pora wracać.

Chciała zaproponować, ale Hunter był już na plaży i zbierał
pozostawione tam rzeczy. Nie oglądając się, ruszył wysypną
muszelkami ścieżką w kierunku domu. Zawiedzionej w swych świeżo
obudzonych nadziejach Sandrii nie pozostało nic innego, jak pójść za
nim.

Dopiero później, zmywając z siebie pod prysznicem osad
morskiej wody, uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać o jego
bliznę.

Sandria po raz kolejny przewróciła się na łóżku, by spojrzeć na
dziecinny budzik w kształcie Myszki Miki. Piętnaście po piątej.
Ostatni raz sprawdzała czas o czwartej. Do świtu jeszcze dwie
godziny. Najprzykrzejsza pora dnia.

- Cały świat słodko śpi; nie śpią tylko ptaki, wesołe panienki i ty
- mruknęła w poduszkę, przypominając sobie głupi szkolny wierszyk.

A nie może spać, bo w swojej naiwności nie potrafi zapomnieć o głupim, nic nie znaczącym pocałunku.

Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Każdy przedmiot w tym pokoju, nawet ozdobione podobiznami komiksowych bohaterów zasłony, przywoływał wspomnienie zmarłego dziecka. Ustawione rzędem na komodzie miniaturowe samochodziki, połyskujące na ścianach plakaty z wizerunkami gwiazd rocka, kołyszący się pod sufitem w podmuchach wentylatora mobil przedstawiający planety. Typowe atrybuty chłopięcego pokoju.

Dlaczego Hunter nie pochował zabawek syna? Z braku czasu czy ochoty? A może celowo zmienił pokój w kapliczkę jego pamięci?

Wciągnęła powietrze w płuca, broniąc się przed ogarniającym ją smutkiem. Czy odpowiedź na powyższe pytania pozwoliłaby jej zrozumieć, dlaczego Hunter, gwałcąc własne pragnienia, uparcie ją odpycha? Zresztą, nie ma to już znaczenia.

Już nie, postanowiła bowiem wyjechać. Musi wyjechać, chociaż dobrze wie, że na podstawie uzyskanych informacji nie może marzyć o napisaniu sensownego artykułu. Są jednak granice, których nie wolno przekraczać. W którymś momencie uczucia wzięły w niej górę nad rozsądkiem. Przestała myśleć obiektywnie, zaczęła ulegać bezwiednym odruchom. Jeśli dłużej tu zostanie, jej stosunki z Hunterem mogą się potoczyć w niepożądanym kierunku, a ona straci resztę kontroli nad sobą i swoją sytuacją.

Od wielu godzin układała sobie w głowie, co powie Ernie'emu po powrocie do Miami, jak się przed nim wytłumaczy. Pomyślała z żalem, że jej bracia w podobnej sytuacji wykręciliby się sianem. Przygotowywane wyjaśnienia jej samej wydawały się nieprzekonujące, wręcz dziecinne. Nic na to nie poradzi. Już i tak w sposób trudny do zniesienia obnażyła swoją słabość.

Wyszła z pokoju, minęła na palcach sypialnię Huntera i po omacku weszła do bawialni. Wpadające przez nie osłonięte okna blade światło pozwoliło jej dotrzeć do biurka. Obmacawszy spód blatu, natrafiła na mikrofon radiotelefonu, tkwiący nadal w miejscu, gdzie parę dni temu przymocowała go solidnie za pomocą znalezionej w jednej z kuchennych szuflad taśmy izolacyjnej.

Odczepiając mikrofon, przypomniała sobie, jak była Wówczas zadowolona z pomysłu ukrycia go w zasięgu ręki Huntera. Niestety, tak błyskotliwie rozpoczętą przygoda nie przyniosła spodziewanych efektów. Gorzej, doprowadziła Sandrię do stanu emocjonalnego rozkojarzenia, z którym nie potrafiła sobie poradzić, a nawet nie miała odwagi się zmierzyć.

Położyła mikrofon na środku kuchennego stołu, żeby Hunter musiał go zauważyć zaraz po wstaniu. Sens tego gestu będzie oczywisty. Nie musi zostawiać wyjaśniającego listu; zresztą sama nie wiedziała, co miałyby w nim napisać.

Czy odzyskawszy mikrofon od razu Zadzwońi po Rileya, żeby ją stąd zabrał?

Kiedy ponownie się obudziła, słońce stało wysoko na niebie, a w chacie panowała cisza. Sandria pospiesznie ubrała się w te same szorty i bluzkę, które miała na sobie, gdy Hunter porzucił ją na odludnej wyspie, a resztę rzeczy spakowała. Tłumiąc ziewnięcie, skierowała się do ogólnego pokoju. Musi być w każdej chwili gotowa do wyjazdu. Tego by tylko brakowało, żeby Hunter musiał ją ponaglać.

Stała w drzwiach zaskoczona widokiem Huntera, który siedział przy stole i coś majstrował.

- Dzień dobry - powiedział, witając ją pogodnym uśmiechem. - Myślałem, że masz zamiar przespać cały dzień.

Jeden rzut oka upewnił ją, że mikrofon zniknął ze stołu, a następny - że został zamontowany na swoje właściwe miejsce. Riley jest już pewnie w drodze, wioząc z sobą nowe przewody paliwowe. Serce lekko jej drgnęło na myśl, iż wkrótce znajdzie się z powrotem w hotelowym pokoju.

- Lubisz kraby? - rzucił, przerywając jej rozmyślenia.

Trochę nieprzytomnie kiwnęła głową, zdziwiona, dlaczego ani słowem nie skomentował pojawienia się mikrofonu.

- Sezon połowów już właściwie minął, ale pod kamieniami znajdzie się na pewno jeszcze parę sztuk. Łowiłaś kiedyś kraby?

Czyżby miał na myśli obiad? Ostatni wspólny posiłek przed odesłaniem jej na ląd? Zbita z tropu, odparła:

- Owszem, byłam raz z rodziną na polowaniu z podwodną kuszą. Obawiam się, że marny ze mnie strzelec.

- Gdybym zaczął do nich strzelać - roześmiał się Hunter - wkrótce w całej okolicy nie byłoby ani jednego kraba. Mam na myśli mniej brutalną metodę. Jak sądzisz, potrafisz się posługiwać czymś takim? - zapytał, pokazując jej zakończony metalowym okuciem drewniany pręt. - Trzeba mieć do tego dobre oko i trochę refleksu, ale to niezła zabawa.

Dlaczego ją dręczy? Dlaczego nie powie wprost, jak bardzo ucieszyło go pojawienie się mikrofonu? Co za wyrefinowane okrucieństwo trzymać ją w ten sposób w napięciu!

Miała ochotę rzucić mu w twarz: „Wygrałeś. Poddaję się. Możesz triumfować!”

Zaraz się rozplącę, pomyślała bezradnie i szybko uciekła wzrokiem w bok, żeby przypadkiem nie domyślił się, co się z nią dzieje. On jednak musiał coś wyczuć, bo wstał od stołu i podszedł do niej. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Nie może sobie pozwolić na ostateczne upokorzenie.

Zapanowało niezręczne, ciężkie milczenie. Hunter podniósł dłoń, jakby chciał pogłaskać ją po twarzy. Szybko się uchyliła. Czowała, że jeśli jej dotknie, na pewno nie zdoła powstrzymać płaczu.

Zrozumiał chyba jej zmieszanie, bo wolno opuścił rękę i przez dłuższą chwilę uważnie się wpatrywał w jej twarz.

- Chodź, Sandrio, pójdziemy łapać kraby - powiedział na koniec.
- Moglibyśmy siedzieć tu przez cały dzień, analizując nasze skomplikowane uczucia, ale przyznam się, że w tej chwili nie czuję się na siłach...

- Hunter...

- Mikrofon jest tam, gdzie jest - rzucił szybko, zapalczywie, jakby się bał, że najdrobniejszy protest z jej strony przypieczętuje jego ostateczną kapitulację. - Błagam cię - dodał.

Kiwnęła bez przekonania głową, w której panował buntowniczy zamęt. Mam tego dosyć, myślała. Dzwon do tego cholernego Riley! Chcę się od ciebie uwolnić! Jednakże rozpaczliwe, tchórzliwe słowa uwięzły jej w gardle. Skoro Hunter nie spieszy się z wyrzucaniem jej z wyspy, a perspektywa pozostania z nim dziwnie miło przyspiesza bicie jej serca, to trudno, niech i tak będzie.

Hunter wiedział, że kolejny raz zaczyna igrać z ogniem. Ostatnimi czasy rozum najwyraźniej stał się jego słabą stroną.

Trzeba było natychmiast zadzwonić po Riley. Raz na zawsze położyć kres tej absurdalnej sytuacji. Kretyn by zrozumiał, że oddanie mikrofonu było w istocie ze strony Sandrii rozpaczliwym okrzykiem: „Uwolnij mnie od siebie!” A on to wołanie świadomie zignorował. Wbrew nakazom zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego, uległ nie kontrolowanym emocjom, wiedząc od początku, że robi straszliwe głupstwo.

Obserwował, jak Sandria brodzi ostrożnie w płytkiej, sięgającej zaledwie do kostek wodzie małej zatoki. Musiał ją długo namawiać, żeby spróbowała zanurzyć pręt w mętnej wodzie - była prawdziwym szczurem lądowym - ale w końcu pojęła, o co chodzi. Teraz z widocznym ubawieniem drażniła pochowane pod kamieniami kraby,

czekając, aż któryś z nich spróbuje odeprzeć atak, czepiając się patyka.

Wprawdzie wzbraniała się brać złowione skorupiaki do ręki, Oświadczając z wesołym uporem, że to jego robota, ale Hunter chętnie wziął na siebie ryzyko zapoznania się z ostrymi szczypcami. Podejrzewał, że zgodziłby się nawet włożyć rękę w ogień, byle wywołać na jej twarzy jeszcze jeden wesoły uśmiech.

- Mam go! - zawołała z triumfalnym uśmiechem, gdy kolejny skorupiak uczeplił się kija.

W cienistej zatoczce panował miły chłód. Przez gałęzie otaczających ją platanów sączyło się światło tropikalnego słońca, otulając twarz Sandrii lśniąca, ażurową woalką. W łagodnym półcieniu wydawała się rozbrajająco młodzieńcza, niemal dziecinna, beztroska i trochę bezbronna.

- Czego się gapisz? Chodź tu, zanim ucieknie - przywołała go do porządku z udaną surowością.

Chwyciwszy przyniesiony kubek, ruszył ku niej przez płyciznę. Przyciśnięte czubkiem patyka do mulistego dna stworzenie rozpaczliwie wymachiwało wolną parą szczypiec, szukając czegoś, na czym mogłoby wyrzeć zemstę.

— Uważaj! ostrzegła, a on znów uśmiechnął się w duchu.

Choćby nie wiedzieć ile razy powtarzał, że łowieniem krabów zajmował się od wczesnego dzieciństwa,

Sandria nie omieszkała przestrzec go za każdym razem, żeby uważał.

Zdjął z patyka dorodnego kraba i wyprostował się, trzymając w ręku ociekając wodą stworzenie. Drugą ręką sięgnął do jego szczypiec. Sandria skrzywiła się i z głośnym syknięciem zamknęła oczy.

- Jesteś pewien, że go nie boli, jak urywasz mu kleszcze? Na sam dźwięk robi mi się niedobrze.

- Odrosną - uspokoił ją kolejny raz. Zrobił zabawne odkrycie. Choć cieszyła się na myśl o uczcie z krabów i samo polowanie szczerze ją bawiło, to jednak nie mogła spokojnie patrzeć, jak Hunter odrywa zwierzakom kleszcze. - One nic nie czują, a do następnego sezonu wyrosną im nowe.

- Skąd wiesz, że on nic nie czuje?

- Powiedz, Charlie, prawda, że to nie boli? - zwrócił się do kraba, potrząsając nim na znak potakiwania. - Pani chciałaby to usłyszeć bezpośrednio z twoich ust, Charlie - dodał, operując zręcznie biednym krabem jak kukielką.

- Słowo pani daję, nic a nic nie boli, Z największą radością oddam moje szczypce pani i panu Hunterowi, Po to się urodziłem - ciągnął Hunter cienkim głosem, udając kraba.

Roześmiała się tak beztrosko, że Hunterowi zrobiło się ciepło na sercu.

- A może powinieneś występować w cyrku? - zawołała do kraba, podejmując grę. - Mówiący skorupiak to w końcu...

- Wypraszam sobie kpiny z Charliego - zganił ją Hunter, udając oburzenie. - Auu !Ty sukin...

Daleki od zachwytu brzuchomówczymi popisami Huntera, krab dosięgnął właśnie swego prześladowcę, który gwałtownie potrząsnął ręką i skorupiak z głośnym pluskiem wylądował w wodzie.

- Uciał mnie, cholernik - poskarżył się Hunter.

- Pokaż - powiedziała zatroskanym tonem, lecz gdy pochyliła się nad jego ręką, zobaczył, że tłumi śmiech. W kącikach jej ust czaiło się przekorne rozbawienie.

- Ostatni raz coś podobnego zdarzyło mi się, kiedy miałem szesnaście lat - wyznał. - Ale jeszcze tego bydlaka dopadnę. Jego łapy pierwsze pójda do garnka.

- Dobrze ci tak. One bardzo nie lubią, żeby się z nich naśmiewać. Zresztą, jesteś słabym brzucho-mówcą. Widziałam, jak poruszałeś ustami.

- Każdy krab to urodzony malkontent.

- Lekkie zadraśnięcie. Myślę, że przeżyjesz - wydała pocieszającą diagnozę.

Nadal jednak z pochyloną głową wpatrywała się w jego rękę, wodząc palcem po otartym miejscu. Dotknięcie działało jak elektryczny Szok. Hunter poczuł biegnący wzdłuż ramienia dreszcz.

- Sandrio...

Nie bardzo wiedział, co chce powiedzieć. Nagle wszystkie kraby świata i drobne skaleczenia wyleciały mu z głowy. Czuł tylko pieszczotę jej rąk, która od trzech dni śniła mu się po nocach. Pragnął, by trwała wiecznie,

Ujął jej rękę, a ona spojrzała na niego zdziwiona i spłoszona. Przyniósł się bliżej i poczuł zapach jej nagrzanej słońcem skóry. Powinien coś powiedzieć; sprawiała wrażenie troszkę niepewnej, jakby wyczekującej. Niestety, nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Z trudem wywołał z pamięci pytanie, które od rana miał ochotę jej zadać:

- Sandrio, dlaczego oddałaś mikrofon? Zaczepiła się gwałtownie.

- A dlaczego nie zrobiłaś z niego użytku?

- Boję się, że ani ty, ani ja nie wiemy, czego naprawdę chcemy - powiedział, czując pod palcami bijący pod delikatną skórą jej nadgarstka puls.

- A czego ty chcesz, Hunter? - odparła z nutą rozpaczliwej nadziei w głosie, która wywołała na jego twarzy lekki uśmiech.

Czy Sandria nie rozumie, że jest wobec tego, co się z nimi dzieje, równie bezradny jak ona?

- Tego samego co ty, Sandrio - rzekł cicho. - Tego samego.

Był gotów chwycić ją w ramiona i całować. Prawdziwie i szczerze. Wszystkie dotychczasowe zastrzeżenia rozplynęły się jak mgła. Ale jego szczerą odpowiedź jeszcze bardziej wytrąciła Sandrię z równowagi. Zmarszczyła brwi i odsunęła się od niego.

- Daj spokój, Hunter, nie umiem prowadzić tego rodzaju... - Urwała nagle, krzywiąc się z bólu. - Auuu... - syknęła.

- Co się stało?

- Nastąpiłam na coś ostrego.

Namiętność ustąpiła miejsca trosce, gdy zobaczył, jak Sandria, unosząc jedną stopę, podpira się dla Utrzymania równowagi drewnianym prętem.

- Możesz mi pokazać? - spytał, a ona ostrożnie podniosła bosą stopę. Z boku nad piętą obficie sączyła się krew, spływając czerwonym zygzakiem na podbicie i barwiąc wodę zatoki. -

- Musiałaś rozciąć sobie skórę o brzeg pękniętej muszli. Chyba niezbyt głęboko, ale trzeba to opatrzyć.

Kiwnąwszy głową, pokuśtykała na brzeg, gdzie leżały jej torba i sandały. Chętnie by się dowiedział, czy była równie jak on rozczarowana nieoczekiwanym obrotem sytuacji. Bo choć współczuł jej z powodu doznanej przykrości, to jednak nadal myślał głównie o tym, jak jej oddech gwałtownie się przyspiesza, ilekroć ich ciała zbliżą się do siebie.

- Daj spokój - powiedział, widząc, jak usiłuje włożyć sandał na zranioną stopę. - Zostawisz za sobą krwawy ślad. - Klepnął się po plecach. - Wskakuj, pojedziesz do domu na barana.

- Nie dasz rady. Jestem za ciężka.

- Nie bój się! Poradzę sobie.

- Dziękuję, ale głupio bym się czuła - odparła, potrząsając głową, zostawiła jednak sandał w spokoju i podskakując na jednej nodze, ruszyła ku domowi z butami i torbą w ręku.

- To będzie trwało godzinę.

- Nie przesadzaj, jesteśmy blisko domu. Hunter zabrał kubełek z krabami i pręty i szybko ją dogonił.

- Wystarczy, nie upieraj się. Pozwól sobie pomóc.
- No dobrze - powiedziała tonem rozkapryszzonego dziecka.
- Masz ręcznik?
- Nie.

Wyciągnął ręcznik ze swojej torby i podał go Sandrii, a na miejsce ręcznika włożył jej sandały. Po paru nieudanych próbach udało mu się umieścić Sandrię na swoich plecach. Chwytał ją pod kolanami, ona zaś dla zachowania równowagi trzymała się jedną ręką tyłu jego trykotu. W drugiej ręku miała kubełek z krabami, pręty oraz obie ich torby. Mimo takiego obciążenia wydała mu się lekka jak piórko.

- Podnieś stopę - zakomenderował, a kiedy posłuchała, obwiązał ranę ręcznikiem. Sięgnął równocześnie drugą ręką do tyłu i podrzucił Sandrię wyżej na plecy. - W ten sposób - powiedział, zaciskając tymczasowy bandaż - powinno przestać krwawić, nim dotrzemy do domu.

Zdziwiony brakiem odpowiedzi, obejrzał się przez ramię, ale zobaczył tylko skrawek jedwabistego, opalonego ramienia.

- Wszystko w porządku? - upewnił się. - Uhm.
- Wygodnie ci?
- Idź wreszcie.

Już po paru krokach uświadomił sobie, co się dzieje. Miał naprawdę najlepsze intencje, kiedy proponował Sandrii, że zanieś ją na plecach do domu. Teraz jednak, czując bliskość jej ciała, zdał sobie sprawę z niebezpiecznych skutków swego pomysłu, nie mających nic

wspólnego z pielęgnowaniem rannych. Najdrobniejszy ruch wprawiał jego nerwy w nieopanowane drżenie, przypominając mu po raz nie wiadomo który, że wszystko, co zrobi w związku z Sandrią Sutton, okazuje się pułapką, w którą brnie z własnej woli.

Ona musiała przeżywać coś podobnego, bo była dziwnie milcząca i wyraźnie starała się ograniczyć do minimum fizyczny kontakt. Siedziała mu na plecach wyprężona do tyłu i nie przytuliła się nawet wtedy, gdy dla zachowania równowagi musiała zacisnąć na jego biodrach uda. Powinien się odezwać, cokolwiek powiedzieć, ale język odmawiał mu posłuszeństwa, w uszach szumiało, a krew coraz szybciej krążyła w. żyłach.

Niech to diabli, co za idiotyczna sytuacja!

- Przestań się kręcić - wycedził przez zaciśnięte zęby, byle coś powiedzieć.

- Wcale się nie kręcę.

- Nie wiem, co robisz, ale proszę, żebyś przestała. Wydawało się, że droga do chaty nigdy się nie skończy.

Kiedy Hunter układał Sandrię na kanapie, noga już nie krwawiła. Poradził jej, żeby się wyciągnęła, a stopę położyła na oparciu. Przyniósł z apteczki potrzebne przybory i zabrał się do opatrywania rany. Sandria przez cały czas uparcie milczała. Skaleczenie nie było ani tak poważne, ani tak bolesne, jak można by sądzić po malującym się na jej twarzy napięciu. Musiała się czuć równie niewyraźnie jak Hunter, i to bynajmniej nie z powodu lekkiego zadrażnienia.

Z przesadną troskliwością obmywał i opatrywał skaleczoną stopę. Nawet tak ograniczony kontakt sprawiał mu dziwną przyjemność. Szkoda, że za chwilę skończy i będzie się musiał od niej oderwać.

- Co pani sobie życzy: opatrunek miejscowy czy pełny bandaż? - zapytał, spoglądając na nią z drugiego końca kanapy.

- Co pan doktor każe - rzekła ze wzruszeniem ramion.

Starannie przykleił miejscowy opatrunek, potem zajął się usuwaniem z podbicia ziarenek piasku, a na koniec, jak gdyby niechcący, objął palcami delikatną kostkę.

- Nie boli?

- Mniej - odparła. - Znacznie mniej - dodała trochę zmienionym tonem. - Masz takie delikatne ręce.

Podziękował jej za komplement długim spojrzeniem, pełnym nie skrywanego pożądania.

Nawet się nie domyślasz, Sandrio, szepnął w myślach, jak bardzo potrafią być delikatne i czułe.

Opadła z powrotem na kanapę, ale nie uszło jego uwagi, iż kładąc się, wyciągnęła spod siebie jedną z poduszek i nie wiedząc czemu przycisnęła ją do piersi. Uśmiechnął się, widząc tę ostatnią, odruchową próbę obrony. I w tej samej chwili zrozumiał, że weźmie ją natychmiast, tu, na tej starej, wysłużonej kanapie. Będzie się z nią kochał powoli, namiętnie i czule, a myśl o świeżo obandażowanej stopie i przylegający do ich ciał słony zapach morza nadawały jego pożądaniu szczególnej intensywności.

Władczym ruchem zacisnął palce na jej kostce, na tyle mocno, by nie próbowała odwrócić głowy. Chłonał ją spojrzeniem, w którym musiały się odbijać miotające nim uczucia.

- Doktor zaleca wypoczynek - szepnął nieswoim głosem. - Wypoczynek i odrobinę czulej opieki - dodał, przyciskając usta do skaleczonej stopy.

Sandria drgnęła, ale Hunter wiedział, że nie był to odruch zdziwienia, lecz przyjemności. Jego palce wędrowały coraz wyżej i wyżej, a gdy dosięgły bioder, wychylił się do przodu i zawisł nad nią całym ciałem, opierając się drugą ręką i kolanem o brzeg kanapy.

Podniósł twarz Sandrii ku sobie, przeglądając się niemal w jej ciemnych, rozszerzonych źrenicach.

- Pocałuj mnie, Sandrio. Lekarz prosi o nagrodę. Chyba nie odmówisz?

- Takiej zapłaty wymagasz od wszystkich pacjentów? - spytała z uśmiechem.

- Tylko od ciebie, Sandrio - wyszeptał. - Tylko od ciebie...

Lekkim, pełnym obietnicy muśnięciem dotknął jej warg, które natychmiast tak cudownie go przyjęły, że przywarł do nich z całej mocy. Po pierwszym pocałunku przyszły następne, każdy inny. Z jej gardła wydobywały się ciche westchnienia. Jeszcze nie całkiem pewny jej reakcji, ostrożnie się do niej przytulił. Przeszył go dreszcz, gdy ich obnażone nogi dotknęły się i otarły o siebie.

- Sandrio, czy jesteś zabezpieczona? - spytał cicho, dotykając jej ucha czubkiem języka.

Przestraszyła się nagle. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nic - uśmiechnął się. - Nie ruszaj się. Oderwał się od niej i wstał, by powrócić za moment z pamiętną paczką z supermarketu. Sandria roześmiała się głośno.

- Powinieneś je chyba zachować na swój szampański weekend.

- Ty będziesz moim szampańskim weekendem. Po chwili zapomniała o całym świecie, oddając się bez reszty jego pieścizom. Czułe palce Huntera po wędrowały ku górze, rozpinają powoli guziki bluzki.

- Odrobina czulej opieki, Sandrio. Słuchaj swojego lekarza.

- Ooo, Hunter - westchnęła gwałtownie, gdy przytulił głowę do jej piersi.

Pocałował ją delikatnie, rozpinając jednocześnie stanik. Nie bardzo wiedząc, jak to się stało, zobaczyła nagle, jak koronkowa

szmatka w kolorze lawendy - ta sama, którą pierwszego dnia ku jej wstydomi własno ręcznie uprał - w ślad za bluzką spada na podłogę. Teraz i ona w gorączkowym pośpiechu zaczęła się uwalniać od szortów i dolnej bielizny.

Hunter, nie przestając jej całować, zrzucił z siebie resztki odzieży, ukazując wspaniałe ciało, naznaczone jedną tylko skazą - tajemniczą blizną na piersi.

Przygniótł ją swym ciężarem, pod którym było jej dobrze i przytulnie jak pod ciepłą kołdrą w śnieżny dzień. Trawiona pożądaniem, rozchyliła uda. Drżała na całym ciele, czekając, kiedy wreszcie to się stanie. Tak strasznie go pragnęła...

- Hunter, błagam cię...

Jej szept był cichy jak westchnienie. Ich oczy się spotkały. W kącikach jego warg czaił się uśmiech,

- Drżysz, Sandrio. Zimno ci? Może przynieść koc? - mruknął, okrywając jej twarz i ciało pocałunkami.

- Och nie, zaraz się spalę - zawołała, odrzucając w bok głowę. - Czy nie widzisz, co się ze mną dzieje?

Drżącą ręką zasłoniła twarz. Hunter zdawał się wszystko odgadywać w lot. Ujął jej dłoń, przycisnął do ust i tulił w rękę, czekając, aż się uspokoi, po czym, pewien jej gotowości, z głębokim westchnieniem wszedł w nią, a ona otworzyła się na jego przyjęcie.

Otulał go działający na zmysły zapach jej ciała, nie był zdolny oderwać się od niej, a jednak własne ciało wydało mu się przerażająco obce. Przeszył go nagły żal i lęk.

Jak to już dawno.. .Jak dawno...

Nie, nie będzie dłużej walczyć ze swoim ciałem. Rozsądek musi zamilknąć, bo on stał się bezsilny. Niech się dzieje to, do czego pchają go naturalne uczucia i nieodparte pragnienie. Odgarnął jej włosy z czoła.

- To mnie jest zimno, Sandrio - wyszeptał. - To ja potrzebuję twojego ciepła. Ogrzej mnie, kochanie. Od tak dawna nie miałem nikogo...

Wtuliła twarz w Zagłębienie jego ramienia i odpowiedziała mu żarliwymi pocałunkami. Wolałaby być wstrzemięźliwsza, nie pokazywać, jak bardzo go pragnie, ale nie potrafiła. Uległa mu tak szybko, z taką ochotą przyjęła go w siebie. To było cudowne. Czysta rozkosz, która przenikała każdy nerw jej ciała, rosła, wzmagala się z każdą chwilą...

Hunter odgadł, kiedy Sandria dosięgła szczytu. Gdy z jej półotwartych ust wyrwał się podobny nagłemu westchnieniu krzyk, zapomniał o wszystkim, oddając się całkowicie we władzę rozkoszy, która zalewała każdy zakątek serca, rosła i potężniała, aż wypełniła cały świat.

W ostatniej chwili, nim zatonął w morzu błogości, zdążył jeszcze pomyśleć, że w końcu nie popełnił zbyt wielu błędów. Po co było tak się bronić? Złączenie się z nią było tak naturalne, tak prawdziwe. Pchała go ku niej instynktowna siła nie do pokonania.

A to, czego najbardziej się obawiał - że obnaży przed nią swoje serdeczne rany i przebyte cierpienia - nie tylko mu przyniosło bólu i

upokorzenia, których bardzo się lękał, ale przeciwnie - dało mu ukojenie i cudowny spokój.

Z sennego omdlenia wyrwało Sandrię uporczywe burczenie, rozlegające się tuż koło jej ucha. Podniosła głowę znad piersi Huntera. Leżeli oboje w jego łóżku, chociaż nie potrafiła sobie przypomnieć, jak i kiedy przenieśli się do sypialni z bawialnego pokoju.

Dzień upłynął im na czułych pieszczotach, które nieodmiennie kończyły się cudownym zespoleniem. Teraz zbliżał się wieczór, a wibrujące od upału powietrze rozsiewało intensywną woń żywicy i oleandrów.

Burczenie się powtórzyło. Popatrzyła na Huntera. Promienie zachodzącego słońca padały na jego tors, wydobywając zeń miodowy aromat. Hunter leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Nie spał jednak, o czym się przekonała, gdy niespodziewanie przygarnął ją ramieniem. Sandria pogładziła jego płaski, umięśniony brzuch.

- Czy to twój nieszczęsny żołądek robi tyle hałasu?-spytała.
- Podniósł lekko powieki, rzucając jej spod rzęs długie spojrzenie.
- Zdaje się, że zapomnieliśmy o obiedzie.
- Są kraby. Można je ugotować na kolację.
- To prawda.
- Do tego należałoby wstać.
- To też prawda.

Podciągnęła się leniwie na łóżku, aż dosięgła głową jego podbródka. Nadal władała nią świeżo rozpalona namiętność. Dłoń Sandrii z wolna powędrowała wzdłuż jego nieruchomego ciała,

rozpoczynając igraszki, które po krótkiej chwili sprawiły, że uśmiech rozbawienia na twarzy Huntera ustąpił miejsca czemuś całkiem innemu.

- Och — rzuciła żartobliwie - chyba się obudził.

Z głuchym pomrukiem przytulił się do niej całym ciałem.

- Jesteś nienasycona i rozpustna!

Sandria przywarła ustami do jego szyi, muskając językiem ozłoconą słońcem skórę.

- Masz ochotę na obiad? - wymruczała cicho.

- Och, nie - zaprzeczył, łapiąc z trudem oddech jak człowiek po długim biegu. - Mam ochotę na coś zupełnie innego.

Zatopił rękę w jej włosach, przyciągnął ją ku Sobie i zaborczo pocałował. Potem jednak lekko się odsunął, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

- Muszę się do czegoś przyznać- powiedział.

- Teraz nie pora na spowiedź - odparła, przywierając ustami do jego szyi.

- Chciałbym mieć to za sobą.

- Masz mnie dosyć? Chcesz mnie odstraszyć? -pytała z przekornym dąsem. - No, przyznaj się! - mruknęła, ponawiając czułe manewry, które znów odebrały mu oddech.

- Uspokój się, na Boga - odezwał się błagalnie, z trudem opanowując podniecenie. - Mówię poważnie, a ty nie pozwalasz mi się skoncentrować.

Sandria odsunęła się niechętnie, poprawiając pod głową poduszki.

- No więc mów - rzekła sztywno. - Oczyść swoje sumienie.

- Powinienem być powiedzieć ci o tym od razu - zaczął po krótkim wahaniu. - Zglądałem do twojego pamiętnika.

- Do czego? - zawołała.

Nie musiał już prosić jej o uwagę.

- Do twojego pamiętnika. Czytałem go.

- Kiedy?

- Po tym, jak naprawialiśmy generator. Zostawiłaś notatnik na kanapie i wziąłem go odruchowo do ręki. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że to nie... że to przede wszystkim osobiste zapiski, a nie...

W jej ciemnych oczach odbijały się najrozmaitsze, pomieszane uczucia.

- Jak mogłeś! To moje najbardziej osobiste... Zapisuję w nim mnóstwo rzeczy, których nikt.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale wtedy uważałem, że mam do tego prawo. Powinienem być wcześniej się przyznać i przeproszam, że tego nie zrobiłem, ale nie żałuję, że go przeczytałem. Zobaczyłem cię w zupełnie innym świetle. Przestałem widzieć w tobie jedynie goniącą za sensacją, wścibską reporterkę.

Sandria była wyraźnie speszona takim obrotem rozmowy. Na policzki wystąpiły jej rumieńce. Usiadła na łóżku, owinęła się prześcieradłem i zsuwając nogi na podłogę, oświadczyła:

- Jestem głodna. Zrobię coś do jedzenia.
- Poczekaj, Sandrio - poderwał się, chwytając ją za rękę.
- Daj spokój. Dziękuję za przeprosiny.
- Musimy o tym porozmawiać.
- Nie - odparła, potrząsając głową.

Włosy opadły jej na twarz, zasłaniając oczy. Hunter, nie puszczając jej ręki, zsunął się na brzeg łóżka. Chciał koniecznie doprowadzić rozmowę do końca.

- Dlaczego nie? - spytał. - Uważam, że twoje zapiski są bardzo interesujące. Nie znam się na literaturze, ale wydały mi się oryginalne, poetyckie i obrazowe. Na pewno nie powinnaś się ich wstydzić. Nie próbowałaś którejs z tych rzeczy opublikować?

- Szkoda zachodu. Piszę dla zabicia czasu; kiedy pada deszcz albo nie mam lepszego zajęcia. Taka pisanina to tylko zabawa.

- Doprawdy? Longfellow czy Keats byliby chyba innego zdania. Spiorunowała go wzrokiem. Rozgniewana, gotowa do kontrataku, wydała mu się jeszcze piękniejsza niż dotąd.

- Wiesz, że nie to miałam na myśli. Po prostu w dzisiejszych czasach z tego typu pisania nie sposób się utrzymać.

- Kto ci naopowiadał takich cynicznych bredni?

- Nikt. Z honorariów za opowiadania nie sposób się wyżywić ani opłacić komornego. A jeśli chodzi o poezję, to...

- To co?

- Nic - rzuciła, uwalniając się od niego. - Dajmy spokój tej jałowej rozmowie. Wolałabym...

- To co? - powtórzył Hunter. - Poezją nie zyskasz uznania i szacunku rodziny? Tak ci na nich zależy? Musisz koniecznie spełnić ich oczekiwania?

Odgarnęła włosy z czoła, rzucając mu gniewne spojrzenie.

- Co ty możesz wiedzieć o mojej rodzinie?

- Jestem naukowcem. Umiem wyciągać wnioski.

- Nie jestem jakimś biologicznym okazem do oglądania pod mikroskopem.

- Nie trzeba mikroskopu, żeby zobaczyć coś, co aż bije w oczy. To ze względu na rodzinę ściagałaś mnie w Fort Myers i tutaj, prawda? Dlatego wynajęłaś łódź, chociaż śmiertelnie boisz się wody? Dlatego unieruchomiłaś obie łodzie i ukryłaś mikrofon? Nie po to, żeby przypodobać się szefowi, nawet gdyby powrót do redakcji z pustymi rękami miał się niekorzystnie odbić na twojej karierze. W gruncie rzeczy chciałaś przede wszystkim zaimponować rodzinie.

Na twarzy Sandrii odmalowało się zmieszanie, które w następnej chwili ustąpiło miejsca irytacji.

- Nic podobnego! A gdyby nawet tak było, to czy widzisz coś złego w tym, że ktoś chce przynieść swoją pracą chlubę rodzime?

- Nie - odparł, wzruszając ramionami - jeśli nie robi się tego kosztem własnego szczęścia.

- A kto ci powiedział, że rezygnuję z własnego szczęścia? - mruknęła niechętnie. - Było mi tak dobrze, dopóki swoją amatorską psychoanalizą wszystkiego nie popsułeś.

Chciał pogłaskać ją po twarzy, ale uchyliła się, więc tylko dotknął jej ręki.

- Nie chciałem niczego psuć, kochanie. Chciałbym cię tylko namówić, żebyś spróbowała szczęścia w innej dziedzinie.

- A to dlaczego? - spytała zaczepnie, podnosząc głowę i patrząc mu hardo w oczy.

Bał się, że jego słowa mogą ją urazić. Nie mógł się już jednak wycofać. Zbyt bacznie mu się przyglądała. Nabrał tchu dla dodania sobie odwagi.

- Bo nie masz w sobie niezbędnej w zawodzie reportera bezwzględności - oświadczył wreszcie, przytrzymując rękę, którą, usłyszawszy to, próbowała wyrwać z jego uścisku. Jej oczy błyszczały jednak gniewem.

- Z jakiej racji uważasz się za eksperta od tych spraw?

Hunter smutno się uśmiechnął.

- Bo przez kilka lat musiałem się nieustannie bronić przed dziennikarzami. Dobrze wiem, do czego są zdolni. - Mówiąc to, opuścił wzrok na ich splecione dłonie, odwrócił rękę Sandrii i przesuwając palcem po linii życia, ciągnął: - Natomiast dziewczyna, która... od trzech dni śni mi się po nocach, nie umie zachować dystansu i obiektywizmu. - Pocałował wewnątrz jej dłoni. - Jest namiętna i czuła. I tak wrażliwa na cudze cierpienie, że jest gotowa traktować je jak własne. Dziś wielcy dziennikarze nie angażują się uczuciowo. Są jedynie obserwatorami życia. Nie mogą sobie pozwolić na współczucie.

- Nie jestem aż tak szlachetna, jak sobie wyobrażasz - odparła, wyzywająco podnosząc głowę. -I nie muszę być wielka. Wystarczy, że będę dobra - dodała.

Hunter uśmiechnął się jeszcze czulej.

- Nie powinnaś się jednak wyrzekać prawdziwej siebie. Tego wszystkiego, co sprawia, że jesteś tak zachwycająca - powiedział, dotykając wargami jej nadgarstka w miejscu, gdzie bił przyspieszony puls. Jego usta powędrowały wyżej. Sandrii znów zakręciło się w głowie.

- Ale nie powinienesz był czytać pamiętnika - skarciła go w ostatnim odruchu obrony.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przyznał. - Pozwól mi się zrehabilitować.

- W jaki sposób?

- Coś wymyślimy - szepnął jej wesoło do ucha. Kiedy po raz drugi obudziła się w jego ramionach, na niebie zapalały się pierwsze gwiazdy. Łóżko tonęło w księżycowej poświacie. W bladym świetle widziała zarys policzka Huntera, łuk jego ramienia i wystającą spod prześcieradła nogę. Ogarnęła ją niewysłowiona czułość.

Hunter westchnął nagle.

- Postąpiliśmy nader nieopatrzenie - powiedział. Sandria znieruchomiała. Ogarnął ją lęk. Opanowała się jednak i udając spokój, spytała:

- A bo co?

- Trzeba było wstawić do lodówki kubek z krabami.

Zasmrodzą cały dom.

Podniosła się na łokciu i wymierzyła mu wcale nie żartobliwego szturchańca.

- Wypraszam sobie takie żarty!

- Jakie żarty?

- Myślałam, że mówisz o nas. Że nie powinniśmy... Na pewno nie żałujesz tego, co się stało?

- Ani trochę - odparł, przyciskając ją do swego boku. - Zbyt dobrze mi z tobą. Żałuję tylko tego, że tak późno ogłosiłem kapitulację.

- Oj, tak! Usychałam z tęsknoty za tobą.

W świetle księżyca dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach.

- A ja usychałem na słońcu albo dawałem się jeść komarom, byle trzymać się od ciebie z daleka, zamiast od razu pogodzić się z nieuniknionym.

- Teraz czuję się, jakbym była gorzką pigułką do połknięcia.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował.

- Smakujesz jak najlepsze lekarstwo, prawdziwy eliksir życia.

- Hunter - zaczęła, ujmując jego twarz w obie dłonie - to, co dziś przeżyliśmy.

- Tss... Nic nie mów, maleńka - przerwał, kładąc jej palec na ustach. - Nie daj się ponieść reporterskiej potrzebie nazywania wszystkiego po imieniu. Dopiero zaczynam oswajać się z myślą, że nie jestem stworzony do klasztornego życia.

Teraz ona miała okazję rzucić mu przekorny uśmiech.

- O celibacie nie masz nawet co marzyć.

- Nie spiesz się. Mamy czas.

- Pod warunkiem, że będziemy go spędzać tak jak dziś - zgodziła się szybko.

Czuła w nim jakąś wewnętrzną rezerwę, zabarykadowany ciemny zakątek. Co w nim tkwi, z czym nie chce się zdradzić? Dowie się tego w swoim czasie. Hunter doprowadził wprawdzie sztukę ukrywania uczuć do perfekcji, ale dzięki niej, Sandrii, nauczy się dzielić je z innymi. W każdym razie miała nadzieję, że na tym polega to, co ich połączyło.

Czy potrafię tego dokonać? - pytała się w myślach.

Chcę mu pomóc.

On niczego nie obiecuje.

Nieważne. Muszę mu pomóc;

Dlaczego?

Poczuła się tak pewna swoich uczuć dla niego, że wszystko, dosłownie wszystko stało się możliwe.

Położyła rękę na jego szerokim torsie i jej palce natrafiły na ukrytą pod zarostem bliznę. Tak blisko serca. Centymetr dalej i byłoby po nim. Minione godziny cudownej rozkoszy nigdy by nie zaistniały. Nigdy by go nie spotkała - co za straszna myśl! Sandrię ogarnęła niewysłowiona czułość. Tak bardzo chciała go osłonić, ogrzać ciepłem swego serca, kochać.

Tak, kocham go.

Przywarła ustami do zagojonej rany, wyobrażając sobie bijące pod nią serce.

- Obiecaj, że nigdy więcej nic, podobnego ci się nie zdarzy - powiedziała. - Nie zniosłabym tego.

Hunter wstrzymał oddech. Poczula w nim nagłe napięcie. Gdy podniosła głowę, próbując zobaczyć, co czuje, ujrzała, że twarz Huntera tonęła w ciemnościach:

- Możesz mi powiedzieć, jak do tego doszło?

- Nie ma w tym nic ciekawego - odparł wreszcie, jak człowiek nagle wyrwany ze snu.

- Więc tym bardziej nie ma co ukrywać.

- Sandrio...

- Co robiłeś po zakończeniu procesu? - spytała ostrożnie, omijając ten tak wyraźnie bolesny temat.

Poczula, że trochę się odprężył.

- Przed przyjazdem na wyspę na pewno przestudiowałaś wszystko na mój temat. W tamtym okresie reporter z waszej gazety prawie mnie nie odstępował.

- Wiem, co o tobie pisano, ale chciałabym usłyszeć to od ciebie.

Poprawił się z westchnieniem na łóżku. Leżeli teraz obok siebie.

- Dobrze, pani redaktor - powiedział, spoglądając w ciemne okno. - Wszystko, co najgorsze, i tak wiesz. - Zanurzył rękę w jej włosy i wolno je przeczesywał. - W wyniku procesu straciłem pracę, a nowej nie mogłem znaleźć. Rodzina... zginęła. Miałem paru oddanych przyjaciół, dosłownie paru. Jedyne, co zyskałem, to pewien rozgłos. A

ponieważ od lat walczyłem przeciwko niszczeniu przyrody w naszym stanie, więc pomyślałem, że moja chwilowa sława może pomóc tej sprawie.

- W rezultacie zyskałeś sobie na domiar wszystkiego sławę narwańca.

- Czy sądzisz, że po tym, co przeszedłem, opinia ludzi mogła mieć dla mnie jeszcze jakieś znaczenie? - odparł z gorzkim śmiechem.

- Szczególnie tych, którym upublicznianie ich działalności było nie na rękę? Pamiętasz senatora Kale'a?

- Tego nieszczęśnika, któremu podrzucono pod drzwi dwadzieścia osiem popsutych lodówek?

- Wrzuciliśmy mu je do ogrodu na znak protestu przeciwko ustawie o wysypiskach, którą zamierzał przeforsować w Senacie. A dwadzieścia osiem, bo tyle paragrafów zawierał projekt ustawy. Ustawa, gdyby przeszła, doprowadziłaby do zniszczenia najcenniejszych rezerwatów bagiennej przyrody, czym nikt zdawał się nie przejmować. Nieprzyjazne odgłosy w prasie skłoniły Kale' a do wycofania projektu.

- Zdarzały ci się też niepowodzenia.

- Zależy, co przez to rozumieć. Po próbie wypuszczenia na wolność delfina uwięzionego w basenie należącym do firmy handlu nieruchomościami zostałem wprawdzie zatrzymany pod zarzutem działania na szkodę przedsiębiorstwa, ale kiedy wychodziłem z aresztu, około tysiąca ludzi przyszło zademonstrować swoją solidarność. Kierownictwo firmy dało się w końcu przekonać, że nie

musi zachęcać klientów do kupna działek, proponując im pływanie w towarzystwie biednego delfina. Formalnie rzecz biorąc, przegrałem - dodał z ironią - ale delfin został uwolniony.

Sandria powiodła palcem po biegnącej wzdłuż piersi Huntera bliźnie. Mięśnie lekko mu drgnęły, ale się nie poruszył.

- Natomiast ta akcja była zdecydowanie nieudana, tak?

- Tak.

- Wtedy na plaży powiedziałeś, że to się stało dziewięć miesięcy temu. Dlatego od tamtej pory słuch o tobie zaginął?

- Tak.

- Co to było?

Hunter, którego palce głaskały leniwie policzek Sandrii, dał jej prztyczka w nos.

- Jeśli chodzi o upór w zdobywaniu informacji, jesteś jednak nieodrodną córką swojej rodziny.

Sandria podciągnęła się na łokciach i odgarnęła włosy z czoła, próbując zajrzeć mu w oczy. W blasku księżycy dostrzegła na twarzy Huntera jakby wyraz znużenia. Starając się mówić spokojnie, oświadczyła:

- Jeśli sądzisz, że chodzi mi jedynie o zdobycie informacji, to znaczy, że wszystko, co zaszło między nami, było pomyłką.

Powinieneś niezwłocznie skorzystać z radiotelefonu i wezwać niezawodnego Riley'a.

- Daj spokój, Sandrio - mruknął ochryple, przyciskając ją do siebie.

Myślała, że chce ją pocałować, ale się pomyliła. Przyciągnął ją tylko do siebie i nareszcie widziała jego twarz.

- Wdałem się w awanturę z pewnym poławiaczem krewetek, który używał nieprzepisowych sieci - po dłuższym milczeniu odezwał się Hunter. - Podpłynąłem do niego cichaczem w nocy i zniszczyłem całe urządzenie. Doszło do wymiany zdań, w trakcie której posłużył się nożem.

- Pchnął cię nożem?

- Uhm.

- Po co narażałeś się na takie niebezpieczeństwo? - zdziwiła się.
- Wiedziałaś przecież, że to nie będzie zabawa. Mogłeś zginąć.

- Ano mogłem - odparł z cierpkim uśmiechem. Mówił pozornie obojętnym tonem, który zdawał się płynąć z głęboko ukrytych pokładów smutku.

Sandrii zamarło serce. Było coś niepokojącego w tak rzeczowej odpowiedzi, coś, co kazało jej spojrzeć mu z uwagą w oczy. Hunter wytrzymał jej wzrok, ale jego oczy były dziwnie puste, pozbawione wyrazu.

Okropny domysł zaświtał jej w głowie. Zrozumiała okrutną prawdę. Tak, wiedziała już chyba, dlaczego Hunter zaatakował rybaka.

- Umyślnie go sprowokowałaś, czy tak? - spytała półgłosem.

Patrzyła mu w twarz, chcąc zobaczyć, jak zareaguje na zadane bez ogródek pytanie, ale Hunter gwałtownie się odsunął, jakby chciał uniknąć jej wzroku.

- Czulem się wtedy wyrzucony na boczny tor -powiedział sucho, jakby mówił o kimś innym. - Perspektywa wyładowania nagromadzonych frustracji W walce wręcz była dosyć pociągająca.

I liczyłeś, że przeciwnik nie chybi? - zadała sobie w duchu to okropne, narzucające się pytanie. Przejęło ją współczucie i groza. Otaczające ich ciemności pulsowały od niedomowień, a twarz Huntera przypominała maskę, z której wyzierała tylko para błyszczących w świetle księżyca, udręczonych oczu.

- Hunter...?-zaczęła niepewnie.

Nie było jej dane dokończyć tego zdania.

Hunter bowiem przygarnął ją do siebie z niemal desperacką namiętnością, mówiącą wyraźniej, niż mogłyby to uczynić słowa, iż wie, dokąd zawędrowały jej myśli. Wśród spowijających pokój łagodnych, tajemniczych półcieni muskał wargami jej usta i delikatnymi jak dotyk piórka pieszczotami okrywał ciało, rozbudzając na nowo pożądanie.

Odwraca moją uwagę, pomyślała smutno. Ale jak cudownie! Bez trudu pojęła, do czego zmierza - chce jej uniemożliwić dalszą indagację. Nie spiesz się, odpowiedziała Sandrii intuicja. Trzeba na razie skończyć tę rozmowę. Na razie.

Przywarła do niego i pozwoliła ponieść się tam, gdzie liczy się tylko ulotna chwila.

Nastał wreszcie poranek i głód dał o sobie znać. Hunter poszedł wziąć prysznic, Sandria zaś, wśliznąwszy się w pożyczony kostium, szykowała w kuchni śniadanie. Postanowiła zrobić jajecznicę, a tymczasem smarowała obwarzanki znalezionym w lodówce twarogiem.

A ponieważ kuchnia przylegała do łazienki, mogła się do woli sycić dobiegającymi spod prysznicza odgłosami. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy jego nagiego ciała - obmywanych wodą silnych ud, pokrytego mydłem kędzierzawego torsu, rąk biegających wokół ciała jak podczas miłosnych pieszczot. Szkoda, że tak lekkomyślnie

odrzucała propozycję wspólnego prysznic, zasłaniając się rozsądnym argumentem, iż trzeba jednak coś zjeść!

Przeгнаła zdożne myśli i przywołała się do porządku, widząc, że drugi raz zabiera się do smarowania tego samego obwarzanka. Zamiast snuć frywolne fantazje, ma przygotować prosty posiłek.

Szum wody ucichł w momencie, gdy nalewała sobie szklanke mleka.

- Śniadanie prawie gotowe! - zawołała. - Co wolisz, mleko czy sok pomarańczowy?

- Niech będzie mleko. Zaraz wychodzę - odkrzyknął.

Zajęła się nakrywaniem do stołu, na którym piętrzyły się porzucone po wczorajszej wyprawie łowieckie i plażowe przybory. Ręcznik rzuciła w kąt, obiecując sobie uprać go później, a pręty do chwytania krabów oparła o ścianę obok wejściowych drzwi. Podeszła, marszcząc nos, do niezbyt wonnego kubelka z krabami i po chwili wahania wystawiła go na ganek.

Na dworze panował już upał, a słońce zdawało się oślepiac i oszalać swoim blaskiem. Zasłaniając ręką oczy, powiodła wokół roztargnionym wzrokiem. Nic się nie poruszało na rozpalonej wysepce. Cofnęła się z ulgą do chłodnego wnętrza.

Zdejmując ze stołu plażową torbę Huntera, przypomniała sobie, że włożył do niej wczoraj nie tylko jej sandały, ale także okulary przeciwsłoneczne i krem do opalania. Sandały leżały na wierzchu, natomiast po okulary i krem musiała sięgnąć głębiej. Grzebiąc w torbie, natrafiła na jakiś dziwny, kanciasty przedmiot.

Chwilę trwało, nim zrozumiała, co trzyma w dłoni. Podczas procesu prasa szeroko się rozpisywała o prowadzonych przez Huntera badaniach dotyczących wojny chemicznej. Zdjęcia pojemników z podręcznymi zastrzykami antygazowego serum szczególnie dobrze wryły jej się w pamięć ze względu na ich złowrogą wymowę. Małe, plastikowe pudełka, bardzo podobne do tego, które teraz trzymała w ręku, miały zabezpieczać amerykańskich żołnierzy przed niecznymi zakusami wroga.

Gdyby ta substancja była skuteczna.

Sandria zwilżyła suche wargi i czując, że uginają się pod nią nogi, opadła na krzesło. Pojemnik ostrożnie odłożyła na stół, jakby bała się obudzić śpiącą w nim żmiję.

Co Hunter robi z tymi ampułkami? Wszystko zdawało się wskazywać, że przestał się zajmować bronią chemiczną i nie ma najmniejszej ochoty rozdrapywać dawnych ran. Czy ten pojemnik zawiera sfalszowaną substancję? Czy ma jakiś związek ze śmiercią Isaacsona? Te i podobne pytania kłębiły się jej w głowie.

Otworzyła wieczko i wyjęła jedną z wypełnionych płynem ampulek, które były jednocześnie strzykawkami. Mała, chłodna w dotyku fiołka kryła się niemal w zwiniętej dłoni. Tak niepozorna, a tak wiele potrafi zdziałać.

Jeśli płyn jest skuteczny, przypomniała sobie.

- Znalazłaś to, czego szukałaś?

Podskoczyła bezwiednie, jakby ją złapał na gorącym uczynku. Hunter stał oparty o framugę drzwi z założonymi na piersiach rękami.

W samych dżinsach, bosy, z połyskującymi złotem mokrymi włosami, wyglądał jak uosobienie męskiej urody. Pamiętała, jak piękne miewał oczy - świetliste, niosące cudowne obietnice. Teraz jednak mierzyły ją zimnym, beznamiętnym spojrzeniem.

Mogła sobie wyobrazić, co pomyślał, widząc ją w takiej sytuacji. Niemniej świadomość, iż jest podejrzana o podstępne szperanie w jego rzeczach, podsunęła Sandrii niewłaściwą reakcję.

- Znalazłam to, szukając własnych sandałów, więc nie patrz na mnie w ten sposób!

- W jaki sposób?

- Jak na kota, który wykradł ze spiżarni kiełbasę.

- Kto się tłumaczy, ten sam siebie oskarża, jak mawiał mój ojciec - oświadczył sentencjonalnie. Po chwili jednak, już bardziej pojednawczym tonem, zapytał: - Masz coś na sumieniu?

- Nie. A ty?

- Mnóstwo rzeczy, ale żadna z nich nie ma związku z tym, co trzymasz w ręku.

W spojrzeniu Huntera, kiedy to mówił, było jakieś wyrachowanie, niemal jakby próbował ją przechytrzyć. Tak łatwo mogą zniszczyć to, co ich wczoraj połączyło, pomyślała ze strachem. Nie może mu jednak pozwolić wykręcić się sianem. Sprawa jest zbyt poważna.

- Czy możesz mi powiedzieć, skąd to masz? - spytała, usiłując zachować spokój.

- Nie.

- Dlaczego? Bo nie masz pewności, czy to, co mi powiesz, nie trafi na łamy pisma?

W powietrzu wisiało napięcie. Hunter nadal mierzył ją chłodnym, taksującym spojrzeniem.

- Szkoda, że nie mogłaś widzieć swojej twarzy przed chwilą, kiedy tu wszedłem- Wyglądałaś zupełnie tak, jakbyś odnalazła Świętego Graala. Założę się, że oczami duszy widziałaś już drukowany wielkimi literami tytuł swojego artykułu na pierwszej stronie gazety. No, przyznaj się!

Czuła się schwyтана w jakąś straszną pułapkę bez wyjścia. Spuściła oczy, ściskając w dłoni wyjętą z pojemnika zimną, złowrogą ampułkę.

- Może. Nie będę się wypierać-przyznała. Natychmiast jednak z godnością podniosła głowę.

- Nigdy nie ukrywałam, że chodzi mi o uzyskanie od ciebie potrzebnych do napisania artykułu wiadomości. Ale po ostatniej nocy powinieneś wiedzieć, że nie byłabym w stanie wydrukować niczego, co by ci mogło przysporzyć dodatkowych kłopotów.

- Zaufanie a zmysły to dwie różne rzeczy - powiedział obcym, bezlitosnym tonem.

Poderwała się, słysząc te brutalne słowa.

- Więc dla ciebie to były tylko zmysły? - powiedziała urywanym głosem. - Boże, cóż ze mnie za idiotka!

Hunter zrobił krok ku niej, ale powstrzymała go ruchem ręki. Nie zdziwiła się, widząc, że ręka jej drży.

- Przepraszam, Sandrio. Nie powinienem był tego mówić. Ostatnia noc była najcudowniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała od bardzo, bardzo dawna. To, co powiedziałem o zmysłach, to głupstwo i nieprawda.

- Więc dlaczego to powiedziałeś? - spytała. Serce waliło jej tak mocno, że nie mogła opanować drżenia głosu.

- Bo chociaż było mi z tobą tak cudownie, nie mogę nie zastanawiać się nad konsekwencjami ostatniej nocy. A o tym, co trzymasz w ręku, nie mogę z tobą mówić, a powodem wcale nie jest brak zaufania.

- Więc dlaczego?

- Bo wszystko zdaje się wskazywać, że Leon Isaacson został zamordowany - wyznał cicho. - A ty stałaś się dla mnie zbyt ważna, żebym mógł lekkomyślnie narażać cię na niebezpieczeństwo.

- Nic mi nie grozi.

- Na szczęście - oświadczył, odzyskując energię.

- I dlatego masz natychmiast schować pojemnik do mojej torby i zapomnieć, że kiedykolwiek widziałaś go na oczy.

- Nie, Hunter - odparła, kręcąc głową. - Wiesz, że tego nie zrobię.

- Właśnie, że zrobisz. Trzymaj się od tego z daleka. Zapomnij o wymaganiach swojego szefa i aprobachie rodziny. Udzielę wywiadu na każdy inny temat, jaki tylko przyjdzie ci do głowy, prócz tego. Odłóż pudełko na miejsce.

- Co masz zamiar z nim zrobić?

Wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Zastanawiałem się nad tym. Nie zaszkodzi przeprowadzić testy, sprawdzić, czy strzykawki zawierają to, co powinny. Jeśli okaże się, że nie, przekażę sprawę odpowiednim osobom.

- To znaczy komu?

- A co mi zostało? Wytoczyć kolejny proces, mając jeszcze mniej dowodów niż przed czterema laty? Dziękuję. Wystarczy, że raz zrobiłem z siebie idiotę.

- To nie w twoim stylu. Ty miałbyś czekać z założonymi rękami, nic nie robiąc?

- Nie masz pojęcia, jakie niebezpieczeństwa kryje w sobie ten przedmiot - przerwał Hunter. - Posłuchaj mnie. Wiem, co mówię. No, odłóż go. - Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem. - Proszę cię. Zrób to dla mnie.

Umiał po mistrzowsku grać na jej uczuciach, Sandria miały sprzeczne impulsy. Wierzyć mu czy nie? A może mówi to wszystko tylko po to, żeby zniechęcić ją do prowadzenia dalszego śledztwa? Co zrobi, jeśli go posłucha?

O tym jednak nie dane jej było się przekonać.

Jak grom z jasnego nieba, drzwi domu otworzyły się z głośnym trzaskiem. Sandria odwróciła głowę - na tle oświetlonego słońcem wejścia rysowała się sylwetka nieznanego człowieka. Napastnik wpadł do pokoju i w jednym mgnieniu oka zdała sobie sprawę, że jest brudny, spalony słońcem, obdarty, a w rękę trzyma rewolwer.

Oczy biegały mu niespokojnie, omiatając ich dwoje oraz pojemnik z ampułkami, który w dalszym ciągu leżał na stole.

- Pogodzę Was - oświadczył dzikim, histerycznym głosem. -
Oddaj mi to!

Minęła straszna chwila milczenia, nim nagła zmiana sytuacji dotarła wreszcie w pełni do ich świadomości. Sandria z bijącym sercem zerknęła w kierunku Huntera.

Jeśli nawet znał tego człowieka albo się go lękał, to tego nie okazał. Co więcej, z zadziwiająco niefrasobliwą miną stawił czoło facetowi z wycelowanym rewolwerem.

- Richard! - powitał napastnika. - Co za niespodzianka. Boże, jak ty wyglądasz! - zatroskał się, jakby prowadził towarzyską pogawędkę.
- Jakim cudem doprowadziłeś się do tego stanu?

Ciemne oczy mężczyzny błysnęły niezdrowym podnieceniem.

- Nie do ciebie mówię. Hunter udął, że nie słyszy.

- Sandrio, pozwól, że ci przedstawię Richarda Cavanaugha, syna Charliego. - A zwracając się do przybysza, spytał: - Przyznaj się, Richie, to Charlie cię tu przysłał, tak?

- Nie twoja rzecz. Powiem ci, Garrett, że wybrałeś sobie najpodlejszy kawałek piaszczystej łąchy na świecie. Komary, robactwo, nie ma co jeść. Myślałem, że już dłużej nie wytrzymam.

- Trzeba było przyjść tutaj i grzecznie zapukać - oświadczył Hunter i wzruszył ramionami. - Pogadalibyśmy i miałbyś z czym wrócić do tatusia bez narażania się na porażenie słoneczne i piasek w portkach.

- Tralala! - z szyderczym uśmiechem odparł Richie. I na pożegnanie zapewne dostałbym w prezencie to?- Wskazał końcem lufy pojemnik.

- No, wiesz, nawet gościnność ma swoje granice.

- Gadaj, kto ci to dał? Mój szwagier?

- Chyba nie spodziewasz się odpowiedzi?

- Zresztą obojętne. Jeśli to on, już tata zamknie mu gębę - zauważył Richie, odwracając się w stronę Sandrii, która z najwyższym niepokojem śledziła toczącą się między nimi wymianę zdań.

- A teraz dawaj mi to -rozkazał.

- Nie mą mowy - odparła, potrząsając głową. Oddaj mu, Sandrio - szybko wtrącił Hunter.

- Hunter...?

- Nie warto z powodu czegoś takiego ryzykować życiem - odparł Hunter, bacznie obserwując przybysza. - Przyjmując, rzecz jasna, że Richie nie jest na tyle głupi, żeby nas potem zastrzelić.

- Chcę tylko zwrotu pojemnika - szybko rzucił Richie, prostując się dla nadania swoim słowom pozorów wiarygodności.

Próba ta wypadła nad wyraz żałośnie.

Nie można mieć do tego faceta za grosz zaufania, pomyślała Sandria. Rzuciła Hunterowi porozumiewawcze spojrzenie i tę samą myśl wyczytała z jego oczu. Dlaczego w takim razie chce mu oddać jedyny dowód rzeczowy?

Jej wahanie wzmogło jedynie irytację Richie'ego, który spał się w sobie jak kot szykujący się do skoku.

- Dostyc gadania - oświadczył. - Oddawaj, ale już!- rozkazał Sandrii.

- Posłuchaj go, Sandrio - powtórzył Hunter.

Z niemiłym poczuciem, że serce za chwilę rozwali jej klatkę piersiową; Sandria wzięła ze stołu pojemnik i położyła go na wyciągniętej dłoni Richie'ego Cavanaugha, który lufą rewolweru dał jej znak, by się odsunęła, a sam pospiesznie wsunął zdobycz do kieszeni koszuli.

Sandria cofnęła się. Z trudem panowała nad nerwami. Co teraz? - myślała gorączkowo. Co mam robić, Hunter? Jak mogę ci pomóc? Rzuciła Hunterowi pytające spojrzenie. Ten opuścił wzrok na jej rękę, szybko popatrzył w oczy i natychmiast odwrócił się z powrotem do Richie'ego.

Ale ze mnie idiotka! - zwymyślała się w duchu Sandria, zdając sobie sprawę, że w lewej ręce nadal trzyma wyjętą z pojemnika ampulkę. Była dostatecznie mała, aby ją ukryć przed wzrokiem Richie'ego, który nie wiedział, iż została wyjęta, gdyż schował pojemnik do kieszeni, nie sprawdzając jego zawartości. Musi ją niepostrzeżenie ukryć...

- To ty zabiłeś Isaacsona? - zapytał Hunter.

- Zamknij się.

- Policja jest przekonana, że to nie było samobójstwo. Prędzej czy później...

- Zamkniesz się czy nie? - wrzasnął Richie, po czym, czując widocznie potrzebę wyładowania własnej agresji, strzelił na chybił trafił w głąb pokoju. Kula przebiła jedną z leżących na kanapie poduszek, z której wytrysnęła biała chmurka puchu. Richie, dziwnie z siebie zadowolony, wziął z powrotem na muszkę Huntera.

Nogi Sandrii miękły w kolanach jak leżąca na słońcu czekolada, tymczasem Hunter nadal zachowywał się niefrasobliwie. Spojrzał na zniszczoną poduszkę i skrzyżowawszy ręce na piersiach, rzucił Richie'emu karcące spojrzenie.

- To moja ulubiona kanapa - powiedział mentorskim tonem, jakby mówił do rozhisteryzowanego dzieciaka, i westchnąwszy głęboko, dodał: - No więc pokonałeś poduszkę. I co teraz?

Richie zrobił się purpurowy ze złości. Rozhisteryzowany, niechlujny napastnik istotnie nie wygląda zbyt groźnie, pomyślała Sandria, ale czy Hunter nie przesadza, drażniąc się z facetem, który bądź co bądź trzyma w ręku rewolwer?

- A teraz pójdziemy we trójkę na spacer - oświadczył Richie.

- Dokąd?

- Najpierw do szopy, po łopatę, a potem do mojej łodzi. Po tym, co musiałem znosić przez ostatnie dni zastrzelę was z największą przyjemnością, ale nie mam zamiaru męczyć się kopaniem dla was grobu.

- Fatalny pomysł, Richie - ocenił Hunter.

- Jestem odmiennego zdania. Nim ktoś odkopie wasze ciała, zdążę zwać z kraju. Miałem dosyć czasu, żeby się nad wszystkim

zastanowić. Cokolwiek tata o mnie pomyśli, niech mnie diabli wezmą, jeśli dam się zamknąć za coś, co zdarzyło się w gruncie rzeczy wbrew mojej woli.

- Jeśli rzeczywiście tak było - wtrąciła Sandria - to po co niepotrzebnie pogarszać sytuację? Mogłabym panu pomóc. Miałby pan możliwość przedstawienia swojej wersji wydarzeń na łamach mojej gazety. To nieprawda, co ojciec panu wmawia, że nie ma innego wyjścia z sytuacji.

- Ojciec wcale mi nie... - Richie urwał i wysunął groźnie szczękę do przodu. - Sam wiem, co mam robić. Zamknij się i chodź tutaj.

- Zostaw ją w spokoju, Richie - powiedział Hunter z naciskiem. - Teraz, kiedy masz pojemnik w kieszeni, ona nie może ci już nic zrobić.

Richie chytrze się uśmiechnął.

- Co między wami jest? Myślałem, że jesteście na noże, a teraz jestem pewien, że przez cały czas czekałeś tylko, kiedy wreszcie wyskoczy z majtek, co? - Rzucił Sandrii złe spojrzenie. - Kiedy ja smażyłem się na słońcu o suchym pysku, wyście się w najlepsze zabawiali w łóżku, co? - ciągnął, oddychając coraz prędeziej. - No, marsz do mnie!

Sandria wolno się do niego zbliżyła. Może Hunter, modliła się w duchu, ma jakiś plan uratowania ich od śmierci?

Richie podniósł wolną rękę i wymierzył jej siarczasty policzek. Potem szarpnął ją za ramię i okręcił tak, że skrył się za jej plecami. Jednocześnie poczuła pod lewą piersią lufę rewolweru, a na policzku

przyprawiający o mdłości poufały dotyk spoconego, nie ogolonego policzka i kwaśny, zdyszany oddech.

Hunter zrobił krok do przodu, ale Richie, jak zapędzony w róg zwierzak, momentalnie skierował ku niemu rewolwer.

- Ani kroku, Garrett! Bo zastrzelę cię jak psa. Przysięgam. Nie po to tu jestem, żeby wysłuchiwać waszych kazań. Radzę ci, mała, trzymać gębę na kłódkę i robię, co ci każę - dodał, ocierając jej boleśnie policzek szczeciniastym zarostem.

Sandria odsunęła głowę najdalej, jak tylko mogła, starając się nadaremnie wyczytać coś z twarzy Huntera, który, wyraźnie spięty, obserwował ich zwięzonymi oczami.

- Co ci jest, Garrett? - szydził Richie. - Boisz się, co? Nie chcesz, żebym ją macał? - Wsadził łapę za dekolt kostiumu Sandrii i ścisnął nagą pierś. - Nie jestem już dzieckiem. Powinieneś mnie traktować z większym szacunkiem.

Sandria zatrzęsała się z obrzydzenia.

- Nic się nie zmieniłeś, Richie - usłyszała pełen zjadliwego sarkazmu głos Huntera. - Jesteś takim samym parszywym skunksem jak dawniej.

Wstrzymała oddech, nie wiedząc, jak napastnik zareaguje na obelgę. Cofał się nadal ku drzwiom, wlokąc ją za sobą, ale trzymająca rewolwer ręka zaczęła mu gwałtownie drżeć. Bała się, że Hunter posunął się za daleko.

- Masz źle w głowie, Garrett - powiedział Richie dzikim, zduszonym głosem, dławiąc się z wściekłości. - Powinieneś się mnie bać, stary.

- Prawdę mówiąc, zamierzam cię zabić - najspokojniej oświadczył Hunter.

Powiedział to z takim zimnym, bezwzględny przekonaniem, że Richie trochę się stropił. Jego nadrabiana pewność siebie została zachwiana. Trzymająca Sandrię w uścisku ręka osłabła.

Sandria tylko na to czekała. Nie miała zamiaru skończyć bez walki w nie oznaczonym grobie. Kątem oka namierzyła oparte o ścianę, okute metalem pręty do łapania krabów, które chwilę temu postawiła koło drzwi. Tymczasem Richie włókł ją za sobą, cofając się do wyjścia. Kiedy znaleźli się w drzwiach, Sandria opuściła rękę i nie patrząc, sięgnęła po kij.

Usłyszała, że Hunter zaklął głośno, gdy wzięwszy zamach wymierzała Richie'emu cios w nogę. Kij z głośnym plaśnięciem uderzył w ciało, Richie zawył z bólu i wściekłości, zraniona noga ugięła się pod nim i zachwiał się, pociągając za sobą Sandrię. Wyzwolila się bez trudu z jego uścisku, ale Richie już znowu trzymał mocno rewolwer i celował...

W następnej chwili wyleciał jak katapultowany na ganek, powalony nagłym skokiem Huntera. Sandria zatoczyła się w bok, lądując na czworakach. Uniosła głowę, obserwując bijatykę. Richie, chociaż młodszy, w swoim obecnym stanie nie mógł się mierzyć z opanowanym, okładającym go bezlitosnymi ciosami Hunterem.

Rewolwer zniknął, ale nagle wyłonił się jak królik z kapelusza w zaciśniętej dłoni Richie'ego. Sandria zamarła ze strachu. Poderwała się i poszukała wzrokiem kija na kraby. Zamierzyła się, czekając na okazję wytrącenia Richie'emu broni z ręki.

Tymczasem dwaj dyszący, spleceni w walce mężczyźni podnieśli się z trudem na nogi. Sandria bezskutecznie wypatrywała okazji do zadania ciosu.

W pewnym momencie Richie dostał silny cios w szczękę, zachwiał się i zatoczył, zwałając Sandrię z nóg. Upadła do tyłu, wypuszczając z ręki kij, który zrobił w powietrzu szeroki łuk, a potem poczuła nagle uderzenie w plecy, usłyszała trzask pękającego drewna i bezradnie machając rękami, zaczęła spadać w próżnię.

Zdała sobie niejasno sprawę, że bariera ganku załamała się pod jej ciężarem. Wpadła w srebrzystą kipieli, która otoczyła ją z wszystkich stron jak żywa istota, wdzierając się do ust i nosa. Woda trzymała ją w żelaznym uścisku, strach dławił gardło. Rozpaczliwie próbowała wypłynąć na powierzchnię, ale rzucona przez skłębione fale, odbijała się tylko raz po raz o podpierające dom słupy, aż wreszcie straciła orientację. Zaczynała słabnąć i tracić czucie.

Ale gdzie ten kojący, przedśmiertny sen mara, o którym tyle zawsze opowiadano? Dlaczego przez jej mózg nie przepływają owe zapowiadane ostatnie przypomnienia ważkich momentów życia? Wyobraźnia

podsuwała jej tylko obraz Huntera na plaży, trzymającego ją w objęciach i obiecującego, że nauczy ją pływać. Jaka szkoda, że tego

nie zrobił, pomyślała, czując, jak ostatnia bańka powietrza ulatuje jej z ust i palący ból żelaznymi obcęgami ściska płuca.

Scandalous

- Cóż to za głupi, idiotyczny pomysł... Sandrio, ocknij się!

Urywane słowa wdzierały się w jej odrętwiały mózg jak skrzek popsutego radiodbiornika. Ktoś powinien go wyłączyć. Niech znów zapadnie przytulna ciemność, w której czuła się tak bezpiecznie.

- Nie możesz mi tego zrobić, Sandrio. Kto napisze twój artykuł? Co powiedzą Suttonowie, jeśli wytniesz im taki numer? Ocknij się, na litość boską! Wy tłumaczę im, że nie urodziłaś się na reportera. A wszystko, co wiem o Isaacsonie, opowiem jakiemuś świeżo upieczonemu absolwentowi dziennikarstwa. Obudź się natychmiast!

Czy to naprawdę Hunter tak wrzeszczy? I dlaczego tak nią szarpie? Niech zostawi ją w spokoju. Jej myśl krążyła leniwie w kółko, nie posuwając się do przodu.

Ale Hunter nie ustępował. Znow usiłuje mnie do czegoś przymusić, myślała ze złością. Zaraz mu powie, że nic z tego.

- Sandrio, błagam, nie każ mi iść za trumną kolejnej osoby, którą...! O, obudziłaś się wreszcie! Jak się cieszę...

Sandria otworzyła oczy. Świat zawirował jak w kalejdoskopie. Po chwili z barwnej mozaiki wyłonił się obraz klęczącego Huntera i jego zrozpaczonej, ściągniętej bólem twarzy. Ociekał wodą, ona zaś była, o dziwo, równie mokra jak on i leżała na kanapie.

Popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Zniszczę ci kanapę - powiedziała, dziwiąc się, że mówi tak chrapliwie.

Uśmiechnął się, przyciskając do ust jej rękę.

- I tak od dawna należało kupić nową - odparł. Mówił z trudem, przez ściśnięte gardło, z głową odwróconą w bok. Na koniec odetchnął niepewnie i spytał: - Jak się czujesz?

- Co się stało? - spytała, wysilając nieposłuszną pamięć.

- Musisz najpierw odpocząć-oświadczył. Delikatnie pogłaskał jej czoło, pieczołowicie odgarniając z twarzy mokre pasma włosów.

- Będę przy tobie - zapewnił, gdy zamknęła oczy. Dziwnie pieśzcotliwy ton jego głosu otulał ją mglistym, rozkosznym całunem. Z uśmiechem na ustach zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, nadal był przy niej. Chyba nie spała długo. Wprawdzie leżała teraz owinięta w koc, ale włosy Huntera i jego ubranie wciąż były wilgotne.

Wszystko sobie przypomniwała: znalezienie pojemnika, groźby Richie'ego Cavanaugha, swój upadek do wody i przekonanie, że wszystko stracone, wreszcie głos Huntera uparcie wywołujący ją z krainy ciemności...

- Jakiej kolejnej osoby? - spytała znienacka.

- Co? - Spojrzał na nią zdziwiony.

Z nieoczekiwanym napięciem wpatrywała się w jego twarz. .

- Powiedziałeś: „Nie każ mi iść za trumną kolejnej osoby, którą... - Zawiesiła głos, jakby czekała na dokończenie zdania. - Jakiej osoby?

- Która powinna mieć dosyć rozumu na to, żeby nie pozwolić się zabić - odparł z czułym, nieco kpiącym uśmiechem.

- Aha.

Miała nadzieję... Właściwie na co? Niemniej w głębi serca poczuła ukłucie zawodu.

Ciało miała jak z ołowiu. Z największym trudem oderwała głowę od poduszki. Hunter pospieszył jej z pomocą, podtrzymując ramiona i szyję. Wzdłuż kręgosłupa przeszedł ją lekki dreszcz.

- Powiedz mi, na Boga, co właściwie chciałaś zrobić? - spytał, mierząc ją pełnym troski spojrzeniem.

- Dlaczego nie trzymałaś się z boku, tylko skakałaś wokół Richie'ego jak wymachujący maczugą jaskiniowiec?

- Nie mogłam pozwolić, żeby cię zastrzelił.

- Całkowicie panowałem nad sytuacją. Miałem ochotę cię udusić.

- Przepraszam, że próbowałam uratować ci życie

- odparła obrażona.

- Nie znasz Richie'ego tak jak ja. To śmierdzący tchórz, który tylko udawał zucha. Opowiadał, że nas zabije, ale gdyby przyszło co do czego, pogoniłbym mu takiego kota, że błagałby na kolanach o odprowadzenie go na policję i ułagodzenie tatusia,

- Skąd mogłam to wiedzieć! A co się z nim stało?

- Dał nogę, jak tylko skoczyłem za tobą do wody.

- Pozwoliłeś mu uciec?

Usiadł na piętach, wyraźnie rozbawiony tym dziwnym oskarżeniem.

- Więc miałem ci pozwolić po raz trzeci pójść pod wodę? W nadziei, że wyrosną ci skrzela?

Gwałtownie się zaczerwieniła.

- Przepraszam - szepnęła cicho. - Dzięki. Uratowałeś mi życie.

- Nie ma za co - Uśmiechnął się łagodnie. Zdała sobie sprawę, że zaczyna drzeć na całym ciele, odreagowując miniony strach i napięcie. Hunter zrozumiał widać, co się dzieje, bo wyciągnął rękę i delikatnie głaskał ją za uchem. Zawstydzona swoim stanem, oblizwała wargi, uśmiechając się przepaszająco.

- Już myślałam, że to...

Nie dokończyła, słysząc, jak żałośnie i bezsilnie brzmi jej własny głos.

- Sandrio - powiedział z przejęciem, rozmasowując palcami napięte mięśnie jej ciała. - Gdybyś tylko powiedziała słowo, w każdej chwili mogliśmy wrócić do lekcji pływania.

Popatrzyła w jego cudownie niebieskie, wszystko rozumiejące oczy.

- Strasznie się bałam.

- A ja byłem wściekły - dodał, dotykając palcami jej obolałego po ciosie Richie'ego policzka. Ujął ją pod brodę, schylił się i lekko pocałował w usta. Natychmiast zapomniała o całym świecie; był tylko on, jego obecność i bliskość, która otulała ją swym ciepłem i koła słodczą. Lęk ustąpił. W budzącym się do życia ciele czuła znów miłe podniecenie.

Długo trwało, nim się od niej odsunął, nadal nie odrywając wzroku od jej twarzy, ha której malowało się błogie zadowolenie.

- Co teraz zrobimy? - spytała.
- Zadzwońm po Rileya. Wkrótce się zjawi.
- Cavanaugh uciekł z pojemnikiem?
- Pewnie tak.

Ku zdziwieniu Huntera, Sandria niespodziewanie parsknęła śmiechem i nie mogąc opanować wesołości, zaczęła wyrzucać z siebie urywane słowa:

- Och, Hunter... Ten głuptas, jak ten głuptas mógł...
- Co ci się stało? - spytał zaniepokojony.
- Nic, naprawdę nic. - To mówiąc, otarła łzy rozbawienia. -

Richie zabrał nasz dowód rzeczowy - dodała, jakby to wszystko Wyjaśniało.

- Na to wygląda - odparł niepewnie, nadal nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

Sandria z wesołym uśmiechem odrzuciła koc, podniosła biodro i sięgnęła ręką pod brzeg kąpielowego kostiumu. Po chwili wyciągnęła ku niemu dłoń, na której leżała wyjęta z pojemnika ampułka.

- Prócz tego - oświadczyła z triumfem. – Przez cały czas zastanawiałam się, co mnie uwiera w pupę, aż nagle sobie przypomniałam.

Hunter wziął ampułkę i z radosnym okrzykiem chwycił Sandrię w ramiona.

- Zrozumiałaś, o co mi chodzi! Myślałem, że wyleciała ci z ręki w trakcie szamotaniny i wpadła do wody. Ach, Sandrio, ta kapsułka może się okazać wystarczającym dowodem! - zawołał z nagłym ogniem w oczach.

- Podobno nie zamierzałeś już więcej się w to angażować.

Ponownie dotknął jej obolałego policzka.

- Tak było, dopóki Richie Cavanaugh nie zaczął swoich łajdackich sztuczek.

Wzięli prysznic i przebrali się w suche rzeczy. Wbrew naleganiom Huntera, który kazał jej odpoczywać, Sandria zabrała się do opróżniania lodówki i kuchennych szafek. A ponieważ nie wiedzieli, kiedy, jeśli w ogóle, uda im się wrócić na wyspę, Hunter wyłączył generator, wypompuwał wodę i pozamykał kratki wentylacyjne. Gdy zjawił się Riley, przywożąc nowe przewody paliwowe, byli spakowani i gotowi do drogi.

W trakcie instalowania przewodów Hunter opowiedział w skrócie przyjacielowi o napadzie Richie'ego. Riley przyjął wiadomość z właściwym mu spokojnym zainteresowaniem. Pierwszy raz okazał zdziwienie, kiedy Hunter, tuż przed odjazdem, opiekuńczym gestem położył Sandrii rękę na ramieniu i powiedział:

- Czy mógłbyś wziąć jej łódź na hol? Sandria nie przepada za otwartym morzem. Wolałbym, żeby płynęła ze mną.

Riley przyjrzał im się z dużym zaciekawieniem.

- Oczywiście, ale czy nie myślisz, że nie powinieneś na razie pojawiać się we własnym domu?

- Richie był chyba przekonany, że prócz pojemnika nie mamy żadnych innych dowodów, więc nie sędzę, żeby próbował nowych kawałów. Ale na wypadek, gdyby Charlie zarządził obserwację domu i jeszcze swojego szpiega nie odwołał, może rzeczywiście lepiej się tam nie pokazywać.

- Mam w przystani wolne mieszkanie administratora, na piętrze nad biurem - oznajmił Riley. - Możecie się w nim zatrzymać.

- A rzeczy, które zostawiłam w hotelu? - zainteresowała się Sandria. - Marzę, żeby się przebrać. Nie mogę już patrzeć na te łąchy.

- Coś wymyślimy-uspokoił ją Hunter.

Z tym wstępnym planem wyruszyli wczesnym popołudniem w drogę powrotną. Powietrze było aż gęste od upału, niemniej fontanny słonej wody raz po raz rozpryskiwały się o dziób jachtu, który podskakiwał na rozhuśtanych falach jak papierowy okręcik w wannie.

Nieszczęsna Sandria siedziała skulona obok Huntera, starając się nie patrzeć na wodę - której widok przyprawiał ją o mdłości - lecz na odległą linię horyzontu. Cóż, kiedy nieopanowany lęk był jak ciemna jaskinia, z której jej dusza nie potrafiła się wydostać. Zrezygnowana przymknęła oczy, czekając końca podróży.

Poczuła na twarzy lekkie dotknięcie i podniosła powieki. To Hunter, domyśliwszy się, dlaczego tak uparcie milczy, współczującym gestem pogłaskał ją po policzku, nie odrywając oczu od powierzchni wody. Wtuliła twarz w jego rękę i przycisnęła do niej wargi. Na chwilę opuścił wzrok.

- Już niedługo, kochanie - uspokoił ją, przekrzykując warkot motoru. - Staraj się myśleć o czymś innym.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale skończyło się na lekkim skinieniu głową.

- Przykro mi, że jestem takim tchórzem.

- Chcę ci przypomnieć - odparł, ogarniając ją pełnym zrozumienia spojrzeniem - że mówisz o damie, która nie dalej jak dziś rano stawiała czoło facetowi z rewolwerem.

Niestety, w tej chwili nawet jego pochwała nie potrafiła tchnąć w nią otuchy. Czuła się, jakby ją przepuszczono przez wyżymaczkę. Zamiast na kołyszących łódź falach, postanowiła skupić uwagę na swoim towarzyszu.

O dziwo, z powodzeniem. Ileż w nim barw, myślała z upodobaniem. Mgielka słonej wody otaczała jego złociste, rozwiane włosy świetlistą aureolą. Oczy były intensywnie niebieskie, a opalone ciało lśniło jak przeświecony słońcem miód. Przyglądając mu się w zadumie, zdała sobie sprawę, że pokochała tego człowieka mocną, namiętą miłością. Utrwalony w tej chwili obraz Huntera pozostanie na zawsze w jej pamięci.

Cokolwiek się stanie, cokolwiek nas czeka, nigdy nie przestanę go kochać.

Dopłynęli bez przeszkód do przystani. Hunter chwycił ją na ręce i jednym zręcznym ruchem postawił na brzegu. Riley musiał zauważyć, że Sandria ledwo trzyma się na nogach, bo rzucił Hunterowi pęk kluczy i zawołał:

- Mieszkanie jest na pięterku, na tyłach sklepu. Może byś nastawiła kawę, a my tymczasem zacumujemy i wyładujemy łodzie?

Podziękowała mu uśmiechem, wzięła klucze od Huntera i ruszyła kładką na brzeg. Mężczyźni patrzyli, jak się oddala, wsłuchani w szybki odgłos jej kroków.

Kiedy zniknęła za budynkiem przystani, Hunter zwrócił się do przyjaciela:

- Dzięki, świetny pomysł. Po dzisiejszym dniu musi być wykończona.

- To widać - powiedział Riley, zabierając się do wypakowywania prowiantów. - Trzeba jednak przyznać, że dziewczyna ma odwagę. Jeśli się nie mylę, doszliście w końcu do porozumienia,

- Uhm.

- To świetnie - rzekł Riley. - Wiedziałem, że jak tylko przestaniesz się bronić rękami i nogami, zobaczysz, co jest warta.

- A odkąd to jesteś takim znawcą kobiet?

- Od pierwszego dnia, kiedy zjawiała się u ciebie w domu, a ty, zamiast zaprosić ją do środka, wpadłeś na ten genialny pomysł z Busterem. - Wyniósłszy sprzęt wędkarski na pomost, wyprostował się i spojrzał pytająco na Huntera. - Ty i Sandria to coś poważnego?

- Daj spokój, znamy się zaledwie tydzień - nachmurzył się Hunter.

- No to co? - Riley wzruszył ramionami. - W Julii zakochałeś się od pierwszego spotkania w college'u. Nie pamiętasz?

- Wtedy było inaczej. Byłem we władzy hormonów, których poziom znacznie przekraczał iloraz mojej ówczesnej inteligencji.

Patrzając na Julię, od razu widziałem ją nagą w łóżku.

- A z Sandrią jest inaczej?

- A gdzie tam! - rzucił poirytowany, - W tym cały sęk! Czuję się przy niej jak ogier na wybiegu.

- No więc co?

- Więc to, że byłby czas zacząć myśleć głową.

- Niby dlaczego? Bo już nie jesteś studentem? Bo po twardej lekcji realizmu, jakiej ci udzielił Charlie Cavanaugh, przestałeś ufać swoim naturalnym instynktom? A może dlatego, że straciłeś wspaniałą kobietę i nie jesteś pewien, czy jej duch byłby zadowolony, gdybyś znalazł sobie godną jej następczynię?

Hunter upuścił z hukiem na ziemię trzymaną skrzynkę.

- To świństwo - rzucił ze złością. - Wiesz, że Julia nie była taka.

- Wiem - najspokojniej odparował Riley. - Była dobra, szlachetna i uczciwa. Sandria pod wieloma Względami bardzo mi ją przypomina. Ale Julia nie żyje, Hunter. I nie sądzę, żeby twój pomysł spędzenia reszty życia w żałobie zyskał jej aprobatę. Od dawna chciałem ci powiedzieć, że najwyższy czas zapomnieć o tym, co było, i zacząć żyć od nowa.

Huntera dławiła złość, jednakże długi czas nie odpowiadał. Riley za wiele sobie pozwala, myślał. Nawet najlepszy przyjaciel nie ma prawa przekraczać pewnych granic. Jakim prawem ośmiela się krytykować sposób, w jaki oplakuje śmierć Julii? Co prawda...

Ku własnej irytacji, a nawet rozpacz, zdał sobie sprawę, iż jakąś częścią siebie zaczyna odsuwać tamte wspomnienia, odrzucać pustkę dotychczasowej egzystencji, odnajdując radość życia w czułych, tajemniczych oczach wdzięcznej, ciemnowłosej Sandrii Sutton. Uświadomił to sobie dziś rano, kiedy wydawało mu się, że ją stracił.

Po wyciągnięciu jej z wody wykonał wprawdzie wszystkie niezbędne czynności z precyzją ratownika, ale robił to w stanie jakiegoś lunatycznego odrętwienia. W ciągu tych paru chwil, nim odzyskała przytomność, miał uczucie, że coś po raz drugi w nim umiera. Tak samo czuł się wtedy, gdy otrzymał wiadomość o śmierci Julii. Julii, którą kochał.

Czy zakochał się w Sandrii Sutton? Nie, z pewnością nie. Nie miał złudzeń co do natury swoich uczuć. Sandria budziła w nim pożądanie; krew się w nim burzyła i uderzała mu do głowy, ilekroć czuł jej bliskość. Była mu oczywiście droga i za nic nie chciał jej utracić. Uczucia te jednak różniły się zasadniczo od tkliwej, niczym nie zmaconej miłości, jaka niegdyś łączyła jego i Julię.

Poczuł na sobie uważny wzrok Riley'a i zirytował się sam na siebie. Nie może mieć pretensji do przyjaciela, skoro sam manifestuje tak niejednoznaczne uczucia. Przybrał niedbałą pozę i z udanym rozbawieniem spytał:

- Nagadałeś się?

Riley jednak nie rezygnował.

- Nie ma rady, stary. Świat zwał ci się na głowę, ale życie toczy się dalej.

- Nie chciałbym podcinać ci skrzydeł, doktorze Freud, ale słyszałem już wszystko, i to wyłożone w znacznie bardziej uczonym języku, od innego lekarza, mogącego się pochwalić najwyższymi akademickimi tytułami.

- Zapewne - uśmiechnął się Riley, wzruszając ramionami. - Ale moje porady są bezpłatne.

Richie Cavanaugh wyglądał przez szerokie okna ojcowskiego gabinetu w głównym biurze Cavanaugh Laboratories. Firma zajmowała trzy górne piętra wielkiego waszyngtońskiego biurowca, wyposażonego we własne lądowisko dla helikopterów na dachu oraz podziemne pomieszczenia wypoczynkowe, obejmujące pływalnię i korty. Z okien rozpościerał się widok na pomnik Jeffersona.

Położony w najdroższej dzielnicy miasta budynek był oczywiście pilnie strzeżony, toteż Richie, który nosił na ciele świeże ślady przebytej bójkę z Garrettem. wciąż nie mógł się nadziwić, jakim cudem pozwolono mu Wsiąść do windy, choć napotkani urzędnicy Otwierali na jego widok usta i pospiesznie schodzili mu z drogi.

Odwrócił się od okna, słysząc, że otwierają się drzwi i ojciec wchodzi do gabinetu chwilę temu poprosił sekretarkę, by wywołała go telefonicznie z kortu i Charlie Cavanaugh nie wydawał się zachwycony tym, że przerwano mu grę. Rzuciwszy rakieta na biurko, opadł ciężko na skórzany fotel, ocierając końcem ręcznika spoconą, zaczerwienioną od wysiłku twarz.

- Dawno miałeś się zameldować - zganił syna bez wstępu. -
Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

Dumne podniecenie, jakim napawały Richie'ego jego niedawne wyczyny, natychmiast się rozwiało. Z trudem przełknął ślinę.

- Kazałeś mi odebrać Garrettowi ewentualne dowody przeciwko nam - zaczął, starając się mówić pewnym siebie głosem. - Mam je, papo. O mało mnie nie zabił, ale uszedłem z życiem, żeby ci je dostarczyć.

Charlie Cavanaugh obrzucił syna niechętnym spojrzeniem.

- Dlaczego jesteś taki posiniaczony? Zresztą, nie tłumacz się. Napewno znów palnąłeś jakiś głupstwo. I dlaczego kulejesz? - zakończył na widok podchodzącego do biurka syna.

- Ta dziennikarka od Garretta grzmotnęła mnie metalowym prętem w nogę.

- Wykończyłeś ich? - łagodniejszym tonem zapytał Charlie.

- Niestety, nie, papo - odparł potulnie, oblizując wyschnięte wargi. -I tak z trudem udało mi się zwać. Przysięgam.

- Niech cię diabli porwą, Richie! Kazałem ci raz na zawsze unieszkodliwić Garretta. Nie możemy żyć w stanie ciągłego zagrożenia.

- Nic nam nie robi - oświadczył Richie, starając się opanować drżenie głosu. - Miał tylko to - dodał, wyjmując z kieszeni koszuli antygazowy pojemnik i stawiając go przed ojcem na biurku.

Charles wziął pudełko do ręki i zaczął je oglądać ze wszystkich stron..

- Wiesz to od niego?
- Nie, ja...
- To jeden z pojemników pochodzących z oddziału w Wirginii - orzekł Charles po przestudiowaniu etykiety. - Rozumiesz, co to oznacza?
- Kena znów opadły wyrzuty sumienia.
- Ostrzegałem Melisę, żeby za niego nie wychodziła - mruknął pod nosem Charles. - Od początku wiedziałem, że facet nie ma za grosz charakteru.
- Co zamierzasz zrobić?
- Załatwię to. - Charles nacisnął przycisk i otworzył wieczko. Szybko podniósł głowę. - Richie, czy zaglądałeś do środka? - spytał cicho.
- Tylko raz, żeby sprawdzić, czy nie jest pusty - odparł Richie, zaniepokojony tonem głosu ojca. -A bo co?
- Ten model mieści sześć sztuk, a przyniosłeś mi tylko pięć - tłumaczył powoli jak dziecku. - Powiedz, że zgubiłeś jedną ampułkę, że się przypadkiem stłukła albo że wpadła do Potomaku - wyrzucał z siebie kolejne zdania coraz bardziej podnosząc głos, by na koniec grzmotnąć ręką w stół z taką siłą, że Richie i pojemnik podskoczyli w jednej chwili - tylko mi nie mów, że została u Garretta!
- I tak cud, że w ogóle zdołałem zwać - bronił się Richie rozpaczliwie. - Garrett i ta baba o mało mnie nie zatłukli, ja...
- Ale jeśli się nie mylę, to ty miałeś broń?

- Oczywiście, miałem ich zastrzelić, ale zanim zdążyłem, rzucili się na mnie...

Charles uciszył go ruchem ręki i z głośnym westchnieniem powiódł mięsistymi dłońmi po twarzy.

- Matko Święta, jakbym nie wiedział, czego mogę się po tobie spodziewać... A gdzie oni teraz są?

- Zostawiłem ich na wyspie. Do tej pory pewnie już zdążyli wrócić do miasta.

Charles wstał zza biurka i przeszedł przez pokój, zmierzając do wbudowanej w przeciwległą ścianę szafki z napojami. Odwrócony plecami do syna, napełnił szklanekę i jednym haustem wychylił podwójną porcję whisky.

- Masz ich odnaleźć, Richard - rzucił ostro po chwili. - To rozkaz. Użyj wszelkich środków, jakimi dysponuje nasze biuro w Fort Myers. Ja tymczasem rozmówię się z Kenem.

- A co potem? - nerwowo zapytał Richie, czując na plecach zimny pot.

Charles odwrócił się. Jego ciemne oczy patrzyły na syna zimno i bezlitośnie.

- Potem wsiądę w samolot i dołączę do ciebie, żeby zrobić to, co dawno powinienem był zrobić. Załatwię Garretta.

- Myślałem, papo...

- To nie myśl.

Zdając sobie sprawę, że Charles nigdy z własnej woli nie dopuści go do głosu, Richie postanowił powiedzieć swoje, nie zważając na ojcowskie obelgi.

- Jestem wykończony, papo. Nie chcę siedzieć w więzieniu, ale nie potrafię się zdobyć na to, czego ode mnie żadasz.

Ojciec, o dziwo, zamiast wybuchnąć gniewem, przyjął jego słowa z nieoczekiwanym spokojem. Wyrzwał przez okno i po dłuższym milczeniu ściszone głosem powiedział:

- Tam na dole, w parku, odbywała się wczoraj jakaś kombatancka parada. Patrzyłem, jak maszerowali. Było wśród nich wielu starych ludzi wbitych w dawne, przyciasne mundury. Ledwo powłóczyli nogami. Zauważyłem trochę mundurów z naszywkami brygady Lyle'a. Jak myślisz, czy któryś z nich mógł go znać?

Charles nachylił się do okna, przez które wpadały jasne promienie słońca i Richie'emu ciarki przeszły po plecach. Twarz ojca przypominała oświetloną od środka woskową maskę. Richie'ego ogarnęła nieokreślona trwoga.

- Kiedy twój brat zginął - ciągnął Charles- myślałem, że tego nie przeżyję. Twoją matkę jego śmierć przedwcześnie wpędziła do grobu. Tak się wspaniale zapowiadał...

Ojciec powoli odwrócił się od okna. Sprawiał wrażenie, jakby po raz pierwszy zobaczył syna. Ruszył wolno ku niemu. Richie skurczył się w sobie, pełen niepewności i lęku. Charles położył mu ręce na ramionach, a gdy ten chciał się odsunąć, przyciągnął go do siebie i schylił głowę, dotykając czołem jego czoła.

- Nie oddam władzom jedyne go syna, jaki mi jeszcze został - rzekł cicho. - W sprawie Isaacsona popełniłeś głupstwo, ale ja to załatwię. Musisz zaufać staremu ojcu. Rozumiesz, Richie? - Ręką, która wysunęła się szybko jak język żmii pogłaskał go po policzku. - Rozumiesz, synku?

- Papo...

Charles cofnął się, odzyskując z powrotem dawną pewność siebie.

- Rób tylko, co ci każe, i zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Niewielkie mieszkanko nad biurem w przystani miało cienkie ścianki, głośnie kanalizację i zamontowany w oknie klimatyzator, z którego buchał strumień arktycznego powietrza. Było umeblowane skromnie, ale wygodnie.

Sandria, Hunter i Riley siedzieli przy sosnowym stole jadalnym, pożywiali się przyniesionym z pobliskiej restauracji chińskim jedzeniem i układali plany na najbliższą przyszłość.

- Muszę się wreszcie skontaktować z szefem redakcji - mówiła Sandria, zanurzając widelec w porcji lo mein. - Ernie pewnie odchodzi od zmysłów.

- Powiedz mu, że jeszcze dziś wieczorem znajdziesz się w Miami.

- A to dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Bo chcę, żebyś stąd wyjechała - oświadczył. - W Miami nic ci nie grozi i będę o ciebie spokojny.

- Moim zdaniem, należałoby zawiadomić policję - wtrącił rzeczowo Riley, przełykając kęs mu gui gai pan.

- I co im powiem? - sceptycznie zauważył Hunter.

- Ten bydlak próbował cię zabić!

- Ja zeznam jedno, a on co innego. Mamy w rękach tylko jedną ampułkę, o której nie wiemy nawet, czy jest sfałszowana czy nie. A gdyby nawet była, Charlie zawsze może powiedzieć, że sfabrykowałem wynik badania, bo chciałem się na nim zemścić. Powiedzmy sobie szczerze, że w nowym konflikcie z Cavanaughem jestem mało wiarygodnym świadkiem oskarżenia - podsumował Hunter, wyrzucając opróżnioną torebkę sosu sojowego do kosza na śmieci. -Musiałbym mieć w ręku coś bardzo konkretnego.

Sandria i Riley porozumieli się wzrokiem. Znając konsekwencje poprzedniej próby pociągnięcia Cavanaugha do odpowiedzialności, rozumieli, rzecz jasna, dlaczego Hunter nie chce się znów pochopnie narażać na równie koszmarne przeżycia. Sandria z goryczą myślała o niesprawiedliwości, jaka go wówczas spotkała, ale ta świadomość budziła w niej nade wszystko opiekuńcze instynkty.

Hunter bywał na zmianę czuły albo bezwzględny, wielkoduszny albo władczy, nie zmieniało to jednak faktu, że była gotowa kochać go z całego serca, jeśli tylko jej na to pozwoli. Zresztą, tak czy owak nie zamierzała w najtrudniejszym momencie zostawiać go własnemu losowi.

- Nie jadę do żadnego Miami - oświadczyła, podnosząc głowę i ze spokojem wytrzymując niechętnie spojrzenie Huntera.

- Nie dyskutujemy na ten...

- Zostaję i już.

- Niczego nie zdołałaś, a jedynie utrudnisz mi sytuację.

- Nieprawda!

- Sandrio, Hunter ma rację - poparł przyjaciela Riley. - W Miami będziesz bezpieczniejsza.

- W ciągu dzisiejszego dnia - odparła, zwracając się do Riley - o mało nie utonąłam. Facet przykładł mi rewolwer do serca.

Cokolwiek jeszcze się zdarzy, jestem dobrze przygotowana na najgorsze; Jeśli ci się wydaje, że potrafię po tym wszystkim odjechać jak gdyby nigdy nic do Miami, to jesteś w błędzie. Mam zamiar obserwować do końca rozwój wydarzeń, a jeżeli spróbowacie wyłączyć mnie ze sprawy, nie zawaham się, tak jak przedtem, śledzić was na własną rękę.

- Pani reporter nadal na tropie sensacyjnej historii? - mruknął Hunter z nutą sarkazmu w głosie.

- Zgadza się - odparła, krzyżując ręce na piersiach. - A to, co ostatecznie napiszę, może się dla ciebie okazać dużą niespodzianką.

Hunter wytarł usta serwetką, zmiął ją w kulkę i rzucił na stół, po czym z demonstracyjnym cynizmem Zauważył:

-Z dwojga złego wolę już mieć cię blisko, niż gdybyś miała deptać mi po piętach jak szykujący się do ugryzienia szczeniak.

Sandria powstrzymała uśmiech, który cisnął się jej na wargi.

- Załatwione - rzekła uznając temat za wyczerpany, a przechodząc do rzeczy, dodała: - Potrzebujemy dowodów. Czy jesteś w stanie zdobyć następny pojemnik?

- Do wytwórni w Fort Myers nie mogę się nawet zbliżyć. Tamten pojemnik pochodził najprawdopodobniej z laboratorium w Wirginii. Cavanaugh byłby szalony, gdyby po procesie dotyczącym tutejszego oddziału odważył się nadać produkować w nim nieskuteczną odtrutkę.

Sandria sięgnęła po swój notatnik i zaczęła przerzucać strony.

- Mówiłeś, że tamten pojemnik dostałeś od Kena Braddocka. Skąd mógł go mieć?

- Pewnie właśnie z laboratorium w Wirginii. Jest położone najbliżej głównego biura firmy. A w dodatku -dodał z błyskiem w oku - blisko Waszyngtonu.

- Gdzie pracował Isaacson.

- I gdzie zginął - dokończył jej myśl Hunter. Jak myślisz, czy Braddock zgodzi się dostarczyć następny komplet strzykawek? - wtrącił Riley.

- Nie mam pojęcia. - Hunter pokręcił głową. - Cztery lata temu stchórzył jak skunks, gdy tylko Charlie mu pogroził. Teraz obiecywał, że się nie wycofa, jeżeli - tu Hunter sięgnął po leżącą na stole jedyną uratowaną ampułkę - jeżeli się okaże, że pojemnik, który mi przyniósł, zawiera rozcieńczoną substancję.

- A zatem najpierw należy zbadać, co jest w ampułce - orzekła Sandria. - Jeśli podejrzenia Braddocka się potwierdzą, trzeba będzie nawiązać z nim kontakt. Gdzie mógłbyś zbadać jej zawartość?

Hunter przygryzł w zamyśleniu wargi.

- Jest tu pewien biolog, mój dawny współpracownik, z którym nadal utrzymuję kontakty. Może zgodzi się udostępnić mi swoje laboratorium.

- Pojadę z tobą - zaofiarowała się Sandria.

- Nie - odparł. - Facet mieszka zaledwie dziesięć minut stąd. Ty pojedź tymczasem z Rileyem do hotelu po rzeczy. I przy okazji zadzwoń do redakcji.

- Dlaczego?

- Bo później może nie być na to czasu. Richie wraca już pewnie samolotem do swojego ojczulka. Nie zauważył braku jednej ampułki, ale stary na pewno to odkryje i domyśli się, kto ją ma. Co oznacza, że wkrótce zaczną nas szukać.

Wsunąwszy ampułkę do kieszeni, Hunter po krótkim szukaniu znalazł kluczyki do stojącej na parkingu furgonetki. Potem pochylił się, złożył na ustach Sandrii długi pocałunek, i na koniec pogłaskał ją po nosie.

- Tylko nie wplącz się w czasie mojej nieobecności w jakąś kabałę - przestrzegł. - Jeśli masz mieć kłopoty, to tylko ze mną.

- Hunter... - zaczęła niepewnie, zwilżając wargi. Kocham cię, kocham cię, myślała.

- Wiem, wiem. Bądź ostrożny.

Nie, nie to chciałam ci powiedzieć. Ale Hunter był już za drzwiami i zbiegał po schodach.

Jazda do hotelu nadbrzeżną autostradą nie trwała długo. Odbyli ją w milczeniu. Riley prowadził jej wynajęty samochód, a Sandria siedziała obok z zaciśniętymi na kolanach dłońmi, nie widząc niemal przemykających za oknem widoków morza, pretensjonalnych sklepów i hoteli. Z wysiłkiem rozluźniła palce. Dopiero teraz, po przekonaniu Huntera, żeby pozwolił jej zostać, zaczynała w pełni zdawać sobie sprawę z rozmiarów niebezpieczeństwa.

Po przyjeździe na miejsce zabrała się pospiesznie do pakowania rzeczy. Robiła to w obecności Rileya, który nie chciał jej puścić samej nawet do hotelowego pokoju. Miała uczucie, jakby od jej ostatniego pobytu tutaj minął wiek i jakaś całkiem inna osoba układała wówczas naiwne plany usidlenia Huntera Garretta. W ciągu krótkich paru dni zdążyła się zakochać i spojrzeć w twarz śmierci. Odmienił się cały sens jej życia.

Oddała w recepcji klucze. W hotelu nikt ich nie zaczepił ani o nic nie pytał. Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, trochę odetchnęła i w powrotnej drodze poprzednie napięcie zaczęło stopniowo ustępować.

Co prawda rozmowa z redaktorem też nie była łatwa. Zaczął od sakramentalnego:

- Gdzie się podziewasz?
- Prowadzę dochodzenie, które mi zleciłeś - odparła, próbując wysondować, w jakim jest nastroju.

- Nie wykręcaj się byle czym. Jesteś w końcu w Fort Myers, a nie w australijskim buszu. Dlaczego się nie odzywałaś?

- Byłam na wyspie. Garrett ma tam dom letniskowy. Spędziliśmy razem kilka dni.

- Zgodził się rozmawiać? — krzyknął ucieszony. Nie skończyło się na rozmowie, pomyślała. Dobrze, że Ernie nie widzi, jak się zaczerwieniła.

- Wiele się dowiedziałam.

- W sprawie Isaacsona?

- Tak sędzę.

- Doskonale. Policja waszyngtońska jest pewna, że został zamordowany. Wracaj natychmiast. Zastanowimy się razem z Hawthornem, jak tę sprawę ruszyć.

- Nie mogę.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Co to znaczy, nie mogę?

- Posłuchaj, Ernie, tu już nie chodzi tylko o opinię Garretta na temat śmierci Isaacsona, lecz o coś więcej. Sprawy poszły dalej... - Urwała, zastanawiając się, jaką część prawdy może wyjawic.

- Jakie sprawy?

- Nie mogę w tej chwili więcej mówić.

- Coś ci grozi?

- Chyba nie — próbowała się wywinąć, ale uświadomiwszy sobie, iż to go nie zadowoli, dodała: - Przynajmniej w tej chwili. Z tego, co wykryłam, może wyniknąć bardzo paskudna historia...

- W jakim sensie? - rzucił szef, wyraźnie zaniepokojony.

- Powiedz mi, Ernie, czy gdyby któregoś z reporterów spotkały pogróżki, gazeta stanęłaby w jego obronie?

- Posłuchaj, panienko - odezwał się Ernie stanowczym, ojcowskim tonem. - Nie mamy do czynienia z akcją typu Watergate. Jeśli wpadłaś w tarapaty, to zabieraj swoją słodką, niedoświadczoną pupę w troki i natychmiast wracaj.

- Dziękuję za troskliwość, Ernie, ale...

- Troskliwość, też mi coś! Czy wiesz, ile pozwów ma obecnie dział prawniczy naszej gazety? Od roku dosłownie nie wychodzimy z sądu. Jeśli tak dalej pójdzie, Jessup każe nam sprawdzać wszystko po dziesięć razy, z drobnymi ogłoszeniami włącznie. Czekam na twój powrót oraz jasny i prosty reportaż, po który cię posłałem.

- Nie mogę.

- Sandrio, ja nie żartuję...

- Muszę już iść. Zadzwoń - przyrzekła i nie słuchając ostrych protestów Ernie'ego, szybko odłożyła słuchawkę.

Siedziała teraz przy stole i przeglądała notatki, zastanawiając się, czy w ogóle będzie miała gdzie wydrukować swój hipotetyczny reportaż, kiedy w mieszkaniu nad biurem przystani zjawił się Hunter. Z nieprzeniknioną twarzą postawił kapsułkę na stole.

- I co? Co w niej jest? - rzuciła z nadzieją.

- Mieszanina cytrynianu atropiny i chlorku pralidoksyminy.

- Czyli...

- Dokładnie to, co być powinno - odparł, patrząc przed siebie bezradnym, nieruchomym spojrzeniem. - Nic nie można temu cholerstwu zarzucić.

- Niestety, pana Braddocka nie ma w tej chwili w biurze. Czy mam mu coś przekazać?

Hunter potrząsnął głową, patrząc na Sandrię i Rileya, którzy siedzieli przy stole, czekając na wynik rozmowy. „Nie wrócił” - wysylabizował bezgłośnie, po czym podziękował na głos sekretarce i odłożył słuchawkę.

- Facet ma krótszy dzień pracy niż bankierzy -mruknął niezadowolony.

- Czy myślisz, że to zły znak? - spytała Sandria.

- To znaczy, czy podejrzewam, że Cavanaugh domyślił się, skąd pochodzi pojemnik i Ken Braddock jest w opałach? Bo ja wiem... - wzruszył ramionami Hunter. - Nie mam pojęcia.

- A nie można zadzwonić do niego do domu? -podsunął Riley.

Niestety, w książce telefonicznej nie znaleźli Kena Braddocka.

- Ken podał mi drugi numer, ale na wizytówce, którą zostawiłem w domu - westchnął Hunter. - Nie ma rady. Jeśli mam go namówić, żeby mi wydostał następny pojemnik, muszę pojechać do domu i znaleźć ten numer.

- Pojadę z tobą - zaproponował Riley.

- Nie, dziękuję. Może się zdarzyć coś, w co wolałbym cię nie wciągać. Zresztą będę się czuł spokojniejszy, jeśli Sandria nie zostanie sama.

- Dam sobie radę - zaprotestowała.

- Wcale temu nie przeczę - odparł Hunter z bladym uśmiechem.
- Powiedziałem tylko, że to ja będę się czuł spokojniejszy. A poza tym potrafię się poruszać po własnym domu nie zapalając światła i w pięć minut już mnie tam nie będzie.

Tak więc Hunter po raz drugi tego dnia wyruszał dokądś bez niej. To nie w porządku, że znów się rozstają, pomyślała Sandria.

Odprawiała go do samochodu. Promienie zachodzącego słońca rzucały przed nimi długie cienie, a odbite od wody różowo-srebrne refleksy światła osnuwały tropikalnym czarem nieregularny fronton przystani.

Kiedy podeszli do furgonetki, Hunter przyciągnął Sandrię do siebie i szybko pocałował. Potem spojrzał jej w twarz i coś musiało go zaniepokoić, bo zmarszczył brwi i pociągnął powiewający na wietrze kosmyk jej włosów.

- Zanadto się przejmujesz - powiedział.

- A ty za mało.

- Sandrio, słyszałaś, co mówił Richie Cavanaugh. Nie zabił Isaacsona naumyślnie. To był przypadek. Nie jest urodzonym mordercą.

- A jego ojciec?

- Charles? Musiałby być szalony, żeby robić na nas zamach, wiedząc, że policja na pewno doszukałaby się związku między twoim dochodzeniem a tym, o co oskarżałem go cztery lata temu.

- A jeśli jest szalony? - nie ustępowała. - Możemy i tak wylądować w kostnicy.

Hunter tkliwym gestem pogłaskał ją po głowie.

- Nie damy się - powiedział.

- Hunter...

- Wiem - roześmiał się czule. - Mam uważać na siebie.

- Nie, nie to.

- Nie? - zdziwił się.-Więc co?

- Może nie powinnam tego mówić, ale myślę, że się w tobie zakochałam.

Uśmiech znikł mu momentalnie z twarzy, a oczy spoważniały.

- Sandrio... - Pokręcił głową; nie bardzo wiedziała, czy na znak niedowierzania, czy odrzucając jej uczucie. - Nie powinnaś...

- Tylu rzeczy nie powinnam, a robię - zaprotestowała gwałtownie. - Każdy ci to powie. Moja rodzina, mój szef, przyjaciele... - Urwała, czując, że mówi od rzeczy, a Hunter próbował zapewne dać jej delikatną odprawę. W jego oczach dostrzegła czujność człowieka, który zastanawia się, jak najskuteczniej unieszkodliwić uzbrojonego napastnika. Było to niemal ponad jej siły.

- Nie chcesz się ze mną wiązać - szepnęła. - Odpychasz mnie, bo należysz do mężczyzn, którzy na zawsze pozostają wierni jednej kobiecie, i dla ciebie tą kobietą była twoja żona. O to mniej więcej chodzi, czy tak?

- Otóż nie - powiedział, spoglądając jej głęboko w oczy i podnosząc jej rękę do ust. - Jesteś mi bardzo droga, Sandrio. Nie domyślasz się nawet jak bardzo. Uważam tylko, że nie jest to odpowiedni moment na wyznawanie sobie dozgonnych uczuć.

Znajdujemy się teraz oboje w trudnej i denerwującej sytuacji. Nie chcę, żebyś pod wpływem okoliczności powiedziała coś, czego mogłabyś potem żałować.

Rozgniewał ją rzeczowy, praktyczny ton, jakim to powiedział.

- Nie mam zwyczaju oświadczać się mężczyznom bez zastanowienia.

- Wcale tak nie myślę - odparł, podnosząc jej opuszczony podbródek. - Gdy się to wszystko skończy, usiądziemy spokojnie i porozmawiamy. Zgadzasz się, kochanie?

Kiwnęła głową i bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć. Potem odwróciła się, udając zainteresowanie nagłym rykiem silnika na sąsiedniej ulicy. Hunter wsiadł do furgonetki i z piskiem opon opuścił parking. Pomachała mu na pożegnanie. W chwilę później zniknął jej z oczu.

W roztargnieniu manewrował pomiędzy sunącymi gęsto nadbrzeżną szosą wynajętymi autami turystów i amatorów wieczornych rozrywek.

„Myślę, że się w tobie zakochałam”.

Do diabła! Czy musiała to mówić? Czy nie mogło zostać tak, jak było? Ale nie, musiała to powiedzieć, z tą swoją lekką zadyszka w głosie, podnosząc ku niemu zapłonioną twarz. Twarz tak śliczną, że serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Z największym trudem powstrzymał się, by nie przytulić jej do siebie ze wszystkich sił. Zapomnieć o tym, co było kiedyś, o Cavanaughu i wszystkich okropnościach.

Świat zwałił ci się na głowę, powiedział któregoś dnia Riley, ale życie toczy się dalej.

Riley, jak zwykle, miał oczywiście rację.

Hunter zdawał sobie sprawę, że tylko cienką nitką łączy go jeszcze z przeszłością i zaczynał rozumieć, iż to zapomnienie nie ma nic wspólnego z uczuciami do Julii. Kochał ją bardzo, ale umarła i nie przywróci jej życia. Otaczająca rzeczywistość coraz natrętniej narzucała się jego uwadze. Wszystkie uroki Wyspy Eryka blakły w wyobraźni Huntera wobec intensywności uczuć i przeżyć, jakich dostarczało mu obcowanie z Sandrią. To było wręcz irytujące. Czy po to męczył się tyle czasu, by się przekonać, że jest równie bezbronny...

Ale skoro tak, to dlaczego jej tego nie powiedział?

Wybrał milczenie, bo bał się swoim wyznaniem otworzyć drogę nieuchronnemu cierpieniu. Miłość i ból są z sobą nierozzerwalnie związane, a on dość już przeżył bólu. Dlatego ją odepchnął i choć starał się to zrobić możliwie najdelikatniej, to wiedział przecież, że i tak ją zrani.

Co ma jej do zaofiarowania?

Nic.

Jego życie legło w gruzach, a obecna sytuacja kryje w sobie nieobliczalne konsekwencje. Zrobiło mu się zimno ze strachu na myśl o zagrażającym Sandrii niebezpieczeństwie. Powinna wracać do Miami, nawet gdyby musiał ją w tym celu związać i zakneblować.

Młody chłopak w czerwonym, sportowym samochodzie zajechał mu drogę, zmuszając Huntera do nagłego hamowania i powrotu do

rzeczywistości. Chłopak popruł przed siebie z rykiem silnika. Uważaj stary, upomniał się w duchu Hunter W twoim wieku należałoby mieć więcej rozsądku.

Zdrowy rozsądek był mu w obecnej chwili potrzebny jak mało kiedy. Poprzednim razem nie docenił Cavanaugha. Nie może sobie pozwolić na powtarzanie dawnych błędów. Zaraz po powrocie przekona Sandrię, że jej powrót do Miami jest konieczny.

Na wypadek, gdyby jego dom był śledzony, zaparkował samochód na rogu ulicy, dalszą zaś drogę przebył piechotą. Stapał cicho, kryjąc się w cieniu, omijając rzucane przez latarnie kręgi światła.

Upał zelżał pod wieczór, a w powietrzu unosiły się zmieszane zapachy świeżo skoszonej trawy, pieczonych na rożnie hamburgerów, słabej woni poruszanych zbłąkanym podmuchem wiatru róż w ogrodzie sąsiada. Okoliczni mieszkańcy poznikali we wnętrzach domów, zasiadając do kolacji albo przed telewizorami. Po śmierci Eryka i Julii Hunter, szukając spokoju, zamieszkał w sennej dzielnicy emerytów i domatorów. Dziś wydała mu się okropnie martwa i ponura.

Jego własny dom też nie wyglądał najlepiej, dając widome świadectwo totalnej abnegacji właściciela. Wołał wprost o odmalowanie, zaś w ogrodzie bujnie pieniały się chwasty. Zabawne, ale dotychczas nie dostrzegał tego oczywistego zaniedbania. Obiecał sobie w duchu zająć się domem i ogrodem, jeśli tylko wyjdzie cało z potyczki z Charlesem Cavanaughem.

W pobliżu domu nie było widać podejrzanych samochodów ani żywego ducha. Lepiej jednak niepotrzebnie nie ryzykować i przedostać się do domu ogródkami na tyłach sąsiednich posesji. Nie było mu przyjemnie wdzierać się po nocy na cudzy teren, ale wzgląd na bezpieczeństwo kazał mu odrzucić wszelkie skrupuły.

Wszedł do domu kuchennymi drzwiami, Mimo ciemności rozpoznał ślady wizyty nieproszonego gościa. Ktoś - zapewne Richie Cavanaugh — dokonał dosyć powierzchownej rewizji.

Chwała Bogu, że odruchowo, właściwie bez powodu, ukrył wizytówkę Kena Braddocka. Nadal spoczywała tam, gdzie ją zostawił - w stojącej na jednej z półek sporej muszli.

Już miał wychodzić, gdy pod frontowymi drzwiami dostrzegł bielejący na podłodze arkusz papieru. W świetle latarki okazało się, że są to aż dwie kartki. Formularz z wczorajszą datą informował o nadejściu paczki, którą pod nieobecność adresata listonosz zostawił u sąsiadów, państwa MacAllisterów, a pod formularzem leżał naskrobany znanym Hunterowi, pajęczym pismem Maggie MacAllister liścik następującej treści:

*„**Hunt,***

mam nadzieję, że wyprawa się udała. Paczka jest u nas. Możemy ją oddać w zamian za zaproszenie na świeżą belonę albo, jeśli ryby nie brały, na flądrę od Bartociego. Wino przyniesiemy sami. Zajrzyj, jak tylko wrócisz. Ściskam Cię,

Maggie

RS. Mam nadzieję, że tym razem nie zapomniawsz podlać kwiatów".

Uśmiechnął się. Mac i Maggie byli jedynymi sąsiadami, z którymi nawiązał bliższe kontakty, głównie dzięki uporowi, z jakim ponawiali przyjazne gesty, które początkowo uparcie odrzucał. Była to para emerytowanych nauczycieli, sympatycznych ludzi i życzliwych sąsiadów:

Nie spodziewał się znikąd paczki. Postanowił jednak, że zajrzy do MacAllisterów, a przy okazji spyta, czy nie zauważyli jakichś obcych kręcących się koło jego domu.

W kuchni paliło się światło. Maggię nalewała do szklanek mrożoną herbatę. Kiedy Hunter zapukał do drzwi, zaskoczona podniosła głowę, ale na jego widok jej twarz się rozpromieniła.

- To ty, Hunt? Czemu zakradasz się po nocy? - spytała, wpuszczając go do środka. - Już wróciłeś? Tak szybko?

Pomarszczona twarz Maggie zdradzała ślady dawnej urody. Hunter uśmiechnął się na powitanie.

- Niezupełnie, Musiałem przyjechać po coś, czego zapomniałem. I znalazłem twój liścik - powiedział.

- Ach, prawda, paczka. Zaraz ją przyniosę.

To mówiąc, wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie w głębokim fotelu siedział przed telewizorem przygłuchy Mac, oglądając swoją ulubioną grę Va Banque. Telewizor był włączony na cały regulator, a na małym stoliku stały resztki kolacji.

Mac powitał Huntera skinieniem głowy.

- Złowiłeś coś na wyspie?- spytał.

Więcej, niż mógłbyś się spodziewać, pomyślał Hunter, a na głos powiedział:

- Ot, parę wargaczy. Nie ma czego zazdrościć, Mac.

- Nie, baranie jeden! - krzyknął staruszek w kierunku telewizora, zanosząc się szyderczym śmiechem.

- Co można powiedzieć o Kanale Panamskim? Idiota, nie potrafi nawet zapamiętać kategorii!

- Nie zauważyłeś przypadkiem, czy ktoś nie kręcił się koło mojego domu w ostatnich dniach? - zapytał Hunter głośno.

- Nie. A bo co? Kim jest arcybiskup Canterbury?

- zawołał, uprzedzając uczestnika gry.

- Tak się pytam, bo miałem wrażenie, że ktoś próbował wyważyć okno od frontu - wyjaśnił Hunter. -Może jakieś dzieciaki?

- Skąd oni biorą tych prostaków? - irytował się Mac. - Kretyn! Co to jest Przylądek Dobrej Nadziei? -A ponieważ akurat włączyły się reklamy, odwrócił się z powrotem do Huntera. - Zadzwonisz na policję?

- Nie, nic właściwie się nie stało.

- Jeśli tylko usłyszę coś podejrzanego, migiem zawołam policję. Przydałoby się porządnie przetrzepać skórę tym bachorom.

- Dzięki, Mac - odparł Hunter, myśląc sobie w duchu, że staruszek nic by nie usłyszał, nawet gdyby wszyscy uczniowie z pobliskiej szkoły przemaszerowali szeregiem przez jego salon.

Tymczasem wróciła Maggie, niosąc paczkę wielkości teczki. W pokoju było za ciemno, by odczytać nadawcę, więc Hunter wrócił z Maggie do kuchni, zostawiając przy telewizorze wykrzykującego Odpowiedzi Maca.

- Napijesz się herbaty? - spytała Maggie. - Właśnie zaparzyłam.

- Chętnie - odparł machinalnie, biorąc od Maggie paczkę i siadając z nią przy kuchennym stole.

Spojrzał na nazwisko nadawcy i z podniecenia zaschło mu w gardle. Paczka przysłała z Waszyngtonu, a wysłał ją Leon Isaacson. Musi natychmiast zobaczyć, co jest w środku. Zrywał w pośpiechu szare opakowanie, prawie zapominając o obecności Maggie, która postawiła przed nim szklankę herbaty. Czyżby to były...? Niemożliwe. A może...?

Otworzył tekturowe pudełko. Plik kartek. Odręczne notatki pisane fachowym, aż nazbyt dobrze znanym Hunterowi językiem. A pod spodem... pochodzący z laboratoriów Charliego Cavanaugha pojemnik ze strzykawkami.

Hunter głośno wypuścił powietrze z piersi i wziął pojemnik do ręki. Sądząc po wadze, zawierał pełen zestaw antygazowych szczepionek. Do pudełka przyklejony był krótki list:

„H.

Jeśli załączone wyniki moich ostatnich badań pokrywają się z tym, co odkryłeś cztery lata temu, oznacza to, że nieoceniony Charles nadal robi swoje psoty. Zastanów się i zadzwoń. Musimy to omówić.

Jeśli wspólnie przypuścimy atak, trudniej będzie mu się wywinąć, nie sądzisz?

I."

List był pisany w dniu śmierci Isaacsona. Hunter półprzytomnie włożył wszystko z powrotem do kartonu, po czym zapatrzył się w przestrzeń.

Nie musi już prosić Kena Braddocka o nowy pojemnik ani martwić się o to, czy władze potraktują go poważnie, gdy ponownie spróbuje oskarżyć Cavanaugha. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. A jednak to prawda! Wyniki przeprowadzonych przez Isaacsona testów osiągną Charlesa zza grobu.

Z zamyślenia wyrwało go adresowane do telewizora głośne pomstowanie Maca. Stojąca obok Maggie patrzyła na Huntera zatroskanym wzrokiem.

- Boże drogi! - odezwała się na koniec. - Zbladłeś jak papier. Jakieś, nie daj Boże, złe wiadomości?

Do głowy uderzyła mu taka radość, że nie potrafił jej opanować.

- Maggie! To, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, jest wprost nie do wiary. Godzinę temu cudowna kobieta powiedziała, że mnie kocha. A teraz to... - Potrząsnął głową jak człowiek budzący się ze snu. - Nie tylko nic złego, ale odwrotnie. To chyba jeden z najwspanialszych dni mojego życia.

- To... świetnie. Gratuluję, Hunt — bąkała zdezorientowana, lecz niezmiennie życzliwa Maggie.

W sąsiednim pokoju Mac wydał głośny pomruk niezadowolenia, ponieważ nastąpiła przerwa w audycji. Ku irytacji starszego pana, słabo poinformowany spiker lokalnej stacji przekazywał ważną wiadomość z ostatniej chwili.

- Lepiej dowiedz się najpierw, o co chodzi, zamiast zawracać głowę! - huknął rozjuszony Mac.

Hunter wstał od stołu, rzucając Maggie żartobliwie współczujące spojrzenie. Zgarnął otrzymaną od Isaacsona paczkę i już miał wychodzić, kiedy do jego świadomości dotarły słowa spikera. Ściągnąwszy brwi, zwrócił wolno głowę w kierunku tonącego w półmroku salonu.

W tym momencie studio telewizyjne połączyło się z reporterem nadającym relację z miejsca zdarzenia. Za jego plecami buchały płomienie, strażacy biegali z sikawkami, gasząc dopalającą się ruinę budynku.

„...ale będziemy państwa informować na bieżąco o wszystkim, czego się dowiemy na temat tego strasznego pożaru. W obecnej chwili wiemy jedynie, że na skutek wybuchu w przystani śmierć poniosła jedna osoba, rannych zaś odwieziono do najbliższego szpitala. Ogień, jak się wydaje, został już opanowany, jednakże zdaniem obecnego tu komendanta straży pożarnej, pana Avery'ego, budynek uległ całkowitemu zniszczeniu, ogień strawił też kilka stojących w basenie portowym łodzi, które zapaliły się od wyrzuconych w powietrze odłamków płonącego budynku. Eksperci badają już na miejscu

przyczyny pożaru i wkrótce będziemy w stanie podać państwu pełniejszy komunikat..."

Hunter poczuł, że robi mu się niedobrze. Oparł się całym ciałem o framugę drzwi i wsłuchiwał jak zahipnotyzowany w płynący z telewizora głos. Potem skłębione światło płomieni zniknęło, komunikat się skończył i telewizja zaczęła ponownie nadawać bieżący program.

- Gdzie to było, Mac? - z trudem wyjąkał Hunter.

- Co? - nie dosłyszał staruszek.

- Gdzie... jest ta przystań, w której był wybuch? - powtórzył Hunter, choć w głębi serca znał już odpowiedź. Wiedział, że...

- Gdzieś na południe od nas - odparł Mac. - Nie bardzo wiem, ale chyba to jedna z tych przystani wzdłuż głównej plaży. Dlaczego pytasz?

- Co ci jest, Hunt? - zatroskała się Maggie. - Dobrze się czujesz?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Ledwo oddychał. Kiwnął tylko głową na pożegnanie, cofnął się do kuchni z największym trudem dotarł do wyjściowych drzwi.

Pierwszy szok minął podczas biegu do furgonetki. Krew pulsowała mu w skroniach, a umysł miał sparaliżowany strachem. Włączył radio, przerzucając się gorączkowo na różne stacje w nadziei, że dowie się czegoś więcej o wypadku. Na próżno. Trzasnął bezradnie pięścią w deskę rozdzielczą.

- Proszę... proszę... proszę... - szeptał raz po raz zmartwiałyimi wargami.

Pędząc zygzakiem wśród sznurów samochodów, próbował myśleć racjonalnie. Może wcale nie chodzi o przystań Riley'a? To zresztą niemożliwe. Przecież wyjechał stamtąd zaledwie dwie godziny temu.

Mimo tych wysiłków, dwie myśli uporczywie kołatały mu się po głowie: że zostawił Sandrię na łasce Cayanauga oraz że jego najlepszego przyjaciela spotkało nieszczęście z jego, Huntera, winy.

Resztką nadziei na to, iż jego obawy są bezpodstawne, ostatecznie się rozwiła, kiedy skręciwszy w biegnący wzdłuż plaży ostatni odcinek szosy zobaczył na niebie ognistą łunę. W oddali wyły syreny, a posuwające się w żółtym tempie samochody doprowadzały go do rozpacz. Wreszcie wpadł z piskiem opon na parking, włożył paczkę Isaacsona do skrytki pod siedzeniem kierowcy, wyskoczył z samochodu i rzucił się pędem ku przystani.

Wokół panował chaos, Poza odgradzającą miejsce wypadku policyjną taśmą kłębił się zbity tłum turystów, którzy niechętnie ustępowali mu z drogi. Ogień barwił czerwienią twarze gapiów, nadając im wygląd istot nie z tego świata, obserwujących szatański taniec.

Hunter dał nura pod szeroką, broniącą widzom dostępu taśmę i został natychmiast zatrzymany przez policjanta.

- Tam była moja rodzina - wyjaśnił ostatkiem tchu. - Proszę mi powiedzieć, do jakiego szpitala zostali odwiezieni.

- Niech pan tu zaczeka - odparł policjant. - Zaraz się dowiem.

Kiwnął w roztargnieniu głową. To, co zobaczył, było przerażające. Nawet z tej odległości czuło się nieznośny żar. Strażacy najwyraźniej starali się zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, przede wszystkim W stronę stacji benzynowej.

Hunterowi było obojętne, czy wszystkie łodzie razem z okolicznymi domami wylecą w powietrze. Widział tylko główny budynek przystani, a raczej to, co po nim zostało: kłębowisko zwęglonych belek, odłamków szkła i skrzyconego metalu - dymiący, rozpalony grobowiec: Płomienie nadal strzelały w niebo, ale ściany i dach albo same runęły, albo zostały zwalone dla zdławienia buchającego z wnętrza pożaru. Paru strażaków dogaszało wypaloną ruinę.

Mieszkanie na piętrze... przestało istnieć. Pożarte przez zachłanne płomienie zniknęło, jakby go nigdy nie było.

Hunter ruszył przed siebie niczym lunatyk. Musi wiedzieć. Zawadził stopą o jakiś przedmiot i mrugając załzawionymi oczami, schylił się po niego. W ciemnościach prawie nic nie widział i pomyślał, że to pewnie jakiś śmieć, ale przyjrząwszy mu się bliżej, zmartwiał. Przedmiot był mu świetnie znany.

Na ziemi leżał pamiątnik Sandrii.

Podniósł jeszcze ciepły, lekko dymiący zeszyt. Kartki były osmalone i wilgotne. Narzucająca się na widok nadpalonego pamiątnika myśl poraziła mu serce i rozum.

„Chyba się w tobie zakochałam”.

Sandria... - wyszeptał ochryple, a nocny wiatr powtórzył echem to słowo. Od gryzącego dymu oczy Huntera napełniły się łzami i widział już tylko czarno-czerwone plamy.

Jadąc do wskazanego mu przez policjanta szpitala, stracił wiele cennego czasu. Na miejscu okazało się, że z powodu korków na autostradzie ambulans skierowano pod inny adres. Szalał z niecierpliwości, kiedy dowiadywano się, dokąd w końcu dojechał.

Minęła wieczność, nim udało mu się dotrzeć do właściwego szpitala. Wpadł do poczekalni izby przyjęć, w której roilo się od ludzi: lekarzy, pielęgniarek, policjantów, rodzin pacjentów. W piątkowy wieczór poczekalnia była wypełniona po brzegi. Nagle stanął jak wryty. Parę kroków dalej dostrzegł rodziców Riley'a zajętych poważną rozmową z młodym lekarzem. W pewnym momencie starsi państwo milcząco pochyliłi głowy, pani Kincaid rozplakała się, a mąż otoczył ją ramieniem.

Na widok ich bólu Huntera opuściły siły. Ogarnął go straszliwy żal. Na uginających się nogach wycofał się z poczekalni. Musi nad sobą zapanować. W obecnym stanie nie potrafi spojrzeć rodzicom Riley'a w oczy, zwłaszcza jeżeli usłyszeli to, co można było wywnioskować, z ich zachowania.

Schronił się w najbliższym pomieszczeniu, którego drzwi były otwarte, trafiając, jak się szybko zorientował, do ekumenicznej kaplicy szpitalnej. W mieszczącym zaledwie kilkanaście ławek sanktuarium było pusto i cicho. Przez niewielkie witrażowe okno z kolorowymi rombami szkła sączyło się nikiłe światło. Hunter stanął

przy drzwiach i położył ręce na chłodnej boazerii Przywarł czołem do ściany, starając się głęboko oddychać.

Po chwili zdał sobie sprawę, iż modli się, powtarzając w myślach rozpaczliwą, gorączkową litanie: „Boże, nie pozwól, żeby tak było. Proszę Cię, nie daj im umrzeć. Uratuj Rileyę. Uratuj Sandrię. Boże, nie pozwól jej... Zrobię wszystko, ale pozwól im żyć... Proszę...”

Gniew i zwątpienie otrzeźwiły go jak zimny prysznic. Jakim prawem ośmiela się o cokolwiek prosić Boga? On, który przez ostatnich kilka lat nieustannie Go przeklinał! On, który popełnił tyle błędów i pomyłek nie do darowania! Głupcy i niedowiarki nie mogą liczyć na Jego zmiłowanie. I teraz Cavanaugh użył przeciw niemu idealnie wybranej broni.

„To chyba jeden z najwspanialszych dni mojego życia”.

Wypowiedziane tak niedawno słowa brzmiały jak gryząca ironia, jak okrutny, ponury żart. Od tamtej rozmowy z Maggie jego życie znów rozsypało się w gruzy.

„Myślę, że się w tobie zakochałam”.

Słyszał jej głos tak wyraźnie, jakby stała obok i mówiła mu wprost do ucha. Udręczona wyobraźnia podsuwała mu obraz jej słodkiej, pełnej powagi twarzyczki, wpatrzonej w niego z miłością i ufnością, szczerą i otwartą, podczas gdy on... gdy on...

Kolejna fala lęku ścisnęła mu serce. Zacisnął powieki, powstrzymując narastające w krtani łkanie. Dlaczego znowu naraził siebie na straszne cierpienie? Cierpienie, które już raz przeżył?

Znów zostaje sam w pustym i zimnym świecie. Wróci za chwilę do izby przyjęć, gdzie opanowany, obojętny lekarz przekaze mu z wyrazami zawodowego współczucia wiadomość, że jego życie ostatecznie straciło sens.

Otworzył oczy i zobaczył czubki swych poczerwiałych od sadzy sportowych butów, których brudne ślady znaczyły pokrytą czerwonym chodnikiem podłogę. Poczul się nie na miejscu w tchnącej czystością i spokojem kaplicy, w przybytku nadziei, której nie bylo w jego sercu.

Oderwał się od ściany, próbując nad sobą zapanować. Dobiegł go cichy dźwięk, coś między szlochem a westchnieniem. Nie był w kaplicy sam. Dopiero teraz zobaczył siedzącą w jednej z pierwszych ławek skuloną, kobiecą postać. Kobieta podniosła głowę i niecierpliwym gestem odgarnęła włosy. Poznał ten gest i serce w radosnym uniesieniu skoczyło mu do gardła.

- Sandria... Boże, to Sandria... - Chciał coś powiedzieć, zawołać, ale z wrażenie nie mógł wydobyć głosu.

Ona jednak coś usłyszała. Odwróciła głowę ku drzwiom i szeroko otworzyła oczy. Kiedy podniosła się z ławki, oblało ją wpadające przez kolorowe szyby światło, upodabniając ją do połyskującej barwami diamentu zjawy.

- Hunter - szepnęła.

Oczami ślepcy, któremu nagle cudem przywrócono wzrok, wodził po niej spojrzeniem od stóp do głów, Wypatrując ran. Była blada, pobrudzona sadzą, potargane włosy opadały jej na ramiona -

tyle zdążył zarejestrować i w tej samej chwili już trzymał ją w ramionach, drżącymi z radości rękami niezdarnie dotykał jej ciała, upewniając się gorączkowo, że to prawda, że straszna zhora pozbawionej radości przyszłości rozplynęła się bez śladu.

Najchętniej obejmowałby ją w ten sposób do końca świata, z twarzą wtuloną w jej szyję, wdychając zapach przesyconego dymem żywego ciała. Ona wyrzucała z siebie gorączkowo jakieś nieskoordynowane wyrazy.

- Cicho, cicho - szeptał, całując przysypane sadzą włosy. - To ja, Sandrio, to ja. Jestem z tobą.

Ujął jej twarz w obie dłonie: Miała wilgotne oczy, na rzęsach połyskiwały kropelki łez. Dotknął ustami jej drżących warg, składając na nich delikatny pocałunek, w którym tkliwość mieszała się z namiętnością. Z wolna wypełniała go łagodna czułość, wypędzając z duszy resztki wewnętrznego chłodu. Sandria wspięła się na palce, odwzajemniając gorący pocałunek.

- Jesteś naprawdę cała i zdrowa? - zapytał na koniec, wciąż nie wierząc własnym oczom. Jednocześnie zauważył bandaż na jej ramieniu.

- To tylko drobne oparzenie - odparła - ale Riley Urwała, nie mogąc skończyć zdania.

Hunter gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Powiedz mi wszystko - poprosił.

- Po twoim wyjeździe Riley zaproponował kolację u McDonalda. Wychodziliśmy właśnie z przystani. Riley żartował ze

swoich kucharskich umiejętności i wtedy nagle... - Twarz Sandrii zadrgała i po osmolonych policzkach popłynęły strumyki łez. - Nagle rozpętało się piekło... Rzuciło mnie na ziemię, a kiedy podniosłam głowę, wszędzie szalał ogień. W powietrze wylatywały płonące odłamki, spadały mi na ubranie, we włosy... - Mówiąc to, bezwiednie powiodła palcami po rękawie bluzki, jakby nadal czuła gorące węgle.

- Riley leżał na ziemi parę kroków ode mnie, przywalony płonąca belką... od której zajęło się całe ubranie.

- Podniosła na Huntera udęczone oczy. - Nie potrafiłam go ugasić. Och, Hunter! Staralam się, ale na próżno - zakończyła z rozpaczą.

Czując, że Sandria bliska jest szoku, chwycił ją mocno za ramiona, usiłując uspokoić.

- Wiem, kochanie, wiem. Wiem, że na pewno robiłaś, co mogłaś! - I ostrożnie spytał: - Dowiedziałem się o pożarze z telewizyjnego komunikatu. Jaki jest stan Rileya? Mówili o jednej ofierze...

- Wsadzili mnie do karetki - ciągnęła, obmacując swoje obandażowane ramię. - Riley leżał już w środku na noszach i próbowali przywrócić mu przytomność. Był zupełnie nieruchomy i śmiertelnie blady. Włosy ani twarz nie były osmalone. Czy to nie dziwne? - spytała na wpół przytomnie.

Huntera znów ogarnęła rozpacz.

- Nie żyje... Przeklęty Cavanaugh... Niech go piekło pochłonie!

- W karetce mówili, że nic nie da się już zrobić. Ale w szpitalu lekarze rozpoczęli zabiegi reanimacyjne... i wyczuli puls.

Hunterowi znów szybciej zabiło serce. Przeczesał splątane włosy Sandrii, delikatnie zmuszając zszokowaną kobietę do spojrzenia mu w oczy.

- Sandrio, kochanie, co właściwie chcesz mi powiedzieć? Czy to znaczy, że Riley żyje?

- Przecież właśnie mówię. Lekarze twierdzą, że jest nadzieja. Jego rodzice są w szpitalu. Nie wiedziałeś? Myślą o przewiezieniu go samolotem do kliniki specjalistycznej w Houston.

Strach odpłynął. Sandria żyje. Komunikat był przedwczesny - mimo wszystko istnieje nadzieja, że Riley nie umrze. Więc Cavanaugh nie zwyciężył. Jeszcze nie.

- Nie wszystko stracone, Sandrio. Och, Boże, już myślałem, że po wszystkim... - Urwał i złakniony pociechy, przygarnął ją na nowo do siebie. - Chodź, dowiemy się, co z Rileyem - powiedział po chwili.

Wyszli z kaplicy trzymając się za ręce i weszli z powrotem do gwarnej poczekalni izby przyjęć. Rozejrzawszy się po korytarzu, Hunter dostrzegł na drugim końcu sali rodziców Riley'a, rozmawiających z nie znanymi mu ludźmi, Trzymając Sandrię mocno za rękę, skrzył gwałtownie w bok i skierował się do drzwi wyjściowych ze szpitala.

- Dokąd chcesz jechać?- zdziwiła się Sandria, kiedy Hunter wpełznął ją na pasażerskie siedzenie swej furgonetki.

- Jak najdalej stąd.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem jeszcze, co miałbym powiedzieć policji.

Furgonetka włączyła się w sznur jadących do Fort Myers samochodów. Sandria odwróciła się, patrząc na niknący w dali szpital.

- A Riley?

- W tej chwili w niczym nie możemy mu pomóc. Jest pod opieką rodziców.

Chciała coś powiedzieć, ale jedno spojrzenie na widoczną w świetle deski rozdzielczej twarz Huntera zamknęło jej usta. Zacięta mina nie zachęcała do dyskusji.

- Gdzieś przy tej szosie jest tani supermarket. Może zdążymy przed zamknięciem.

- Wybierasz się teraz po zakupy? - zdumiała się Sandria.

- Przenocujemy w motelu, ale potrzebujemy paru niezbędnych rzeczy.

- A twój dom?

- Wolałbym się tam na razie nie pokazywać.

Sandria spojrzała po sobie. Jej „wyjściowa” jedwabna bluzka zmieniła się w podziurawioną, brudną szmatę.

- Nie mogę wejść w tym stanie do sklepu. Może podam ci swoje wymiary i zaczekam w furgonetce?

- Nie ma mowy - odmówił kategorycznie. - Nie zostawię cię samej nawet na chwilę.

W sklepie przez cały czas trzymał ją za rękę, przepychając się w największym pośpiechu między wózkami klientów supermarketu. Sandria, świadoma ciekawskich spojrzeń wywołanych jej żalonym wyglądem, szła z opuszczoną głową, starając się nie odrywać oczu od podłogi.

Nie tracąc czasu na przymierzanie, wybrali po parze dżinsów, kilka podkoszulków, bieliznę, torbę dla Sandrii (dawna, którą odnalazł usłużny strażak, była w strzępach), niezbędne przybory toaletowe, środki opatrunkowe i plecak. Wzięli też butelkę wody, mały słoiczek kawy i parę kanapek. Hunter zapłacił kartą kredytową, którą podejrzliwy kasjer poddał skrupulatnym oględzinom.

Po wyjściu ze sklepu zapuścili się w ruchliwą nadbrzeżną autostradę, wiodącą ku ustronnej dzielnicy, gdzie wśród piaszczystych wydm pousadzały się z rzadka małe sklepiki i prywatne domki.

Hunter zatrzymał auto przed motelem o nazwie „Pod Koniczyną”. Nad wejściem mrugał zielony neon w kształcie czterolistnego okazu tej rośliny.

- Może przyniesie nam szczęście - rzucił Hunter w odpowiedzi na jej nieco zdziwione spojrzenie.

Motel okazał się wcale nie taki zły. W niewielkim pokoju było bardzo czysto, a samochód mógł stać pod samym oknem.

- Ależ tu... zielono - zauważyła Sandria, oglądając usiane czterolistnymi koniczynami tapety.

- Długo tu nie zabawimy.

Jak długo? - chciała zapytać. Jakie masz plany? Poczowała jednak nagle straszliwe znużenie i wyczerpanie, uznała więc, że istotne pytania mogą poczekać do czasu, aż odzyska jasność myślenia. Na razie marzyła jedynie o gorącej kąpieli i łóżku. Głośno westchnęła.

Hunter przyciągnął ją do siebie.

- Wyglądasz jak nieboskie stworzenie - powiedział, osładzając te słowa czułym uśmiechem. Przesunął palcami po jej policzku. - Wiem, o czym marzysz. Wypakuję resztę rzeczy z samochodu, a potem zadzwonię do szpitala dowiedzieć się o stan Riley'a. Ty tymczasem weź gorącą kąpiel i siedź w wannie tak długo, aż te koniczynowe tapety zaczną odpadać od ścian.

Podziękowawszy mu spojrzeniem, wydobyla z plastikowej torby szampon i parę innych drobiazgów, po czym zniknęła w łazience.

Kiedy po pewnym czasie, w workowatej nocnej koszuli, wróciła boso do pokoju, łóżko było przygotowane do snu, a Hunter siedział na nim, oparty plecami o ścianę. Trzymał na kolanach stos papierów oraz notatnik, który pierwszy raz widziała na oczy. Uklękła z drugiej strony łóżka i, rozczesując świeżo umyte włosy, przekrzywiła głowę, by zobaczyć, co czyta.

- Skąd to masz?- spytała.

- Później ci wszystko wyjaśnię. Teraz jesteś zbyt zmęczona.

Przyznała mu w duszy rację, więc tylko ujęła go za rękę i z troską spytała:

- Dowiedziałeś się czegoś o Rileyu?

- Rozmawiałem z jego rodzicami - odparł ponuro, zatraskując notatnik. - Jego stan jest, jak to mówią, „stabilny”, ale ma poparzenia trzeciego stopnia na piersiach, biodrze i nodze. Nie odzyskał jeszcze przytomności, co lekarze uważają za swego rodzaju błogosławieństwo. Zdaży się jeszcze nacierpieć.

Włosy Huntera lśniły złotem w kręgu światła; jasny kosmyk opadł mu na czoło. Sandria odgarnęła go prawie bez zastanowienia.

- Nie martw się, wyjdzie z tego. Mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze.

- To nie powinno było się zdarzyć - odparł przez zaciśnięte zęby.

- Rodzice Riley'a pytali, czy nie wiem, co mogło być przyczyną wybuchu, a ja nie mogłem nic im powiedzieć.

- Oczywiście.

Ostrożnie dotknął palcem bandaża na jej ramieniu. Światło nocnej lampki zapaliło mu. w oczach łagodne iskierki, kiedy podniósł na nią wzrok.

- Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę - powiedział.

- A jednak jestem przy tobie - odparła, pochylając się do przodu i dotykając wargami jego ust, które lekko drgnęły, ale nie odpowiedziały na zaproszenie.

Delikatnie odsunął ją od siebie. Poznała po jego oczach, ile go to kosztuje.

- Jutro czeka nas ciężki dzień. Musisz odpocząć - powiedział.
- Trochę zawiedziona, przytaknęła jednak i wsunęła się pod koc.
- A ty? - spytała ziewając. -
- Wezmę prysznic, a potem chciałbym przestudiować te notatki.

Czy światło nie będzie ci przeszkadzać?

-Nie sędzę. Oczy same mi się zamykają.

- Tym lepiej - powiedział, pochylając się i przytulając ją do siebie. - Śpij, kochanie. Należy ci się odpoczynek.

Zaczął głaskać jej czoło, odgarniając na bok niesforne kosmyki. Miarowa pieszczota jego rąk działała jak łagodnie usypiający narkotyk.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się przez chwilę we własny, coraz powolniejszy oddech. Miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie leżała w równie wygodnym łóżku. Po dzisiejszym dniu zapewne mogłaby spać na gołej ziemi. Ale tu jest tak dobrze, tak cudownie.. .Tuż przy nim... Czuje dotyk jego rąk...

Zapadała stopniowo w niebyt, w tę pośrednią krainę między rzeczywistością a snem. W jej umyśle zapalały się przelotne obrazy dzisiejszego dnia - momenty grozy pomieszane z chwilami radosnego uniesienia.

- Hunter...?
- Uhm?
- Myślisz, że jesteśmy tutaj bezpieczni? Nic nam nie grozi?
- Absolutnie nic - usłyszała jakby z oddali płynące zapewnienie.
- Będę cały czas przy tobie.

Jak dobrze jest mieć poczucie jego opiekuńczej obecności, myślała Sandria, tracąc stopniowo kontakt z rzeczywistością. W ostatniej chwili przed zaśnięciem miała wrażenie, że Hunter coś powiedział, ale nie była pewna, czy stało się to jeszcze na jawie, czy już we śnie. Zdobyła się więc tylko na uśmiech głębokiego zadowolenia.

Śnił jej się wybuch w przystani.

Wszystko zlało się w jedno ciemne, niezgłębione kłębowisko obrazów - sypiące się na jej ubranie płonące odłamki, przelotny obraz uśmiechającego się do niej przez ramię Riley'a... I nagle go nie ma... Znika w oślepiającym blasku ognistozłoty płomień. Żar, straszliwy żar zdający się roztopiać jej ciało, przenikać je do kości. Widziała też Huntera. Próbował odciągnąć ją od otwierającej się przed nią piekielnej otchłani, ale jego wyciągnięta ręka wciąż jej umykała; czuła, że zostaje z tyłu, że Hunter coraz bardziej się oddala, staje się nieosiągalny, a żarłoczne płomienie zaczynają lizać jej stopy.

- Sandrio, obudź się! Sandrio! Śni ci się koszmar! Głos Huntera wyrwał ją ze złego snu. Otworzyła oczy, ale jaskrawe światło zmusiło ją do zaciśnięcia z powrotem powiek i odwrócenia głowy. Poczowała na ramieniu dotknięcie czyjejś ręki i ponownie otworzyła oczy. Nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Na pościeli powtarzał się wzór czterolistnej koniczyny, symbolu szczęścia i powodzenia.

Czy została nam jeszcze nadzieja na szczęście? - pomyślała, nie mogąc zapomnieć o przepelnionym beznadzieją śnie. Łzy popłynęły jej z oczu. Spragniona pocieszenia, przytuliła się do Huntera.

Słuchając jego uspokajających słów i równego bicia serca, odzyskiwała stopniowo spokój ducha.

- Sandrio, nie płacz, kochanie... No proszę, nie płacz. Jestem przy tobie, wszystko będzie dobrze - przemawiał, głaszcząc ją po plecach.

- Nieprawda. Koniczyna tylko Irlandczykom przynosi szczęście. To symbol Irlandii. Masz irlandzką krew?

- Ani trochę - odparł tonem, któremu, jak się domyśliła, towarzyszył pobłażliwy uśmiech.

- A widzisz? Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam.

- No, niezupełnie - odrzekł tajemniczo. - Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, to trzymam w domu w szufladzie zielony kamyk na szczęście. Już lepiej?

- Nie - odparła z przekornym uśmiechem, teraz całkiem przebudzona. Hunter leżał obok niej, a jego ciało było ciepłe, pachniało mydłem i snem. Jak cudownie móc się do niego przytulić, mieć go zawsze przy sobie.

Przez szparę w okiennej kotarze przezierало blade światło.

- Która to godzina? - spytała, przyciskając usta do długiej, ledwo widocznej pod włosami na jego piersi blizny.

- Nie ma jeszcze szóstej - odparł, spojrzawszy na zegarek. - Za wcześnie, żeby wstawać. Spróbuj się jeszcze przespać.

- Nie zasnę. - Radość cielesnej bliskości rozkosznie drażniła jej zmysły. Dotknęła ustami jego skóry na piersiach, muskając ją czubkiem języka. - A ty? - spytała.

Poczuła, że na chwilę wstrzymał oddech, a potem zaczął oddychać znacznie szybciej niż przedtem.

- Chyba nie - odparł cicho. - Ale staram się pamiętać, że potrzebujesz wypoczynku.

- Nie wypoczynku, tylko ciebie - wyszeptała. Zatopił rękę w gęstwinie jej włosów, obrysował kształt jej ucha, jego palce sunęły powoli w dół, muskając podbródek i szyję. Dotyk jego dłoni nappełnił ją niewysłowioną błogością, gwałtownie przyspieszając bicie serca.

- Musisz to mieć na sobie? - spytał, odchylając kołnierzyk jej purytańskiej koszuli nocnej.

- Nie, pod warunkiem, że potrafisz mnie ogrzać. Szybko przewrócił się na bok, przykrywając ją swoim ciałem. W przyćmionym świetle wczesnego poranka błyszcząły tylko jego rozradowane oczy.

- Chyba potrafię - rzekł, dotykając żartobliwie jej policzka. - Będzie ci bardzo, bardzo ciepło. Rozpalę w tobie ogień.

Musnął, jakby pytająco, ustami jej wargi, które otworzyły się na jego powitanie. Potem podniósł głowę i długo się w nią wpatrywał. Na skroni Sandrii dostrzegł ślad oparzenia i delikatnie ucałował zaczerwienione miejsce.

- Twoja biedna, cudowna skóra - szepnął. Sandrii do ucha.

Poczuła chłodne tchnienie powietrza, kiedy zdejmował z niej długą koszulę. Zaczął delikatnie całować jej obnażone ciało wsłuchując się w każde jego drgnienie, jakby chciał zapamiętać i uleczyć najdrobniejszy, zadany mu ból.

- Twoje ciało to skarb - szeptał. - Jestem jak skąpiec, który chciałby mieć to wszystko dla siebie. Nie zniósłbym rozstania.

Dlaczego mielibyśmy się rozstawać, chciała zapytać, ale pożądanie kazało jej o tym zapomnieć.

- Powiedz mi, co mam robić, żeby cię nie urazić.

- Och, Hunter... - wyszeptała przez zduszone gardło. — Nie myśl o tym. Chcę cię, i nic mnie więcej nie obchodzi.

- Sandrio... - wyszeptał, nagle wyzwolony. Sandria wyprężyła się z rozkoszą i po chwili spleli się w jedno dyszące namiętnością istnienie. Jakby z oddali słyszała powtarzane gorączkowo na różne sposoby swoje imię. Czula rozchodzący się pod skórą, docierający do każdej komórki ciała płomień rozkoszy, gwałtowny, a zarazem obiecujący cudowne, niespieszne spełnienie.

Kiedy ocknęli się ze snu, słońce stało już wysoko na niebie. Namiętna więź, która u progu dnia złączyła ich ciała, przynajmniej na pewien czas złagodziła wczorajsze lęki i obawy.

Przytulona do jego ramienia Sandria słuchała, jak Hunter rozmawia z pielęgniarką w szpitalu. Przytrzymał ramieniem słuchawkę i błędził palcami po jej piersiach i ramionach.

- Czego się dowiedziałeś? - spytała, gdy skończył rozmowę.

- Jest lepiej - odparł, podnosząc jej rękę do ust.

- Najprawdopodobniej nie będą go musieli przewozić do Houston.

- Cudownie! - wykrzyknęła. A gdy Hunter pochylił się nad nią, ocierając nie golonym policzkiem o jej podbródek, dodała: - Uhm... To też jest cudowne.

- Sandrio, kochanie, lubisz mnie choć trochę? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Dlaczego pytasz? - odezwała się po dłuższej chwili.

- Wczoraj powiedziałaś mi, że wydaje ci się, że mnie kochasz. A co powiesz teraz? - Ściszył głos. - Co powiesz dziś?

Czuła się trochę niepewnie, widząc jego uważne, badawcze spojrzenie, ale czy podobna przeczyć oczywistym faktom? Czy jej ciało nie reagowało z żenującą gotowością na najmniejszy dotyk jego rąk?

- Że cię Kocham dzisiaj - rzekła, dotykając wargami jego ust - że będę cię kochać jutro... - potwierdziła, muskając jego wargi czubkiem języka - i zawsze... - wyszeptała, obdarzając go płynącym z głębi serca pocałunkiem.

- Uznaję to za odpowiedź twierdzącą - powiedział wesoło, gdy oderwali się od siebie. - Czy możesz mi coś obiecać? - spytał po chwili.

- Co tylko zechcesz.

- Przed południem odlatuje z Fort Myers samolot do Miami. Proszę cię, żebyś wróciła nim do domu.

Było to tak nieoczekiwane, że Sandria zamarła niczym aktorka, która na środku sceny zapomniała swojej roli. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Wyzwoliwszy się z objęć Huntera, usiadła na łóżku

z dala od niego. Do diabła! Miała ochotę krzyczeć i protestować, gdy pomyślała, z jaką precyzją Hunter zagrał na jej uczuciach, żeby przeprowadzić swą wolę. Czuła, że lada chwila się rozplacze.

- Kochanie...

Wyciągnęła rękę, broniąc mu do siebie dostępu.

- Nie zbliżaj się! - Odgarnęła włosy z oczu. - Czemu nie powiedziałaś mi tego wczoraj wieczorem? - rzuciła oskarżycielskim tonem, z trudem wydobywając głos. - Przynajmniej lepiej byś się wyspał.

- Posłuchaj mnie...

- Niby po co? Żebyś mógł niecnymi sposobami dowodzić swojej nieomyślności?

- Niczego nie trzeba dowodzić - odparł, wypuszczając powietrze z płuc i odsuwając się od niej. - Lecisz do Miami i sprawa skończona.

- Tak ci się wydaje? - wybuchnęła. - Chyba że zrobisz z siebie publiczne widowisko, próbując wsadzić mnie siłą do samolotu. Jeśli ci na tym zależy, w co wątpię.

- Nie zrobisz mi tego. - Skąd ta pewność?

- Bo jesteś rozumna i dobrze wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na publiczny skandal - odparł zdesperowanym tonem. - A ponadto, chyba nie chcesz umyślnie utrudniać mi i tak skomplikowanej sytuacji.

- Proszę, mów dalej - wtrąciła zasepiona. - Każde twoje słowo działa na mnie jak kolejny kubeł zimnej wody. - Czuła jego udrękę, równie głęboką jak jej własna, ale uraza była silniejsza niż

współczucie. Wszystko się w niej burzyło, grożąc lada moment głupim wybuchem bezsilnego płaczu. - Nie wiem, jakie masz plany, ale pamiętaj, że tak czy owak nie zostawię cię samego.

Kochana! - zawołał, chwytając ją mocno za ramiona. - Spójrz na siebie! Przeszłaś piekło. Nie rozumiesz? - przekonywał ją tonem czulej perswazji. - Muszę być sam, żeby móc skutecznie stawić Cavanaughowi czoło. Wczoraj o mało mnie nie pokonał, atakując ciebie i Riley'a. To nie może się powtórzyć. Na Boga, czy nie rozumiesz, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla ratowania ciebie z jego rąk?

Choć mówił tak przekonująco, zadana sercu rana nie pozwalała Sandrii ustąpić, bez walki.

- Nie. Wiem tylko jedno, a mianowicie, że za wszelką cenę chcesz się mnie pozbyć. Dlaczego to robisz, Hunter? Czy w dalszym ciągu mi nie ufasz? A może nadal zbyt głęboko tkwisz w przeszłości i nie widzisz dla mnie miejsca w swoim życiu?

Skurczył się w sobie, jakby uderzyła go w policzek.

- Ani jedno, ani drugie. Czy nie rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem - zawołała żałośnie, rozpaczliwie potrząsając głową.

Pochylił się nisko.

- Posłuchaj mnie - odezwał się błagalnie. - Jesteś mi najdroższa na świecie, ale gdyby z powodu Cavanaugha ponownie coś ci się stało, nie wiem, czy byłbym w stanie jeszcze raz dojść do siebie.

- Ale ja nie mogę cię tak zostawić, Hunter, nie mogę...

Szloch zamknął jej usta i bezradnie zwiesiła głowę.

- Możesz, kochanie, możesz - szepnął jej do ucha. - Pamiętasz, pytałaś mnie kiedyś, jak doszło do mojej potyczki na noże z poławiaczem krewetek? Chciałaś znać prawdę, a ja zbyłem cię byle czym. Teraz chcę, żebyś wiedziała. - Ujął jej twarz w obie dłonie, by móc jej patrzeć prosto w oczy, po czym suchym, rzeczowym tonem wyjaśnił: - Po śmierci Julii i Eryka chciałem z sobą skończyć. Niestety, nie miałem dosyć odwagi, żeby zrobić to własnymi rękami. Kiedy zobaczyłem, jak ten rozwścieczony bandzior wyciąga nóż, pomyślałem sobie: nie broń się, pozwól mu zrobić to, na co nie potrafiłeś się sam zdobyć.

Sandrii krew odpłynęła z policzków. Wpatrywała się ze zgrozą w twarz Huntera, którego oczy stały się nagle puste, gdy osaczony wspomnieniami z przeszłości wyrzucał z siebie bezładne zdania:

- Pchnął mnie nożem, a na dodatek przedziurawił bosakiem dno łodzi. Riley zawiózł mnie do znajomego lekarza, który nie dopuścił wiadomości do prasy. A na koniec Wziął mnie w obroty psychoanalitik i musiałem wysłuchiwać jego kazań o igraniu ze śmiercią. Ale mnie nadal nie chciało się żyć.

Przez cały czas patrzył jej prosto w oczy.

- A potem pojawiłaś się ty. Wściekałem się i nie wiedziałem, co robić, ale po raz pierwszy od lat czułem, że żyję. Jednak w tej chwili moje życie jest zbyt niepewne, żebym mógł się angażować... Muszę przede wszystkim dokończyć porachunki z Cavanaughem, a nie mogę się do tego zabrać, póki jesteś przy mnie. Wracaj do Miami i pisz

wszystko, co tylko zechcesz. Tam będziesz bezpieczna, a ja nie będę musiał się

o ciebie niepokoić.

- Skąd wiesz?

- Bo Cavanaugh czyha na mnie. Zresztą bardzo możliwe, że do jutra wszystko się wyjaśni.

- Jakim sposobem?

- Bo wczoraj, kiedy się kąpałaś, odbyłem długą rozmowę telefoniczną z moim adwokatem sprzed czterech lat, Donaldem Lefkinem. Zdołałem go przekonać, żeby spróbował zwołać na dziś konferencję prasową i podać wszystko, co wiem, do wiadomości publicznej.

- Jak to? - zawołała zdumiona. - Dziś? A skąd weźmiesz dowody?

Zamiast odpowiedzi, wypuścił ją z objęć i wstał z łóżka. Była zanedo zgnębiona, żeby móc cieszyć się Widokiem jego nagiego, poruszającego się z naturalnym wdziękiem ciała. Hunter rzucił na łóżko plecak i wyjął z niego plik papierów oraz notatnik, które wczoraj studiował, na wierzchu zaś położył plastikowy zasobnik, taki sam jak tamten, który odebrał im Richie Cavanaugh. Hunter nacisnął przycisk i wieczko odskoczyło, ukazując dwa bliźniacze rzędy ampulek

- Za to, co tu widzisz, Cavanaugh może w sumie zarobić kilkadziesiąt lat więzienia - powiedział cicho.

Straciła na moment mowę i zdolność poruszania się. Wydawało jej się, że śni, a przecież...

- Skąd to masz?

Hunter szybko i rzeczowo opowiedział jej historię zostawionej u sąsiadów przesyłki Leona Isaacsona.

- Jeszcze dziś rano zbadam ich zawartość - dodał. - Na wszelki wypadek. Chociaż jestem przekonany, że Isaacson nie wysłałby tego, nie mając pewności, co jest w środku. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Charles i jego synalek być może jeszcze dziś wieczorem wylądują w kryminale.

- A jeśli coś się skomplikuje?

- Będę przynajmniej spokojny o ciebie.

Przelot na drugi koniec stanu trwał krótko. Przy starcie Sandrii mignął za oknem widok uciekającej w dół zatoki. Potem obserwowała rozciągające się jak okiem sięgnąć bagna i moczary rezerwatu Everglades, poprzedzielane kępami drzew i sitowia.

Wsiadając do samolotu sądziła, że tu nareszcie straci nad sobą panowanie, być może da upust hamowanym od rana łzom. Miała jedno tylko pragnienie - zapomnieć jak najszybciej o wszystkim, co przeżyła i odzyskać spokój ducha, jakim się cieszyła przed poznaniem Huntera Garretta.

Tymczasem zamiast się rozpłakać, wzięła do ręki swój dziennik. Hunter oddał go jej na lotnisku. Zdawał sobie dobrze sprawę, jak wiele dla niej znaczyło odzyskanie notatnika. Jednakże, choć dziennik był wypełniony zapiskami cudownych marzeń i nadziei związanych z osobą Huntera, czytała go teraz jak ktoś z zewnątrz, spoza jego orbity.

Część stron była bardzo zniszczona, inne mniej. Kartki pokryte zaczerpniętymi z komputera zapiskami dotyczącymi procesu Huntera sprzed czterech lat miały mocno wystrzępione brzegi i nadal wydzielały zapach dymu. Nie знаła go jeszcze, kiedy robiła te notatki, toteż wydały jej się dziś zaskakująco obiektywne i bezosobowe.

„Garrett zupełnie odosobniony w swoich oskarżeniach przeciwko Cavanaugh Laboratories.

Charles C. wytoczył wszystkie armaty; skutek -nawet przychylni Garrettowi członkowie komisji śledczej zaczęli objawiać sceptycyzm.

Koledzy z pracy nie chcą zeznawać na niekorzyść pracodawcy.

W ciągu ośmiu tygodni najcięższych obustronnych oskarżeń żona ani razu nie pojawiła się na horyzoncie. Dlaczego zniknęła? Rozwód? Sprawdzić. Pytanie: dlaczego Garrett zdecydował się prowadzić sprawę sam, bez niczyjego wsparcia?"

Sam. Bez niczyjego wsparcia.

Teraz wiedziała już, oczywiście, dlaczego Hunter był zupełnie sam, kiedy podejmował swoją walkę z Cavanaughem. Nie miał nikogo bliskiego. Julia i Eryk spoczywali na zimnym norweskim cmentarzu. Wyruszył na jednoosobową krucjatę, pozbawiony oparcia w rodzinie. I przegrał. Haniebnie przegrał.

Sam.

Dziwne, jak wszystko zaczyna się powtarzać. Teraz ona, podobnie jak niegdyś Julia i Eryk, siedzi w samolocie, odlatując w bezpieczne miejsce, Hunter zaś wyrusza samotnie na pojedynek ze smokiem.

Przywołała w myśli wydarzenia dzisiejszego poranka, a szczególnie moment, kiedy z góry obmyślane i poprzedzone odpowiednimi zabiegami żądanie Huntera dosłownie zważyło ją z nóg. Miał wówczas oczy i twarz dziwnie pozbawione wyrazu, jak gdyby starał się zachować pozory dystansu i prawie to osiągnął, chociaż nie do końca. Zdołał jednak mimo wszystko przeprowadzić swoją wolę, i dla osiągnięcia tego celu gotów był nawet śmiertelnie ją obrazić.

Z ust Sandrii wydarł się stłumiony okrzyk rozpacz. Spojrzała w okno, gdzie słońce niby rakieta wystrzeliło nagle nad horyzontem.

Samolot sunął nad wodą, schodząc do lądowania w Miami. Na innym brzegu tego samego morza Hunter gotował się do ostatecznej potyczki z Cavanaughem.

Samotnie.

Nie, nie może na to pozwolić. Przygnębienie już ją opuściło. Nieważne, czy Hunter kiedykolwiek odwzajemni jej miłość. Przeżyli razem okropne rzeczy, więc pozostanie przy nim do końca. Gdyby znowu przegrał, opuszczony przez nią, do końca życia by sobie tego nie darowała.

Czekała przy wyjściu, żeby opuścić samolot, gdy tylko przystawią schody. Przebijając się przez tłum pasażerów, dopadła kasy, kupiła bilet i pędem wróciła do samolotu. Witająca pasażerów stewardesa dziwnie na nią popatrzyła, ale Sandria, która zdążyła odzyskać pewność siebie i przytomność umysłu, odpowiedziała jej spokojnym uśmiechem. Zajęła miejsce, czekając niecierpliwie, kiedy wahadłowiec skończy tankować paliwo.

Hunter pojechał prosto do laboratorium swego znajomego, aby zbadać zawartość otrzymanych od Isaac-sona ampulek. Zrobił to ze szczególną starannością, by wyniki okazały się niepodważalne. Ampułki istotnie zawierały bardzo słaby roztwór przeciwigazowej odtrutki.

Z najbliższej budki telefonicznej zadzwonił do Donalda Lefkina i przekazał mu wiadomość.

- Znakomicie - ucieszył się adwokat. - Zapiski Isaacsona mają ogromne znaczenie, ale materialny dowód wzmocni siłę oskarżenia.

- Tak, to ważne - przytaknął Hunter.

- No to dlaczego masz taki ponury głos? Ukrywasz coś przede mną?

- Nie, skąd. Jestem tylko głodny i zmęczony. Przyznam ci się, Don, że chciałbym mieć to za sobą,

- Robię, co mogę. Dam ci znać, gdy tylko będę wiedział coś konkretnego. Jesteś nadal w tym samym motelu?

- Nie, wyprowadziłem się dziś rano. Może to początki paranoi, ale wolałbym na razie nie wracać do domu.

- Chyba masz rację - przyznał Lefkin. - Zadzwoń w kilka miejsc. Otóż żona Kena Braddocka powiedziała mi, że jej mąż pojechał do Dakoty Południowej na polowanie, a zdaniem moich waszyngtońskich informatorów, obaj Cavanaughowie zniknęli z miasta.

Hunter parsknął znacząco. W szklanej osłonie budki telefonicznej zobaczył odbicie twarzy, której zacięty wyraz w pełni odpowiadał stanowi ducha jej właściciela.

- Założę się, że są obaj tu, w Fort Myers. I też polują na swój sposób.

- No to trzymaj się i uważaj na siebie. Myślę, że po południu będę już coś wiedział. Bądź gotów pojawić się natychmiast w oznaczonym miejscu, gdy tylko dam ci znać.

-Zadzwonię później.

- Nie. Biuro jest zamknięte podczas weekendu, a mnie możesz nie zastać. Czy twoja automatyczna sekretarka ma specjalny kod, pozwalający na odsłuchiwanie nagranych wiadomości spoza domu?

- Tak.

- No to nagram się.

- Czy to bezpieczne? - zaniepokoił się Hunter. Adwokat roześmiał się.

- Nie bój się. Potrafię operować ogólnikami.

Po odwieszeniu słuchawki Hunter natychmiast pojechał do szpitala. Omijając poczekalnię, gdzie natknąłby się niechybnie na rodziców Riley'a, spróbował wśliznąć się po kryjomu na oddział intensywnej terapii. Niestety, biurko dyżurnej pielęgniarki blokowało wejście do izolatki, w której leżeli chorzy z ciężkimi poparzeniami.

Roztoczył przed pielęgniarką cały swój czar, ona jednak okazała się nieprzejeđnana. Wstęp tylko dla członków rodziny. Musiał się zadowolić pocieszającą wiadomością, że Riley śpi spokojnie i został skreślony z listy pacjentów w krytycznym stanie.

Nie miał w tym miejscu nic więcej do zrobienia. Poczłł nagle straszny głód, kupił więc w najbliższym barze jedzenie na wynos i, zaparkowawszy samochód naprzeciwko zrujnowanej przystani, wyciągnął hamburgera i zaczął się pożywiać.

Miejsce przedstawiało rozpaczliwy obraz. Spośród zgliszczy podmuchy wiatru wydobywały szarawe obłoczki popiołu, a cały rejon wypadku był nadal otoczony żółtą, policyjną taśmą.

Widok zniszczenia odebrał Hunterowi apetyt. Schował nie dojedzone resztki do torby. Poczł nagłą falę nienawiści do Cavanaughów, ale po chwili uspokoił się na myśl, że za parę godzin zrobi z nimi porządek. Długotrwałe niepowodzenia nie tylko złamały mu życie, ale zniekształciły stosunek do świata. Teraz jednak dysponuje wreszcie materiałem dowodowym, zdolnym raz na zawsze zniszczyć jego wrogów. Tym razem nie zdołają pokrzyżować mu planów, a kiedy się z nimi upora, przyjdzie czas, by na nowo ułożyć sobie życie.

Z Sandrią?

Ba, tu tkwiła główna niewiadoma. Sandria zdążyła już pewnie dotrzeć do domu, jest bezpieczna i... śmiertelnie urażona. Czuje się odrzucona. Przypomnił sobie wyraz jej twarzy podczas pożegnania na lotnisku - pozbawione życia, smutne, pełne żalu spojrzenie. W oczach Sandrii, jak na ironię, wyczytał tę samą udrekę, którą czuł we własnym sercu - jej lustrzane, bliźniacze odbicie.

Zadzwoił do Lefkina, ale adwokata nie było w biurze, nie zostawił też wiadomości na automatycznej sekretarce. Nie wiedząc, co robić z czasem, zaszył się na parę godzin w ciemnym kącie przygodnej knajpy i sącząc jedno piwo, spisał dokładnie wszystkie wydarzenia, które doprowadziły do wczorajszego tragicznego wybuchu.

Starał się możliwie jasno i prosto opisać wyniki przeprowadzonych testów. Wiedział z doświadczenia, że dziennikarzy nudzą śmiertelnie wszelkie naukowe wywody; musi więc mówić do

nich w taki sposób, żeby przez cały czas słuchali go z uwagą. Wybuch w przystani i niedawna śmierć Isaacsona dawały gwarancję, że zjawią się tłumnie. Nie bez znaczenia był tutaj udział Lefkina, adwokata, którego nazwisko kojarzono z głośnymi sprawami sądowymi;

Hunter ponownie nie zastał adwokata w biurze, nakręcił więc numer własnego telefonu i po chwili usłyszał w słuchawce utrwalony na taśmie głos Donalda, który mówił:

„Cześć, Hunt. Wszystko załatwione na wieczór. Zadzwoń do mnie około piątej, bo chciałbym ci wyjaśnić pewne szczegóły. W zaistniałej sytuacji musimy zrobić jak najlepsze wrażenie, więc przygotuj smoking i muszkę i na wszelki wypadek skocz do fryzjera. Do usłyszenia niebawem”.

Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy telefon znowu zabrzęczał, zapowiadając kolejną nagraną wiadomość.

„Witaj, Hunter. Dawno nie mieliśmy okazji z sobą rozmawiać, ale mam nadzieję, że mój głos nie jest ci obcy. Masz w swoim posiadaniu rzecz, którą chciałbym odzyskać, a tak się akurat składa, że ja z kolei mam coś, co mogłoby ciebie zainteresować. Sądzę, że w dobrze rozumianym własnym interesie powinieneś do mnie zadzwonić. Czekam pod telefonem 555-3782, ale radzę, żebyś się pospieszył”.

Na dźwięk nienawistnego głosu Charlesa Cavanaugha, Huntera dosłownie przeszedł prąd. Musiało go coś mocno przycisnąć, skoro zdecydował się zadzwonić. Czy dowiedział się o przesyłce Isaacsona, czy chodzi mu jedynie o odzyskanie ampułki, której zabrakło w

pochodzącym od Braddocka pojemniku? Ciekawość walczyła w Hunterze o lepsze z niepokojem, kiedy wykręcał podany przez Cavanaugha numer telefonu.

Charles już po drugim sygnale podniósł słuchawkę.

- Miło cię słyszeć, Hunter - odezwał się słodko. - Już myślałem, że między nami wszystko skończone, a tymczasem znowu mi się naprzykrzasz.

- Gadaj, czego chcesz - rzucił ostro Hunter.

- To chyba jasne. Richie przywiózł mi prezent -pięć cennych okazów - tyle że jeden, jak się zdaje, zachowałeś po kryjomu dla siebie. Żądam zwrotu.

- To wszystko?

- Wszystko. Proste, nieprawdaż?

Hunter odetchnął swobodniej. Cavanaugh nic najwyraźniej nie wiedział o przesyłce Isaacsona.

- Możesz się wypchać, Cavanaugh - oświadczył, pochylając się do słuchawki.

Stary bynajmniej się tym nie spieszył.

- Cóż, widzę, że nadal lubisz walczyć z wiatrakami. Niczego się nie nauczyłeś.

- Wyobraź sobie, że tak.

- No to posłuchaj - dziwnie spokojnie powiedział Charles. - Richie zajrzał dziś do szpitala. Chciał się dowiedzieć o zdrowie twojego przyjaciela. Podobno byłeś u pielęgniarki tuż przed nim.

Hunter dopiero teraz na serio się zaniepokoił. Ścisnął słuchawkę w dłoni.

- Trzymajcie się od niego z daleka! Cavanaugh zarechotał.

-Uspokój się, drogi chłopcze. Richie nie mógł mu, niestety, złożyć oficjalnej wizyty, bo kręciło się za dużo ludzi, ale sprawił mi w zamian jeszcze miłszą niespodziankę.

Hunterowi zaschło w gardle.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

Charles zamilkł na krótką chwilę, w telefonie rozległ się najpierw szmer podawanej z rąk do rąk słuchawki, a potem cichy, przyspieszony oddech innej osoby.

- Hunter? - niepewnie odezwała się Sandria, której natychmiast odebrano słuchawkę.

Hunterowi przeszły ciarki po plecach.

- Pani kazała przekazać pozdrowienia - usłyszał zadowolony z siebie głos Cavanaugha.

- Ty sukin... - krzyknął z wściekłością.

- Oj, nieładnie - skarcił go Charles. - Po co używać brzydkich słów. Potraktujmy sprawę jak handlowcy. Przy całym uznaniu dla niewątpliwej urody panny Sutton, nie zamierzamy jej niepotrzebnie przetrzymywać. Wystarczy, jeśli przyniesiesz brakujący element i będziesz mógł ją sobie zabrać,

- Gdzie?

- W dobrze ci znanym magazynie na tyłach twojego dawnego laboratorium w Fort Myers. Dziś o siódmej wieczorem,

- Przyjdę.

- Aha, na wszelki wypadek zwracam ci uwagę, że masz się zjawić bez niepotrzebnego towarzystwa. Jeśli na horyzoncie pojawi się bodaj cień policjanta, będziemy zmuszeni wycofać się z transakcji... - głos Charlesa przybrał nagle złowieszczy ton, zdolny przemienić promienie słońca w zimny blask księżyca - i pozbyć się posiadanego towaru.

Hunter usłyszał trzask odkładanej słuchawki i na uginających się nogach wyszedł z budki telefonicznej..

Z dziwnymi uczuciami wjeżdżał w znajomą bramę laboratoriów Cavanaugha. Przed laty on i Julia przyjechali tu zaraz po ukończeniu studiów i tuż po swoim ślubie. Firma zaproponowała obojgu nader ciekawą pracę, na najwyższym poziomie naukowym. Świat wydawał im się wówczas nowy i pełen obietnic, a oni mieli nadzieję go zmienić lub przynajmniej uczynić bezpieczniejszym.

Jednakże świat odwrócił się od niego i podczas ostatniej bytności w tym miejscu ukazał mu inne, wrogie oblicze. Pakował swoje rzeczy jako człowiek skompromitowany, osamotniony, ograbiony z poczucia własnej godności. Julia i Eryk. nie żyli. Nie miał nikogo bliskiego, dla kogo warto było prowadzić dalszą walkę. Od tamtej pory nie przekroczył progu posiadłości Cavanaugha.

Aby dziś znów się tutaj znaleźć. Zatoczył ogromne koło i wrócił na to samo miejsce.

Przed przyjazdem zadzwonił, oczywiście, do Donalda Lefkina, prosząc o odwołanie umówionej konferencji prasowej. Dopóki

Cavanaughowie mieli Sandrię w rękach, nie mógł, bez narażania jej na śmiertelne niebezpieczeństwo, rzucić im publicznego oskarżenia.

Znajdowała się gdzieś w tym budynku, pod pilną strażą synalka i ojca. Mogli jej wyrzucić krzywdę. Może już to zrobili. Wysiadając z furgonetki, Hunter pomyślał sobie, że chętnie zobaczyłby Richie'ego i Charlesa na marach.

Zachodzące słońce oblewało fronton wysokiej hali złotopomarańczowym blaskiem. Sprawdził godzinę. Punkt siódma. Nie może się spóźnić. Ludzie pokroju Charlesa Cavanaugha szanują tylko tych, którzy są dla nich groźni. Tu jednak szło o życie Sandrii i najmniejsze ryzyko w rodzaju niepojawienia się w porę na spotkanie mogło mieć nieobliczalne konsekwencje.

Hala sprawiała wrażenie opustoszałej. Charles Cavanaugh był od dawna zwolennikiem nowoczesnych, elektronicznych zabezpieczeń, ale Hunter nie zdziwił się, gdy pchnięte jego ręką drzwi hali rozsunęły się w bok bez najmniejszego oporu. Urządzenia alarmowe i monitory zostały z pewnością wyłączone.

Wszedł do środka i zasunął szczelnie drzwi. We wnętrzu zapanowała ciemność i upłynęła chwila, nim jego oczy przystosowały się do panującego wokół mroku.

Od czasu jego ostatniej bytności w magazynie niewiele się zmieniło. We wnętrzu piętrzyły się stosy przygotowanych do wysyłki kartonowych opakowań, stały najrozmaitsze urządzenia, wózki transportowe i maszyny, niemniej w hali nie czuło się odoru zastarzałego kurzu czy też smarów. Cokolwiek by o nim powiedzieć,

Charles Cavanaugh niewątpliwie dbał o czystość i porządek w swoim królestwie.

W mieszczącym się na antresoli pierwszego piętra biurze kierownika magazynu paliło się światło. Krążąca wokół lampy postać rzucała wędrujące po ścianach, długie cienie. Kroki Huntera odbiły się głuchym echem, gdy skierował się ku prowadzącym na górę schodom. Szybko się jednak zatrzymał. Wolał nie oddalać się zbyt od wyjścia.

- Cavanaugh! - zawołał w głąb niewidocznej czeluści. - Jestem na dole. Jeśli chcesz odebrać ampułkę, musisz do mnie zejść.

Jego słowa odbiły się echem, po czym zapadła cisza. Hunter czuł spływające mu po plecach strużki potu. Jeżeli nie docenił przebiegłości tego drania...

Zapaliły się światła. Nie tak silne, by całkowicie rozproszyć ciemności, ale wystarczające dla rozpoznania stojącego na dole schodów Charlesa Cavanaugha. Charles zbliżył się do Huntera na odległość około stu metrów.

- Gdzie jest Aleksandria? - rzucił Hunter.

- Pokaż najpierw ampułkę.

Hunter sięgnął do kieszeni, wyciągnął ampułkę i pokazał ją w uniesionej dłoni.

Cavanaugh uśmiechnął się i podniósł głowę, nie spuszczać oczu z Huntera.

- Richie! - zawołał w kierunku biura. - Sprowadź panią.

Drzwi biura natychmiast się otworzyły i ukazała się w nich Sandria, za którą postępował Richie Cavanaugh z przyłożonym do jej głowy rewolwerem. Niepewnymi krokami schodzili razem stopień po stopniu w dół, by na koniec stanąć u boku Charlesa. Richie robił wrażenie zahukanego i zdenerwowanego.

- Wszystko w porządku, Sandrio? - głośno spytał Hunter.

Kiwnęła głową. Jej pobladła twarz jaśniała w półmroku.

- Chodź tu do mnie - powiedział, ale gdy spróbowała zrobić krok, Richie natychmiast wstrzymał ją lufą rewolweru.

- Nie tak szybko - wtrącił Charles. - Oddaj najpierw to, co masz.

- Kiedy Sandria znajdzie się w połowie drogi między mną a wami - zawołał Hunter, ponownie podnosząc ampułkę-rzucę ją na tę samą odległość.

- W porządku - zgodził się Charles.

Hunter obserwował w napięciu zbliżającą się ku niemu Sandrię. Przez cały czas patrzył jej głęboko w oczy, jakby chciał jakąś niewidoczną nitką przeciągnąć dziewczynę na bezpieczną stronę. Kiedy pokonała połowę drogi, schylił się i puścił ampułkę, która poturlała się po cementowej podłodze. Cavanaughowie skoczyli do niej, Richie podniósł i oddał ojcu kapsułkę, ten zaś, obejrzawszy ją dokładnie ze wszystkich stron, schował zdobycz do kieszeni.

Tymczasem Sandria znalazła się w objęciach Huntera.

- Co ja mam z panią redaktor zrobić? - szepnął, przyciskając ją na moment do siebie.

- Strasznie przepraszam - wymamrotała, kryjąc twarz w jego koszuli. - Zbłądziłam się.

- To nic- rzekł uspokajająco, chwytając ją mocno za rękę i nieznacznie odsuwając za siebie. — Wszystko będzie dobrze.

- A więc załatwione. Podziękowań możecie nie oczekiwać - oświadczył, zwracając się do Cavanaughów.

Zaledwie parę kroków dzieliło Sandrię i Huntera od drzwi, gdy wstrzymał ich głos Charlesa:

- Jeszcze moment, jeśli łaska.

Obejrzeni się. Stary trzymał w ręku wyciągnięty rewolwer.

- Nie lubię dramatów, ale, niestety, nie mogę wypuścić was bezkarnie - oznajmił.

- Pozwól im odejść, papo - zawołał Richie, podbiegając do ojca,
- Przecież już wszystko mamy.

- Zamilcz, synu - rzekł Charles, podchodząc do Sandrii i Huntera na odległość kilku kroków. - Muszę ci powiedzieć, Garrett, że przez te wszystkie lata czekałem, aż znów z czymś wyskoczysz. Wiedziałem, że nie dasz za wygraną. Masz szmergla na punkcie naprawiania świata. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak długo zwlekałeś?

Hunter niepostrzeżenie jeszcze bardziej wysunął się przed Sandrię, przyciskając ją zarazem do swego boku.

- Upłynęło trochę czasu, nim znów znalazłem kogoś, dla kogo warto walczyć.

- Ach, oczywiście - mruknął Charles, obrzucając Sandrię chytrym spojrzeniem. - Miłość nie zna niebezpieczeństw? Niestety,

skłania również do podejmowania nieprzemyślanych decyzji, takich jak choćby twoje przyjście tutaj. Sam chyba rozumiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś co parę lat zatruwał mi życie-

- Zapewniam cię - odparł Hunter najspokojniej w świecie - że to się już więcej nie powtórzy.

Charles zakrztusił się ze śmiechu.

- No, nareszcie się rozumiemy! Przykro mi, ale nie zostawiłeś mi wyboru.

- Czy zabiłeś Kena Braddocka?

- Własnego zięcia? Jakże bym mógł! Wysłałem go jedynie na dłuższą wyprawę myśliwską w towarzystwie zaufanego człowieka, który zgodnie z moimi specjalnymi instrukcjami ma mu uświadomić - tutaj Charles paskudnie się skrzywił - ma mu dotkliwie uświadomić, że robienie świństw własnemu teściowi to rzecz nader niezdrowa.

- Obawiam się, Charles, że próbując nas zastrzelić, popełniasz fatalny błąd-oznajmił Hunter.

- Doprawdy? A niby dlaczego?

- Bo Isaacson zdążył jeszcze wysłać paczkę, rano tego samego dnia, kiedy Richie tak głupio spowodował jego śmierć. Są w niej szczegółowe notatki dotyczące fałszowania przez twoją firmę przeciwigazowego serum.

- Te same bzdurne teorie, które wygłaszałeś parę lat temu?

- Nie wiem, czy zostaną uznane za bzdurne, zważywszy, że pochodzą od człowieka, którego tajemnicza śmierć jest obecnie przedmiotem śledztwa. Ponadto Isaacson nie ograniczył się do

notatek. Włożył do paczki zasobnik twojej produkcji. Wypełniony rozwodnioną substancją.

Po tych słowach zapadła głęboka cisza. Obaj Cavanaughowie długo je przetrawiali. Richie znów zbliżył się do ojca. Charles zmrużył oczy, ale poza tym rewelacja na pozór nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- Błefujesz-powiedział.

- Dobrze wiesz, że nie jestem hazardzistą - odwzajemnił się Hunter.

- Papo - wtrącił Richie, którego śmiertelnie pobiła twarz przypominała upiorną maskę.

- Milcz! - warknął Charles i spokojniejszym tonem zapytał: - A gdzie, jeśli można wiedzieć, jest ten obciążający mnie dowód rzeczowy?

- Przekazałem go dziś po południu mojemu adwokatowi, który ma się z nim zjawić tutaj ó godzinie dziewiętnastej trzydzieści.

Jakby na dany znak, do magazynu wdarła się przez górne okna smuga pstrego światła, które omiotło ściany, zaś sekundę później na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. Powietrze przeszył zbliżający się z oddali ryk policyjnych syren.

- To pewnie oni - powiedział Hunter, spoglądając na zegarek. — Parę minut przed czasem, ale może mój zegarek się późni.

Charles stał bez ruchu. Widać było, jak opuszcza go pewność siebie.

- Sprowadził policję?

- Nie tylko policję, Charles; także tłum dziennikarzy i ekipy telewizyjne. Po odbyciu konferencji prasowej radzę wam - ciągnął Hunter - oddać się w ręce policji i próbować szczęścia w sądzie. Nic wam więcej nie pozostało.

- Mogę was jeszcze zastrzelić.

- To prawda. Tylko że za parę minut będziesz się musiał tłumaczyć przed milionami ludzi, skąd w twoim magazynie wzięły się dwa trupy.

W zamkniętej przestrzeni rozległ się nagle i odbił echem piskliwy sygnał telefonu komórkowego. Hunter wskazał ręką wypchaną kieszeń Cavanaugha.

- Jeśli wystawiłeś czujki, to pewnie właśnie cię zawiadamiają, że dziennikarsko-telewizyjny cyrk zaczyna rozbijać namioty.

Cavanaugh nic nie odpowiedział. Komórkowy telefon dzwonił i dzwonił, aż wreszcie zamilkł. Zapanowało długie, pełne napięcia milczenie. Ojciec i syn oceniali powagę sytuacji. Hunter oddał w myślach sprawiedliwość Richie'emu, który pierwszy zrozumiał, iż dalsze pogrożki nie mają sensu.

- Gra skończona, tato - powiedział matowym, zrezygnowanym tonem.

Zabezpieczył i odrzucił własny rewolwer, wyjął broń z ręki Charlesa i też rzucił ją na betonową podłogę, po czym opiekuńczym gestem położył ojcu ręce na ramionach.

- Nie, nie... - bronił się stary, rzucając głową na boki jak osaczone zwierzę.

Hunter nie potrafił zdobyć się wobec niego na bodaj odrobinę współczucia. Korzystając z momentu psychologicznej przewagi, ruszył ku wyjściu. Trzymając rękę na uchwycie drzwi, ostami raz się odwrócił:

- Lubisz oglądać sensacyjne audycje telewizyjne, Charles? Amerykanie uwielbiają takie rzeczy, a ty staniesz się za chwilę największą sensacją sezonu.

Od tej chwili wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Hunter jednym ruchem rozsunał drzwi. Zgodnie z jego przewidywaniami, Don Lefkin z grupą kilkunastu dziennikarzy czekał w pogotowiu. Kamery i aparaty fotograficzne podniosły się razem jak na komendę. Hunter na wszelki wypadek wepchnął Sandrię w tłum walczących z sobą o miejsce reporterów. Na zewnątrz wyły syreny i rozbrzmiewały nawoływania. Panie Cavanaugh, niech pan się nie odwraca!

- Richard, czy to ty zabiłeś doktora Isaacsona?

W oślepiającym świetle reflektorów widać było malujące się na twarzy Richie'ego przerażenie, ale mimo strachu była w nim jakby rezygnacja, a nawet, ulga.

- Odwagi, tato, jestem przy tobie - mówił uspokajająco do szarpiącego się w jego ramionach ojca.

Charles tymczasem toczył wokół nieprzytomnym, pełnym wściekłości wzrokiem.

- Nie, nie poddam się... Ty tchórze! Za nic się nie poddam! - krzyknął na cały głos, po czym opadł nagle w ramiona syna i

jednocześnie sięgnął ręką po leżący na podłodze rewolwer, który Richie przed chwilą mu odebrał. Podniósł broń i Hunter zadał sobie błyskawiczne pytanie, czy wymierzy ją przeciw sobie, przeciw niemu, czy przeciw tłumowi reporterów. Skoczył, by odebrać Charlesowi broń, lecz Richie uprzedził go, uczeplił się ojcowskiego ramienia i wykręcił je tak, że broń znalazła się między nimi:

Padł strzał. Przez zebrany tłum przeszedł szmer przerażenia. Richie Cavanaugh, na podobieństwo kukielki, od której odłączono poruszające ją sznurki, znieruchomiał na chwilę, po czym osunął się bezwładnie na podłogę u stóp własnego ojca.

Zapadła krótka, pełna grozy cisza, a potem rozpętało się istne pandemonium. Policjanci ruszyli do akcji, przebijając się z trudem przez zwarty tłum dziennikarzy i nawołując wszystkich do cofnięcia się. Za plecami Huntera ktoś krzyczał do kamerzysty, żeby nie przerywał filmowania.

Sandria znalazła się znowu obok Huntera, który przygarnął ją do siebie. Ściskając mocno przód jego koszuli, patrzyła ze zgrozą na Charlesa Cavanaugha. Stary padł na kolana.

- Richard... Richard... - jęczał rozpaczliwie, czepiając się zakrzywionymi jak szpony palcami skrwawionej koszuli syna. - Och Boże, Richard... Co ja zrobiłem?

Sandrię i Huntera postanowiono odwieźć na komisariat, natychmiast bowiem stało się jasne, że potrzebują policyjnej ochrony przed atakami nienasyconej zgrai reporterów. Otoczonych gęstym kordonem granatowych mundurów, poprowadzono do patrolowego

wozu. Donald Lefkin zamykał korowód, odpierając tłum dziennikarzy.

Przed wejściem do samochodu Sandria obejrzała się i zobaczyła prowadzonego w kajdankach Charlesa

Cavanaugha. Mimo rzucanych z tłumu natarczywych pytań milczał jak zaklęty. Miał pustą, zmartwiałą twarz.

- Wygląda, jakby chciał już tylko umrzeć-powiedziała cicho, siadając obok Huntera.

- Jego życie skończyło się w chwili, gdy pociągnął za spust - przytaknął Hunter, trzymając ją mocno za rękę.

Nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy. Kryła się, w cieniu bijących z tyłu reflektorów, w których świetle widziała tylko jasną koronę włosów i twarde, jakby skamieniały zarys policzka.

- Nic ci nie jest? - spytała.

Nie powinno było do tego dojść - odparł sucho. - Byłem przekonany, że się podda, gdy zobaczy, że nie mam innego wyjścia.

- Stało się, co miało się stać, Hunter, Już po wszystkim.

- Po wszystkim - powtórzył, odwracając się do okna, tak że już całkiem nie widziała, co maluje się na jego twarzy.

Spędzili na komisariacie wiele godzin, odpowiadając w nieskończoność na pytania kolejnych inspektorów policji i podpisując kolejne protokoły. Nie mieli chwili dla siebie. Jedyłą nie umundurowaną osobą w tym otoczeniu był Donald Lefkin, który pilotował ich przez cały czas z wprawą i swobodą wytrawnego dyrygenta i choreografa w jednej osobie.

Wreszcie wpuszczono ich oboje do skąpo umeblowanej sali przesłuchań. Sandria, czując ogarniające ją wyczerpanie, opadła na krzesło na wprost Huntera.

W pokoju panował nieprzyjemny chłód, a oliwkowe ściany robiły na niej przygnębiające wrażenie.

Hunter siedział milcząco, jak gdyby nieobecny, o czym myśli? Czy jest na nią zły za to, że wróciła? Może wolałby, żebym była teraz w Miami, pomyślała z żalem.

Krzesło raptownie zaskrzypiało i Sandria aż podskoczyła. Hunter przeszedł się kilka razy po pokoju i na koniec usiadł pod ścianą.

Wsparłszy głowę na rękę, czekała, aż się odezwie.

- Dlaczego wróciłaś? - zapytał w końcu.
- Nie mogłam inaczej. Musiałam być przy tobie.
- Przecież ci tłumaczyłem, że chcę być sam. Popatrzyła na niego z irytacją.

- Wiem. Długo się nad tym zastanawiałam. I zdałam sobie sprawę, że w ciągu ostatnich kilku lat zawsze postępowałam w ten sposób w każdej trudnej sytuacji. A ja po prostu nie mogłam i nie chciałam spokojnie obserwować z bezpiecznej odległości, jak się narażasz na niebezpieczeństwo czy nawet śmierć.

Poruszył się, zdradzając lekkie rozdrażnienie.

- I w rezultacie sama omal nie straciłaś życia.
- Nie sądzisz chyba, że celowo dałam się porwać - odparła, starając się zachować spokój i rozsądek. - A jeśli byłam nieostrożna, to

już cię za to przeprosiłam. Po wylądowaniu pomyślałam, że szpital jest jedynym miejscem, gdzie mogę cię spotkać. Tymczasem natknęłam się na Richarda, który właśnie stamtąd wychodził i od razu mnie rozpoznał.

- Czy bardzo był brutalny? - zapytał po dłuższej chwili.

- Nie.

Poderwał się na nogi, przewracając krzesło. Sandria też wstała i chciała się cofnąć, ale Hunter chwycił ją za rękę, odwrócił i oparł plecami o ścianę, odgradzając przy tym z obu stron ramionami.

- Do diabła! Czy możesz sobie wyobrazić, co czułem, kiedy usłyszałem twój głos w słuchawce i zrozumiałem, że jesteś w łapach Cavanaugha? I potem, kiedy Richie prowadził cię pod lufą rewolweru?

Ten nieoczekiwany wybuch zdenerwował ją i wzmógł jej opór. Jakże on ma prawo powoływać się na swoje uczucia? On, któremu tak pilno było się jej pozbyć?

- Pewnie byłeś zły.

- Zły, też mi coś! - obruszył się. Zadarł do góry głowę i wziął dla uspokojenia głęboki oddech, po czym podjął łagodniejszym tonem: - Miałem ochotę posiekać ich obu na drobne kawałki. Ze strachu o mało nie postradałem zmysłów i odkąd w końcu cię odzyskałem, mam tylko jedną myśl, która nie daje mi spokoju.

Pod wpływem jego słów i fizycznej bliskości, opór Sandrii zaczynał stopniowo maleć, ale zdrowy instynkt samoobrony wziął mimo wszystko górę nad słabością.

- Żeby przy pierwszej okazji odesłać mnie z powrotem do Miami?

Uśmiechnął się trochę smutno i zrobił przeczący ruch głową.

- Żeby nigdy więcej nie musieć się z tobą rozstawać.

Odepchnęła rękę, którą próbował pogłaskać jej rozpalony policzek.

- Mam dosyć tej huśtawki, Hunter. Nie dalej jak dziś rano zmusiłeś mnie do wyjazdu, tak jakbyśmy mieli się nigdy więcej nie zobaczyć, a teraz mi mówisz, że nie chcesz się ze mną rozstawać?

Stropił się na moment.

- Spójrz na mnie, Sandrio - poprosił po chwili z naciskiem, czekając, aż popatrzy mu w oczy. - Czy wiesz, że cię kocham?

Bezradnie pokręciła głową. Chciałabym w to wierzyć, ale zbyt usilnie starałeś się ostatnio wybić mi to z głowy.

- I sobie. To prawda, Sandrio. Próbowałem, ale bez skutku. Nic na to nie poradzę: uwielbiam cię. - Mówił z wysiłkiem, jakby pokonywał jakiś opór. Stopniowo jednak uśmiech wypłynął mu na wargi. - Uwielbiam twoją odwagę, twoją twarz i każdy jej szczegół. Nawet tę pionową zmarszczkę na czole, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiasz. Kocham sposób, w jaki wymawiasz moje imię, kiedy się kochamy. Kocham cię nawet wtedy, kiedy starasz się mnie przekonać, że nie mam racji.

Sandria zagryzła wargi,

- Strasznie wszystko pokomplikowałeś, Hunter. Co mam ci na to powiedzieć?

- Powiedz, do licha, że się zgadzasz! Właśnie ci się oświadczyłem!- zawołał.

Wpatrzyła się w jego tak drogie rysy. Radość walczyła w niej z resztkami niepewności.

- Nie jestem podobna do Julii...

- Jasne, że nie - nachmurzył się Hunter. - Zakochałem się w tobie, a nie w sobowtórce Julii. To prawda, że zawsze będę ją kochał. Była wspaniałą żoną, dała mi Eryka. Ale człowiek potrafi kochać nie tylko raz. Ty pozwoliłaś mi w to uwierzyć. Chcę ciebie, właśnie ciebie.

Choć tak bardzo pragnęła ulec cudownie brzmiącej perswazji, zdołała się oprzeć uwodzicielskiej mocy jego słów.

- Namiętność i związek na całe życie to dwie różne rzeczy, Hunter.

W oczach Huntera zamigotał nagły lęk. Podniósł nieśmiało rękę i chwilę się wahał, nim zatopił palce w gęstwinie jej włosów.

- Nie odpychaj mnie, Sandrio - powiedział cicho i niepewnie. - Wiem, że na to zasłużyłem, a nawet na więcej. Bałem się cierpienia... Broniełem się przed tobą, chociaż tylko ty jedna mogłaś mnie uratować. Dzięki tobie, i przy tobie, czuję się znów pełnowartościowym człowiekiem.

Przestała się bronić. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie starała się dłużej ich ukrywać.

- Tak, Hunter, kocham cię, tak... Przyciągnął ją gwałtownie do siebie, jakby puściły trzymające go w ryzach hamulce.

- Och, kochanie, wolałbym codziennie narażać się na śmierć, niż żyć bez ciebie!

- Nic takiego ci nie grozi - szepnęła między kolejnymi pocałunkami. - Nigdy już cię nie opuszczę. Nigdy.

Zapomnieli o bożym świecie. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do ich świadomości, że w trakcie ich pojednania otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do pokoju.

Donald Lefkin głośno odchrząknął. Sandria i Hunter odskoczyli od siebie.

- Najmocniej przepraszam - roześmiał się adwokat. - Zupełnie zapomniałem, że prowadzicie tu we dwójkę dalszy ciąg przesłuchania.

- Obyło się bez pejsza i gołej żarówki - zażartował Hunter. - Nie stawiała oporu.

- Cavanaugh też przyznał się do wszystkiego. Chyba pomieszało mu się w głowie i zapomniał, kto w magazynie pociągnął za spust, bo wciąż bredzi, że to rząd ponosi odpowiedzialność za śmierć jego syna.

Hunterowi, gdy to usłyszał, coś się przypomniało.

- Kiedy on rzeczywiście miał drugiego, starszego syna, który służył w wojsku. Na samym początku mojej pracy w laboratoriach opowiadano o jakimś wypadku w bazie wojskowej. Uderzyła mnie wtedy w tej historii dziwna ironia losu. Oto cała firma pracuje tylko po to, żeby chronić życie walczących na froncie żołnierzy, a jej właściciel nie może uratować od śmierci własnego syna.

- Ach, tak. - Lefkin potrząsnął głową. - Wygląda więc na to, że chciał się zemścić; Policja czeka na jakieś szychy z ministerstwa

obrony, które mają się zapoznać z materiałem dowodowym. Na razie możecie wracać do domu i trochę odetchnąć; Ostrzegam tylko; że na ulicy czeka tłum dziennikarzy i reporterów telewizyjnych.

- Przepraszam - oświadczył Hunter, patrząc czule na Sandrię - ale tylko jeden reporter ma wyłączne prawa do pisania o tej sprawie, a jest nim tu obecna pani Aleksandria Sutton.

Scandalous

Epilog

Mimo że był już październik, trwało upalne lato. Hunter dotarł na wyspę przed zachodem słońca zgrzany i zmęczony.

Przebrawszy się w kąpielówki, szybko zbiegł po schodach i zanurzył się w gęstwinę winorośli, zmierzając w stronę piaszczystej ostrogi. Rozejrzał się po plaży i już po chwili wypatrzył Sandrię, która brodziła przy brzegu, zanurzona po pas w wodzie. Pomachała mu ręką i ruszyła szybko ku plaży.

Uśmiechnął się i pomyślał, że wygląda zachwycająco - jak syrena wyłaniająca się na jego powitanie z morskich odmętów. Patrzył na nią z bijącym radośnie sercem.

Moja żona, myślał. Mój skarb. Moje życie. Kiedyś uważał, iż te słowa - i wiążące się z nimi rozkosze - pozostaną na zawsze poza jego zasięgiem.

Jednakże w ciągu trzech miesięcy, które upłynęły od ślubu, życie przynosiło mu prawie, same radości, a Sandria swą miłością i oddaniem skutecznie goiła jego obolałą duszę i ogrzewała złąknione ciepła serce. Już prawie nie pamiętał, co to znaczy czuć się samotnym i opuszczonym.

Podniosła głowę, czekając na powitalny pocałunek. Jej rozgrzane ciało pachniało słońcem.

- Spóźniłeś się - skarciła go bez przekonania, układając się na rozłożonym kocu.

Usadowił się obok niej i powiódł wzrokiem po jej długich, opalonych nogach, starając się nie myśleć o tym, co potrafią w gorączce namiętności.

- Narada sądu bardzo się przeciągnęła.

- Jak wyglądał Cavanaugh?

- Zupełnie załamany. Niezależnie od tego, ile dostanie - rok czy sto lat więzienia - jego życie już się skończyło. Byłem prawie gotów mu współczuć, gdybym nie pamiętał, na jakie straszne cierpienia skazał Rileya.

- Widziałeś Rileya? Jak on się miewa? - zapytała, zwracając ku niemu zatroskaną twarz.

- Fizycznie znacznie lepiej, ale jest nadal osowiały i taki jakiś daleki. Całkiem niepodobny do siebie.

Pochyliła w zamyśleniu głowę.

- Kiedy w sobotę popłyniemy do Fort Myers, trzeba go będzie namówić na przynajmniej parodniowy pobyt na wyspie. Może wspólnym wysiłkiem zdołamy go przekonać, że ma po co żyć.

- Tak jak ty mnie przekonałaś - powiedział z uśmiechem, dotykając wargami jej szyi.

Zapach rozgrzanego słońcem ciała uderzył mu do głowy. Pachniała morską wodą, solą i nieokreśloną wonią kwiatu. Zburzył ręką jej bujne, falujące włosy.

- Wskoczmy na chwilę do wody? - spytał.

- Nie mam teraz ochoty na lekcję pływania,

- Znam inne wodne zabawy prócz pływania. - Uśmiechnął się żartobliwie, przesuając palcami po jej ramieniu i szyi.

- Zaraz się ściemni.

- Możemy to samo robić po ciemku. - Wsunął palce w wycięcie jej kostiumu, głaszcząc jej piersi. Zrobił ruch, jakby chciał poderwać ją na nogi, ale wstrzymała go ruchem ręki.

- Poczekaj Hunt, mam z tobą do pomówienia.

- Akurat teraz? - zdziwił się.

- To ważne - oświadczyła stanowczo.

- No, skoro tak - odparł, starając się uspokoić rozhuśtane zmysły.

Sandria sięgnęła pod zawinięty róg koca i Wyciągnęła notatnik.

Był to nowy zeszyt, który zastąpił jej ów tak długo używany, nadpalony oryginał. Podczas gdy przerzucała strony, Hunter zajrzał jej przez ramię.

- Znowu zaczęłaś pisać - zauważył uradowany, że po przeżyciach związanych z procesem Cavanaugha wróciła do dawnego przyzwyczajenia.

- Troszeczkę. Przede wszystkim do Ernie'ego, Chciałam mu jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego rezygnuję z dalszej pracy w redakcji.

- Boi się, że pójdziesz do konkurencyjnej gazety. Sandria spłonila się.

- Nie mów głupstw. Reportaż był niezły, ale...

- Był cięty, wyczerpujący i pełen pasji. Znakomity. Nie muszę cię chyba przekonywać. Czy już zapomniałaś, jak cała rodzina Suttonów wynosiła go pod niebiosa?

- Dobrze wiesz, że nie to jest teraz dla mnie najważniejsze.

- A co? - zapytał, pragnąc jeszcze raz usłyszeć zapewnienie, że to on zajmuje dziś w jej sercu pierwsze miejsce.

Uśmiechając się niepewnie, wyrwała kartkę z zeszytu.

- Tyle razy mnie namawiałeś, żebym spróbowała opublikować któryś z moich wierszy - rzekła, podając mu papier. - Co powiesz na to?

Hunter posłusznie przybrał poważny wyraz twarzy, rozwinął kartkę i ze skupieniem skierował na nią wzrok. Oto co przeczytał:

Miłość moja jest niezwalczona, Nieokiełznana i nieograniczona.
Więc śpij, mój miły, póki czas, Bo to małe, co wkrótce się narodzi
Twoim snom poważnie może przeszkodzić.

Pełny sens wierszyka dopiero po krótkiej chwili dotarł do jego świadomości. Zaniemówił i spojrzał jej w oczy.

- Sandrio! Poważnie?

- Oczywiście - odparła z lekkim śmiechem. - Przecież zawsze mnie pouczasz, żebym poważnie traktowała moje poetyckie dziełka.

- Nie rób sobie żartów.

- Wcale mi nie do śmiechu, kiedy sobie pomyślę, że wkrótce będę przypominała balon na cienkich nogach. Lekarz wyznaczył przybliżony termin na kwiecień— dodała z radosnym uśmiechem, ale głos miała trochę drżący i niepewny. - Cieszysz się, Hunt? Naprawdę się cieszysz? - dopytywała się nieco zaniepokojona jego milczeniem.

Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Nie, jestem zachwycony. Jak możesz w to wątpić?

- No bo... może to przyszło trochę za wcześnie. Jesteśmy razem dopiero od trzech miesięcy.

- Będzie śliczna - powiedział wzruszonym głosem. - Mała dziewczynka, którą nauczę pływać.

- Albo chłopczyk, którego nauczysz łowić ryby. Serce mu się ścisnęło na myśl o Eryku, którego wspomnienie nigdy go nie opuszczało. Smutek jednak ustąpił, gdy wyobraził sobie, ile miłości potrafią ofiarować nowo narodzonemu dziecku.

- Oczywiście! - zawołał. - To cudowne. Aż trudno uwierzyć. W najśmielszych marzeniach...

Przyłożyła mu palec do warg.

- Nie mogłeś sobie wyobrazić? - Uśmiechnęła się kpiąco. - A ja myślałam, że naukowcy znają się na prawach natury.

- Ani trochę! - zaproponował, chwytając ją za palec i przykładając go mocniej do ust. - Czyżbyś nie wiedziała, że to twoja specjalność? To przecież ty odnalazłaś moje potrzaskane serce, a potem z nieskończoną cierpliwością i uporem poskładałaś je z powrotem.

I tylko dzięki temu istnieję. Dzięki twojej dzielności i czułości... i miłości,

Odpowiedziała mu uśmiechem. Hunter nadal trzymał jej rękę, a kiedy znów przyciągnął ją do siebie, Sandria podniosła się i idąc za nim, wstąpiła w spokojną, turkusową wodę zatoki.